

# Fortunat i jego synowie.

Powieść z lat dawnych.

W dwóch częściach.



Cieszyn.

Nakładem Edwarda Feitzingera.

Cena 60 ct. czyli 1 markę.



<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

# Fortunat i jego synowie.

Powieść z lat dawnych.

W dwóch częściach.



INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAŃ  
BIBLIOTEKA

00 330 Warszawa, ul. Nowy Świat 1

Tel. 26-68-63

Cieszyn.

Nakładem Edwarda Feitzingera.

<http://rcin.org.pl>



23.338

<http://rcin.org.pl>

## Część I.

### Fortunat.

---

Na wyspie Cyprze leży miasto Tamagusta. Dawnymi czasy mieszkał w niem szlachetny i zacny obywatel Teodor; pochodził on ze znakomitego rodu, a rodzice pozostawili mu znaczny majątek. Był więc bogaty i potężny nawet, do tego młody i wesoły; o tém, jak krwawo rodzice przyszli do olbrzymiego dobra, które mu przekazano, nie myślał nigdy, bo całem jego zajęciem była za bawa i używanie wszelkich ziemskich rozkoszy. Ztąd życie jego było bardzo kosztowne i rozrzutne, trzymał dwór liczny i wspaniały, wydawał zabawy, turnieje, jeździł przy boku samego króla, słowem starał się dogodzić wszystkim swoim fantazyom, ani bacząc na to, że majątek przez to się uszczuplał i z wielu już dóbr wyprzedać się było potrzeba. Zasmucało to jego przyjaciół, których nie wart był wcale. Chcąc zwrócić go na proste drogi, obmyślili oni ożenić go z jaką szlachetną dziewczicą; byli bowiem tego starego zdania, że kto się ożeni, ten się odmieni. Byli więc pewni, że związek małżeński musi poprawić

go moralnie. Dla tego też, nie zwlekając długo wręcz oświadczyli mu swoje zamysły. Teodorowi spodobała się ich propozycya i przyrzekł nie opierać się temu; owszem polecił im czynić jak najszybsze kroki. Przyjaciele rozpatrzyli się po okolicznych zamkach i dworach, szukając dlań odpowiedniej małżonki. Na wyspie Cyprze stolicą było miasto Nikozya. Tam był dwór królewski i przebywały najznakomitsze rycerskie rody. Otóż wśród królewskiej drużyny znaleźli pewnego szlachcica, który miał śliczną córkę, Gracyannę. Ta, bez szczegółowego rozpytywania się o charakterze jej przysłego męża, jedynie na rozgłos jego bogactw i potęgi, została mu zaślubioną. Wesele obchodzono z wielką uroczystością, jak to wówczas było w zwyczaju, gdy możni podczas podobnych okazji chcieli zabłysnąć przed światem swymi skarbami. Po weselu, gdy wszystko porozjeżdżało się do swych domów, rozpoczął Teodor ze swą śliczną żoną, życie ciche, skromne i cnotliwe. Przyjaciele uradowani byli tą szczęśliwą zmianą, która z dzikiego prawie Teodora, zrobiła człowieka spokojnego i pełnego godności. „At, co to kobieta dobra zrobić może!“ — mówili między sobą, zacierając z zadowolenia pocziwe swe dłonie. Nie wiedzieli chyba o tém, że natura, choć chwilowo opanowana, zawsze swoje robi, czy wcześniej czy później.



Zanim minął rok szczęśliwego małżeńskiego pożycia, Gracyanna porodziła Teodorowi syna, którym niezmiernie cieszyli się nie tylko rodzice, ale i przyjaciele. Na Chrzcie św. dano mu imię Fortunata. Od tejże wszakże chwili, obudziła się w Teodorze dawna, dzika natura. Radość z urodzenia syna, kazała mu, według jego fałszywego pojęcia, dawnym błysnąć przepychem. Począł więc znowu prowadzić życie szumne, rozrzutne, wydawać zabawy, turnieje, towarzyszyć królowi, a tém samem zapominać z dniem każdym o żonie i synaczkę. Dzisiaj sprzedał to, jutro owo tak długo, dopóki nic mu już więcej do spieniężenia nie pozostało. Tak wpadł w krótkce w ostatnią nędzę, lata swęj młodości bez pożytku zmarnował i w takim znalazł się położeniu, że nie tylko nie mógł utrzymać ani jednej sługi, ale żona jego sama musiała gotować, prać i myć z brudu sprzęty, jak wyrobnica. Kiedy razu pewnego siedzieli przy ubogim stole, nic prawie do jedzenia nie mając, przypominali sobie ze smutkiem dawne lepsze czasy. Ojciec spoglądał z rozpaczą prawie na syna i wzdychał z wielkim bólem serca. Fortunat, syn jego, dostrzegł to strapienie. Miał on już teraz lat ośmnaście, ale nie umiał nic, chyba nie zbyt wprawnie podpisać się i z trudnością czytać. Za to doskonale rozumiał się na łowach i ptaszarstwie -- to bowiem było jego ulubionem zajęciem. Ten rzekł do

ojca: „Drogi ojcze, powiedz mi, co ci leży na sercu? Uważałem to dobrze, że ile razy na mnie spojrzysz, oczy masz smutne i jakby lżą zaszłe. Proszę cię, powiedz mi, czym cię kiedy rozgniewał? Muszę koniecznie wiedzieć, co jest przyczyną twego smutku; jeżeli ja, to poucz mnie, jak mam żyć, a zmienię dotychczasowe postępowanie!“ Ojciec odrzekł: „O kochany synu, tyś wcale nie przyczynił się do mego smutku, również nikogo w świecie nie mogę winić za moją nędzę; gdyż stan opłakany, w jakim teraz jestem, samem sobie sprowadził. Kiedy przypomnę sobie dawne moje honory, zaszczyty, bogactwa, i rodziców mych, którzy godnie, sobie ujmując, aby o mnie pamiętać, wielką zostawili mi spuściznę, a ja wszystko, bez opamiętania się i bez myśli o godności przodków, tak rychło bezczelnie rozrzucił; kiedy spojrzę na ciebie, ciebie jedyne mego syna, któremu zapomniałem dać choćby wykształcenia — żal straszny serce mi ściska i nie mam spokoju ani we dnie, ni w nocy. Również i to mnie boli, że tak opuścili mnie dawni przyjaciele, z którymi roztrwonilem majątek, a których niegodnym byłbym teraz gościem!“

Fortunat na skargi te odrzekł: „Najdroższy ojcze, porzuc te troski i nie myśl o mnie wcale; jestem młody, silny i zdrowy, pójdę więc szukać zarobku w obcych krajach; dużo jest jeszcze szczęścia na tym świecie; mam ufność w Bogu,

że mi choć cząstki jego nie poskąpi. Ty masz dobrego znajomago na dworze królewskim. Jest nim sam król. Udaj się w służbę do niego, a nie zapomni on ani o tobie, ani o méj matce. O mnie się już nie troszczcie; jestem dostatecznie wychowany i za to dziękuję wam z serca!“ Poczém wstał i wyszedł z domu z wyuczoną papugą na ręce, która się do niego bardzo przywiązała i udał się nad brzeg morza. rozmyślając nad tém, co mu począć wypadnie, aby już nie pokazywać się ojcu i nie martwić go swém widokiem. Gdy tak przechadzał się wzdłuż brzegu, dostrzegł w przystani barcę wenecką, która przybyła z Jerozolimy. Znajdował się na niej hrabia flandryjski, któremu właśnie umarło dwóch pacholków, a ponieważ hrabia sprawy swe z królem załatwił, mógł więc już odpływać, témbardziej, że wiatr sprzyjał. Zatrąbiono więc na znak, że okręt ma odpłynąć i sam hrabia, otoczony licznymi szlachciami, wstąpił na pokład statku. Fortunat przyglądał się temu wszystkiemu ze smutkiem, a zarazem z wielką tęsknotą i zazdrością. „Ach“ — myślał sobie w duchu — „żebym to ja mógł jako pacholek hrabiego odjechać z nim gdzie w świat daleki, bym już Cypr z oczu stracił!“ Z tą myślą stanął przed hrabią i skłonił się przed nim z wielką pokorą. Po ukłonie tym poznał hrabia, że to nie chłopskie dziecko; Fortunat zaś podniósł się i rzekł: „Czcigodny Panie!

Jeżelim dobrze powiadomiony, to umarło Wam dwóch pachołków i zapewne będzie potrzeba ich zastąpić!“ „A cóż ty umiesz?“ — zapytał hrabia. Fortunat odrzekł: „Umiem polować, przyrządzać myśliwskie potrawy i wszystko co do łowiectwa należy; prócz tego, gdyby było potrzeba, znam się na obowiązkach konnego pachołka!“ Hrabia odrzekł: „Przydałbyś mi się; ale ja jadę w dalekie kraje, więc nie wiem, czybyś chętnie ze mną pociągnął!“ „O czcigodny Panie!“ — odparł Fortunat — „jak dalekobyście tylko jechali, ja wszędzie udam się z wami!“ „A jakiejż żądasz nagrody?“ — zapytał hrabia. „Żadnej“ — odrzekł Fortunat — „dość mi, że służę. To mi za nagrodę wystarczy!“ Hrabiemu podobały się te słowa młodzieńca. „Ale okręt“ — rzekł — „już wypływa! Czy jesteś gotów?“ „Najzupełniej“ — odrzekł szybko Fortunat. Puścił ptaka w powietrze i bez błogosławieństwa, bez pozwolenia rodziców, odpłynął z hrabią, jako jego służący. Tak płynęli dość długo aż przybyli szczęśliwie do Wenecyi. Fortunat bardzo mało miał przy sobie pieniędzy.

---

Hrabia przybył do Wenecyi, ale bynajmniej z zamiarem dłuższego w niej pobytu. Osobliwości miasta znał dobrze, gdyż nie po raz pierwszy dotąd przyplýwał, a teraz więcej jeszcze, niż indziej, tęskno mu było za rodzinnymi stronami

i za przyjaciółmi dobrymi. Postanowił on bowiem, gdyby się podróż do Ziemi św. udała, z powrotem natychmiast się ożenić. Przyszłą małżonkę już sobie obrał. Była nią córka księcia z Klewy, młodzianka i nadzwyczajnej piękności księżniczka. Już wszystko było umówione, czekano tylko jego powrotu. Dla tego to tak tęsknił za domem. W Arabii kupił pyszne rumaki, w Wenecyi zaś rozkazał nabyć kosztowności ze szkła, złota i srebra, wspaniałe suknie z jedwabiu i bisioru — słowem wszystko, co do uroczystości weselnej należało. Chociaż hrabia miał sług przy sobie bardzo dużo, żaden z nich jednak nie umiał tak zająć się wszystkim, jak Fortunat. Umiał on mówić, jak żaden z jego kolegów i działać od nich roztropniej; to też hrabia upodobał go sobie i bardzo polubił. Zauważył to Fortunat, i starał się coraz lepiej służyć swemu panu. Zawsze ostatni był przy nim w wieczór, a pierwszy rano, co również nie uszło uwagi hrabiego. Kiedy miano przeglądać na placu kupione na Wschodzie konie, gdyż można było naprzód być pewnym, że z pośród wielkiej ich ilości, dość znajdzie się narowistych lub z innymi wadami; kiedy pachołcy mieli przejeżdżać na nich przed oczami hrabiego, Fortunat otrzymał jednego z najlepszych rumaków. To ubodło innych pachołków i odtąd poczęli go nienawidzić. „Patrz!“ — mówił jeden drugiemu — „czy nie djabeł nagnał nam tego pod-



stępcę?“ Mimo to musieli zgodzić się z swém położeniem i dopuścić do tego, że nigdy nikt inny nie towarzyszył konno hrabiemu, nikt nie umiał dogodzić jego żądaniom, a nawet myśлом, tylko Fortunat jeden.

Hrabia przybył wreszcie do domu, i przez cały naród flandryjski przyjmowany był serdecznie i z zapalem. Wszyscy bowiem kochali go niekłamane, gdyż hrabia był pobożnym i sprawiedliwym dla swych poddanych. Przybywającego ze łzami w oczach witały: rodzina, przedstawiciele kraju i liczne grono przyjaciół. Dziękowali Bogu, że podróż szczęśliwie się udała i poczęli także umawiać się z nim w sprawie małżeństwa. To bardzo podobało się hrabiemu; prosił wszystkich, aby dołożyli starań do jak najszybszej, a najpomyślniejszej konkluzji. Projekta przysły do skutku i w krótkce już hrabia obchodził uroczyste gody z żoną swą, córką księcia na Klewie. Uroczystość była wspaniała; pełna gonitw, zabaw rycerskich, turniejów i t. p., a wszystko przed oczyma pięknych pań i najpiękniejszej ze wszystkich młodej hrabiego małżonki. Tylu było książąt i panów, a z nimi éma służby i szlacheckich giermków — przecież żaden z nich tak nie zwrócił powszechnéj uwagi mężczyzn i kobiet, tak przez swe zachowanie się i zręczność w pełnieniu służby, jak przez postawę swą, ruchy i szlachetność oblicza — co Fortunat. Wszyscy jednogłośnie

dopytywali się, z kąd pochodzi ten giermek hrabiowski. Hrabia opowiedział gościom, w jaki sposób przyszedł w jego posiadanie; potem chwalił jego niezmierną zręczność łowiecką, mówił, że żaden ptak w powietrzu i żaden zwierz w lesie nie jest przed nim bezpieczny; również umie on przemyślnie załatwiać wszelkie jego sprawy i trafić w jego gust, jak żaden z jego giermków dotąd. Goście usłyszawszy tyle dobrego o pięknym młodzieńcu, obdarowali go mnóstwem podarunków kosztownych.

Kiedy już panowie i szlachta skończyli walki swoje w szrankach, księżę na Klewie wraz z swym zięciem, hrabią flandryjskim, zgodzili się na to, aby teraz mogli wystąpić do walki giermkowie. Wyznaczono dwie wysokie nagrody przyszłym zwycięzcom, każda wartości do dwustu koron. Służba ucieszyła się tem nadzwyczaj i każdy naprzód już przemyśliwał, jakby się najbardziej rycersko popisać. Kiedy pierwszego dnia przyszło do walki, zyskał nagrodę giermek księcia Brabancyi z jednéj strony, z drugiej zaś otrzymał ją Fortunat. Większej części służby nie podobał się taki rezultat; wszyscy prawie prosili giermka księcia brabantkiego Tymoteusza, aby on teraz wyzwiał Fortunata i nagrodę mu odebrał; wszyscy za to mieli podziękować mu uroczyście. Tymoteusz nie mógł się sprzeciwiać prośby tylu dobrych znajomych i przyjaciół, wyzwiał

więc Fortunata do walki. Ten nie namyślał się długo, chociaż jeszcze nie był przywykły do turniejów. Panowie, którym oznajmiono zapaśników, przyjęli ich bardzo życzliwie. Uzbrowili się więc powtórnie i z godnością rycerską podjechali naprzeciw siebie. Pierwsze pchnięcia jednak dobre były ze stron obudwu, nagle Fortunat tak zręcznie podsadził przeciwnika lancą, że wyrzucił go z siodła kilka metrów opodał siebie i tym sposobem, nie Tymoteusz jemu, ale on Tymoteuszowi odebrał nagrodę, czyli osiągnął obiedwie nagrody sam jeden. Teraz w całej sile wybuchła przeciw niemu nienawiść między wszystkimi giermkami, a najbardziej między służbą hrabiego Flandryi. Ten jednak cieszył się bardzo, że najulubieńszy jego giermek obiedwie nagrody otrzymał. O niechęci i nienawiści innych giermków przeciw Fortunatowi, nie wiedział nic i nikt też nie odważył się coś mu o tém powiedzieć.

Był przecież między nimi jeden stary a przebiegły jeździec, Rupert. Ten zobowiązał się za cenę dziesięciu koron zabić Fortunata. Żądał pieniędzy dla tego, aby mógł zaraz po dopełnieniu zbrodni, bez pozwolenia pańskiego i nie biorąc nic ze sobą, umknąć z Flandryi w dalsze kraje. Chciał to urządzić w ten sposób, aby nikogo potem nie podejrzywano i posądzano o zabójstwo. Służba otoczyła go, prosząc: „O kochany Rupercie, jeżeli możesz to uczynić, dla czego się

ociągasz?“ „Bez pieniędzy“ — odrzekł Rupert „niczego się nie podejmę; niech każdy da pół korony, a jeżeli nie dokażę swego, oddam każdemu po całej koronie!“ Wszyscy zgodzili się chętnie; który nie miał pieniędzy, pożyczyci mu inni; w ten sposób zebrali piętnaście koron, oddali je Rupertowi, a ten rzekł: „Teraz niech nikt się nie wtrąca w moje sprawy, i każdy niech zachowuje się niezmiennie, jak dawniej.“ Poczém zaprzyjaźnił się Rupert umyślnie z Fortunatem i przyjacielsko mu służył; opowiadał mu historye stare, jakie się w kraju rozpowszechniły; Fortunat słuchał go chętnie. Potém posłał Rupert po dobre wino i wyszukane potrawy, gdyż wiedział co do szlacheckiego giermka należy. Tak jedząc i pijąc wychwalał Fortunata, jego piękność i urodzenie; Fortunat przyjmował to za dobrą monetę, ale chciał uniknąć przyjęcia; Rupert wszakże począł się mu łasić, mówił, że kocha go więcej niż własnego brata, że gotów jest dlań uczynić wszystko, czegoby nikomu innemu nie uczynił i tym podobnymi ujmował go sobie słowami.

Życie takie prowadzili tak długo, że służba rozdrażniona poczęła sarkać i mówić: „Czyż to takim życiem chce Rupert zabić Fortunata? Rupert nie wypełnił tego, co nam obiecał; musi nam oddać 30 koron, chociażby ze wszystkiego miał się wyprzedać!“ Rupert dowiedział się o tém, zburczał swych kolegów i rzekł: „Za-

pewniam was, że nic mi większej nie dodaje odwagi, jak wasze pieniądze!”

Kiedy już Rupert wydał wszystkie nauczty z Fortunatem pieniądze, pewnego późnego wieczoru, gdy hrabia z małżonką swoją udali się na spoczynek i nikt ze służby w przedpokojach pańskich czekać nie miał potrzeby, przyszedł Rupert do Fortunata i rzekł: „Ach, drogi Fortunacie, usłyszałem coś bardzo ważnego, od mego kanclerza, który żyje ze mną na stopie przyjacielskiej; chociaż zakazał mi to opowiadać innym, co ze względu na jego przyjaźń rzeczywiście bym uczynił, ale przed tobą, który dla mnie jesteś więcej jak przyjacielem, bo omal bratem, nie zakrywać nie będę, témbardziej, że sprawa ta ciebie przedewszystkiém dotyczy. Ty wiesz o tém dobrze, że pan nasz, hrabia, jest bardzo o swoją żonę zazdrosny; wiesz także i o tém, że pani nasza okazuje ci wielką przychylność. Lubi bardzo twój miły głos i nie jeden raz dała ci to poznać. A ile razy rozstajesz się z hrabstwem, żegna cię zawsze z takim uśmiechem jak nie giermka, ale krewnego. To nie mogło ująć uwagi hrabiego, więc przyrzekł, a kanclerz to słyszał, że wyznaczy ci na mieszkanie żelazną klatkę; tam będziesz siedział schwytyany jak kanarek albo słowik i nie będziesz nic innego jadał, tylko cukrowe ciasta; postara się on i o to także, żeby głos twój nie stracił siły, ani melodyjności,



i wówczas zawiesi cię z klatką wysoko na murach zamku; możesz tam śpiewać dni i nocy całe i będziesz miał wszelkie inne wygody, o jakich zamarzysz tylko! A ma to wszystko zaraz jutro z brzaskiem dnia nastąpić. Klatka bowiem już jest gotowa; dziś w południe widział ją mój przyjaciel, kanclerz!“

Fortunat usłyszawszy to, począł drzeć na całym ciele i zapytał Ruperta, nie namyślając się długo, czy nie zna wyjścia jakiego bezpiecznego za miasto; jeżeli zna, niech zrobi mu tę ostatnią przyjacielską przysługę i odprowadzi go po za bramy miasta, lub przynajmniej wskaże bezpieczne miejsce. „Odejść muszę koniecznie“ — mówił wzburzony silnie — „ani chwili nie mogę tutaj pozostać i oczekiwać takiego losu. Choćby mi obiecywał nie wiem jakie dobra, a nawet tron angielski, abym tylko choć dzień jeden miał siedzieć jak ptak w klatce zamknięty, nigdy na to się nie zdecyduję, i nie chcę mu ani minuty dłużej służyć! Dla tego radź mi i pomagaj, kochany Rupercie, abym ztąd uciekł najrychlej!“ „Kochany Fortunacie“ — odrzekł Rupert — „wiedz o tém, że miasto na wszystkie strony jest zamknięte i nikt dzisiaj ani wyjść ani wejść do miasta nie może, aż jutro nad ranem, gdy na Mszę św. zadzwonią, wtedy otwierają najpierw tak zwaną krowią bramę. Ale zastanów się dobrze, drogi Fortunacie, bo i w więzieniu tém

będzie ci lepiej, niż nam wszystkim; będziesz pod troskliwszą opieką niż cały dwór. Klatka jest tak wysoka i długa, że wygodnie możesz w niej stać, siedzieć, leżeć, a nawet w pewnym promieniu się przechadzać. Przygotowano ci nawet, jak mi kanclerz wspominał, łoże erdredynowe; otrzymasz także kosztowny ubiór, z samych złotych i niebieskich piórek ptasich zszyty.“

„Prędzej wolałbym zebrać“ — odrzekł Fortunat — „niż choć godzinę znajdować się w klatce, do której zamykałem innych. Bo zdaje się o tej klatce mówisz. Czy mnie tam wyszczególnią czy nie, czy będą mnie z przepychem stroić i najwybredniejszymi karmić potrawami, zawsze będę więźniem, pozbawionym swobody, a tego nie ścierpię!“

Rupert odrzekł: „Przykro mi bardzo, że musiałem ci tak przykrą nowinę obwieścić; gdyż widzę, że cię to martwi i chcesz uciekać. Ja tylko chciałem cię przygotować. Myślałem, że będziemy żyli z sobą jak bracia. Kanclerz powiedział mi nawet w sekrecie, że nikt inny, tylko ja, będę ci przynosił jadła, napoje i innych dostarczał potrzeb. Chceszli uciekać, nie mogę cię wstrzymywać!“

„Stanowczo chcę tego“ — odrzekł Fortunat — „ale przyrzeknij, kochany Rupercie, że nic nie powiesz nikomu o mojej ucieczce, aż po dniach trzech, gdy będę już daleko!“

Rupert przyrzekł to uczynić i rozstał się z nim płacząc, całując i życząc całego niebieskiego

wojska dla bezpieczeństwa. Judasz był sobie wcale pobożnym jeszcze człowiekiem w obec tego Ruperta, który czuł się zupełnie niewinnym, że przynajmniej nie potrzebował pozbawiać życia Fortunata. Uradowany był też niezmiernie swym podstępem. „I wilk syty“ — mówił do siebie — „i owca cała!“

---

Fortunat nie zasnął ani chwili téj nocy. W całym zamku panowała cisza, tylko Fortunat jeden chodził po swój izdebce wzburzony i rozgoryczony. Nie mógł doczekać się godziny świtu; każdej chwili spodziewał się najścia pachołków hrabiego, którzy go wsadzą do żelaznej klatki. Z trwogą i tęsknotą oczekiwał zorzy porannej. Nim słońce zeszło był już obudzony i ubrany, wziął ulubionego ptaka i psa, jakby wybierał się na polowanie i tak opatrzony dosiadł konia i odjechał.

Kiedy już był dziesięć mil za miastem, kupił innego konia, dosiadł go i pospieszył dalej. Hrabskiego zaś konia kazał odesłać razem z jego psem i ptakiem, aby odebrać mu przyczynę ściągania go. Hrabia dowiedziawszy się o ucieczce Fortunata, zasmucił i zdziwił się bardzo, bo ani nie uczynił mu żadnej przykrości, ani nie zatrzymywał mu nigdy pensyi. Pytał więc całą służbę razem i każdego sługę osobno, ale niczego wypytać się nie mógł, i wszyscy przysięgali, że

nigdy nie zrobili przykrości Fortunatowi. Hrabia poszedł do żony i do służebnych, dopytywać się, czy która z pań nie obraziła go jakim słowem. Ale hrabina i jej panie odrzekły: „Wiecie dobrze, że nigdyśmy mu nie wyrządziły coś przykrego, ani słowem ani czynem i nigdy nie byłybyśmy mu nic przykrego kiedy powiedziały; nigdy nie był weselszym jak siedząc z nami i odchodząc od nas. Opowiadał nam zawsze o zwyczajach swego kraju, o kobietach tamtejszych i ich strojach! Wszystko to, opowiadały mu, mówił złą niemczyzną; to też śmiałyśmy się z tego i on śmiał się razem z nami i z uśmiechem na ustach zawsze od nas odchodził.“ Tedy rzekł hrabia: „Nie mogę sobie więc wytłómaczyć, dla czego Fortunat uciekł tak tajemniczo, ale przecież dojść muszę; a jak mi się coś zdaje, to jeden z jego kolegów jest tego przyczyną. Jeżeli dojdę winowajcy, odpokutuje mi surowo. Wiem, że mając pensyi 500 koron, musiał się tutaj mieć dobrze; i myślałem, że przez całe życie mnie nie opuści. Sądzę, że musiało zająć coś ważnego i że na zawsze odemnie odszedł, bo wziął i nagrody swoje, zyskane na turnieju i wszystko, co było tylko jego własnością!“

Rupert dostrzegłszy wielki żal pana za Fortunatem, przeląkł się bardzo, aby się kiedy, przez zdradę którego z kolegów, czyn jego brudny nie wykrył, bo wówczas mógł się spodziewać najsurowszej kary. Chodził więc od jednego do

drugiego, aby nie mówili przed nikim, kto jest właściwym sprawcą ucieczki giermka. Przyrzekli mu milczeć o tym przedmiocie. Koniecznie wszakże chcieli się od niego dowiedzieć, jakim podstępem potrafił Fortunata do ucieczki zmusić. Był między nimi jeden, który cieszył się szczególnymi względami Ruperta; ten obarczał i nużył go ustawicznymi pytaniami, aż wreszcie znudzony Rupert odrzekł, że Fortunat zwierzył się przed nim o losie swego ojca, który popadł w ubóstwo, a obecnie służy u króla Cypru. „Potém“ — mówił dalej Rupert, podwójnie kłamiąc — „powiedziałem mu, że właśnie spieszy posłaniec z Cypru do króla angielskiego, donosząc mu o śmierci cypryjskiego władcy, gdyż obydwaj byli krewnymi. Wtedy powiedziałem mu, że kiedy król żył w pełni zdrowia, uczynił hrabią jego ojca i darował mu dziedzictwo jednego hrabiego, który umarł bezpotomnie. Gdym to powiedział, Fortunat nie wiele dawał mi wiary i rzekł: „Chciałbym, żeby się to ojcu trafiło, ale muszę się sam o tém przekonać.“ Powiedziawszy to, zaraz odjechał.“ Inni giermkowie usłyszawszy tę mowę, rzekli do siebie: „Jakże też Fortunat mógł być tak nierozsądnym, jeżeli istotnie tak wielkie spotkało go szczęście, że tego panu naszemu nie powiedział! Ten byłby go należycie uposażył i dał mu do towarzystwa dwu albo trzech z naszej gromadki; w ten sposób byłby odjeżdżał ztąd



z wielkim zaszczytem i byłby przez całe życie miał w naszym panu szczerego przyjaciela.“

---

Opuśćmy teraz hrabiego z jego całą służbą, którzy ani przypuszczali podstępu, jakiego użył Rupert dla pozbycia się Fortunata, a towarzyszymy temu ostatniemu. Kiedy Fortunat kupił sobie nowego konia, a dawnego odesłał hrabiemu, jeszcze nie był pewnym siebie, czy go ścigać nie będą, dla tego spieszył się jak mógł najbardziej i mało co wycoczywał, aż dotarł do Calais. Tu trafił na okręt, który odpływał do Anglii, gdyż tak obawiał się utraty wolności, że nigdzie nie czuł się bezpiecznym, chyba za morzem i kiedy już stanął na ziemi angielskiej, wtenczas dopiero odetchnął swobodniej. Tak przybył do Londynu, stolicy Anglii, gdzie zgromadzeni byli liczni kupcy z całego świata, prowadząc swój handel. Przybyła tu także galera z Cypru z bogatymi towarami i liczną drużyną kupiecką; między nimi było dwóch młodzieńców, którzy na Cyprze mieli bogatych stryjów i którym powierzono znaczny zapas kosztownych towarów. Ci nigdy jeszcze dotąd po za rodzinną nie oddalali się ziemię, dla tego na obcej ziemi i wśród obcych ludzi nie umieli się dobrze obracać i za interesem oglądać. Tyle tylko wiedzieli, co zawierało się w objaśnieniach stryjów. Kiedy okręt wypakował wszystkie towary i opłacał za nie królowi podatek, i dwaj

młodzieńcy poczęli także z zapałem sprzedawać swe towary, co w krótkce uczyniło ich panami ładnego grosza. A uciecha ztąd była dla nich wielka, bo nigdy jeszcze nie mieli w rękach tyle złota i srebra. Do nich przyszedł Fortunat i jako krajowiec został przyjęty serdecznie i wnet stał się ich przyjacielem. Na nieszczęście jednak młodzi ci kupcy byli łatwowierni i lekkomyślni, lubili towarzystwo hulaszczęj młodzieży, która grą i podstępem umiała jak pasożyt wcisnąć się w towarzystwo jak najlepsze i umiąć się przypodobać wszystkim, łatwo wyłudzała od nich nawet grube sumy. Tak też miało się z tymi dwoma młodzieńcami. Obcując z hulakami, stracili w krótkce prawie wszystkie pieniądze; przecież jeden z nich mniej jeszcze był obrany, jak drugi.

Fortunat, który miał najmniej, najprędzej też wszystko wydał; to samo stało się z innymi; co zarobili w Londynie, do grosza przepuścili na karty i zabawy. Ale z wyczerpaniem się pieniędzy, zniknęła także przyjaźń angielskich kolegów. Ci szydzili sobie teraz z Fortunata i Cypryjczyków, powtarzając im ze śmiechem na ustach: „Jedźcie, jedźcie coprędzej na wyspę i przywieźcie nowy okręt towarów. Wówczas my znowu przyłączymy się do was! Teraz bywajcie nam zdrowi!“ Reszta kupców, która razem z młodzieńcami owymi przyplęnęła z Cypru, również wysprzedała swoje towary i z pełnym trzosem

odjeżdżała napowrót. Młodzieńcy widząc odpływających towarzyszy, poczęli także obrachowywać się z sobą i przeglądać składy. Te pustkami świeciły, wszystko bowiem było wysprzedane; ale pieniędzy w sakwach ani widać. Tymczasem mieli polecenie od stryjów na zakupienie innych londyńskich towarów, któreby znowu z zyskiem na Cyprze sprzedać było można. Pokiwali jednak tylko głowami i zdecydowani na wymówki stryjowskie bez grosza, pożyczwszy jeszcze na drogę pieniędzy, odjechali napowrót do swych domów. Jak tam zostali przez stryjów przyjęci, nie wiemy, i nie wiele nas to obchodzi.

Fortunat zostawszy znów osamotnionym i ogołoconym z pieniędzy, myślał sobie w duchu: „Żebym miał tylko dwie lub trzy korony, mógłbym we Francyi znaleźć sobie pana!“ Z tą myślą udał się do dawnego angielskiego kompana, z którym niejedną koronę przepuścił, prosząc go, aby był łaskaw pożyczyć mu kilka koron, gdyż chciałby się udać do swego stryja we Flandryi, który przechowuje jego majątek z czterystu koron złożony. Majątek ten chciałby właśnie teraz odebrać. Dawny towarzysz odrzekł: „Jeżeli wiesz, zkąd dostać pieniędzy, przynieś jak najwięcej, tylko bez mego uszczerbku!“ Fortunat spostrzegł, że tu ani mu myśleć o jakiej pożyczce. Postanowił więc służyć tak długo, dopóki tych kilku potrzebnych koron nie zarobi. Następnego

dnia o świcie udał się na plac lombardu, gdzie zawsze mnóstwo zgromadzało się ludzi i pytał wielu z nich, czy nie potrzebują pachołka. Był tam właśnie bogaty kupiec z Wenecyi, który trzymał dwór okazały. Ten przyjął do siebie Fortunata, obowiązując się mu płacić dwie korony miesięcznie. Początkowo obsługiwał on pana domu, Geronima Roberta, przy stole; podawał potrawy i nalewał wina. Ten jednak poznawszy się na uczciwości i rozumie Fortunata, powierzył mu opiekę nad ładowaniem i wyładowaniem jego towarów na okrętach w zatoce. Wielkie bowiem statki na odległość mil dwudziestu nie mogły zbliżyć się do samego miasta. Co nowy pan polecił tylko Fortunatowi, ten wszystko jak najlepiej wykonywał.

---

Był w owe czasy pewien Floreńczyk, syn bogatego kupca, nazwiskiem Andrzej, któremu ojciec dał wielkie sumy pieniężne i z nimi wysłał go do miasta Brug we Flandryi. Syn w krótkce majątek przepuścił, ale i tego mu jeszcze było za mało; napisał więc do ojca, by mu przysłał jeszcze drugie tyle, gdyż mu się trafia korzystne zakupno. Ojciec uwierzył i przesłał mu znów olbrzymie sumy, tak że mało co sobie zostawił. Musiał odmówić sobie wielu nawet potrzebnych wydatków, pocieszając się tём, że to długo nie potrwa, że syn z bogatym powróci towarem, za

który weźmie dwa razy tyle, niż wydał. Syn jednak i drugą przesyłkę w krótkim czasie prze-  
hulał. Nie mając już więcej kredytu, postanowił  
ratować się jaką korzystną żeniączką. Chociażby  
to stara wdowa była, wszystko jedno, by tylko  
znów przyjąć do pieniędzy. Z zamiarem tym  
udał się do Turynu; tu dowiedział się Andrzej od  
swego gospodarza o bogatym szlachcicu, który  
w Turynie siedział pojmany. Miał on podobno  
pochodzić z Londynu. „Mój kochany“ — rzekł  
Andrzej do gospodarza — „czy nie mógłbym się  
widzieć z tym pojmanym szlachcicem?“ „Mogę  
was do niego zaprowadzić“ — odparł gospo-  
darz — „ale jest on zakuty w kajdany, więc  
widok taki może byłby wam nieprzyjemny!“  
Andrzej ponowił swoje życzenia i udał się do  
jeńca, z którym począł rozmawiać po angielsku.  
Jeniec ucieszył się tém bardzo i zapytał An-  
drzeja, czy nie zna on w Londynie Geronima  
Roberta. „Znam go bardzo dobrze“ — odparł  
Andrzej — „jest on moim dobrym przyjacielem.“  
„Kochany Andrzeju!“ — prosił pojmany — „jedź  
do Londynu i powiedz Robertowi o moim losie;  
niech mi radzi i pomoże w nieszczęściu, bym  
mógł znowu być wolnym. On zna mnie dobrze  
i również wie dobrze, czego wymagam; pieniądze,  
jakiemy musiał w celu uzyskania mojej wolności  
wydać, zwrócę mu potrójnie. Dla tego zrób mi  
tę łaskę, kochany Andrzeju, zajmij się tém i bądź



mi pomocnym w mém położeniu; dam ci za ten trud 15 koron, podróż opłacę i prócz tego wystaram ci się o dobry urząd; powiedz również moim przyjaciołom, że byłeś tu u mnie i że powinni nalegać z swój strony na Geronimiego.“

Andrzėj przyrzekł wiernie w sprawie jeńca popracować; udał się do Londynu i prośbę Robertowi przedłożył. Kupiec chętnie gotów był wszystko uczynić, gdyby tylko miał pewność, że za jedną wydaną koronę trzy mu się zwrócą. Ale Andrzejowi nie wierzył, gdyż znał jego przeszłość. Nic więcéj nad to nie powiedział więc Andrzejowi: „Idź do jego przyjaciół i na dwór królewski; jeżeli znajdziesz środki i drógi, potrzebne dla uzyskania mego obywatelstwa, pożyczę pieniędzy!“ Andrzej udał się do przyjaciół jeńca i przedstawiał im bolesne jego położenie. Mało ich to jednak bolało; odesłali go do króla i do jego rady: do nich powinien się udać i rzecz im przedłożyć, gdyż anglik ten został w służbie swego króla posłany. Andrzej przyszedłszy na dwór królewski, zanim swe poselstwo wyjawiał, dowiedział się przez rozmowy dworskiej służby, że król angielski wydał swoją siostrę za księcia Burgundyi, któremu winien jest jeszcze klejnoty, należące do wyprawy; klejnoty te olbrzymiej wartości z wielkim trudem zebrał i dał do przechowania pewnemu pobożnemu i wiernemu szlachcicowi, który ma je odwieść także do księcia.

Szlachcic ten osiadły jest w Londynie wraz z żoną i dzieckiem.

Andrzéj nie słuchał już więcej; pospieszył do szlachcica, którego spotkał na dworze i powiedział mu, że do uszu jego doszło, jakoby on miał u siebie klejnoty królewskie, przeznaczone dla księcia Burgundyi. Jeżeli tak jest, prosi go, by mu klejnoty owe pokazał, gdyż jest złotnikiem, który umie podobne rzeczy oceniać, a słyszał już we Florencyi, że król dopytywał się o nie u różnych złotników. Dla tego przybył on z tak wielkiej oddali, mając nadzieję, że król kupi od niego kilka sztuk kosztowności. Pobożny szlachcic odrzekł: „Poczekaj pan na chwilę, aż się uwolnię, a potem pójdziesz pan ze mną. Pokażę je panu!“ W krótcie gotów był do wyjścia i wziął z sobą Andrzeja. Było właśnie południe, dla tego szlachcic rzekł do gościa! „Najpierw posilmy się; inaczéj żona moja by się gniewała!“ Jedli więc razem; Floreńczyk gościł Andrzeja z pańską hojnością. Kiedy się już posilili do syta, szlachcic zaprowadził gościa do swéj sypialni, gdzie wyjął skrzynkę, pełną klejnotów i otworzył ją, by się Andrzéj im dobrze przypatrzył. Było ich sztuk pięć, wartości pięćdziesięciu tysięcy koron; im dłużej się im przypatrywano, tém wydawały się piękniejsze. Andrzéj jednak wcale ich nie chwalił, owszém rzekł obojętnie: „Ja mam kilka sztuk, chcąc powiedzieć prawdę, te musiały-

by się przed moimi zawstydzić!“ Szlachcic słu-  
chał téj mowy bardzo chętnie; w duchu myślał  
sobie: „Jeżeli ten złotnik istotnie ma tak cenne  
klejnoty, to król nasz musi je kupić!“ Z tą my-  
ślą poszli obaj do dworu. Andrzej rzekł: „Jutro  
w południe, szlachetny panie, musicie jeść ze  
mną, w domu Geronima Roberta; chcę wam znów  
moje klejnoty pokazać!“ Szlachcic przyrzekł go  
odwiedzić.

Wtedy Andrzej poszedł do Geronima Ro-  
berta i rzekł mu: „Znalazłem człowieka na kró-  
lewskim dworze, który przyrzekł mi pomoc w u-  
wolnieniu uwięzionego i w uzyskaniu prawomo-  
cności w tym względzie!“ Geronimo Robert był  
zupełnie z tego zadowolonym. Tedy rzekł An-  
drzej: „Przygotujcie tylko na jutro okazały  
obiad; jutro przyjdzie on tutaj, więc trzeba go  
uraczyć!“ Stało się, jak chciał Andrzej i w po-  
łudnie dnia następnego przybył szlachcic; zanim  
jednak usiedli do stołu, szepnął Andrzej Rober-  
towi do ucha, aby nic nie wspominał o jeńcu,  
gdyż to ma pozostać tajemnicą. W usposobieniu  
wesołym siedli do stołu, jedli i pili obficie, tak,  
że obiad na kilka godzin się przeciągnął. Po  
obiedzie Geronimo siadł napowrót do swojego  
biórka, a Andrzej rzekł do gościa: „Proszę pana  
ze mną do mojej sypialni dla oglądania moich  
klejnotów!“ Poszli więc razem do komnaty, znaj-  
dującej się tuż za salą, w której jedli; gdy drzwi

za sobą zamknięto, Andrzej wyjął nagle ostry nóż z za pasa i uderzył nim tak silnie szlachcica w piersi, że ten bez jęku padł na ziemię. Wówczas Andrzej poderznął mu gardło, zdjął z jego palca pierścień kosztowny i odpiął klucze, jakie miał przy sobie. Potem pobiegł spiesźnie do domu szlachcica i rzekł do jego żony: „Mąż jęj posyła mnie do was, abyście przysłali mu te kosztowności, które mi wczoraj pokazywał; na dowód prawdy posyła pierścień, pieczęć i klucze do skrzynki, w której są klejnoty!“ Kobieta łatwowierna uwierzyła tym słowom i weszła z Andrzejem do sypialni męża, gdzie znajdowały się kosztowności. Szukali ich jednak napróżno — nie znaleźć nie mogli. Kluczów było trzy, ale żaden nie nadawał się do kasetki. Szlachcianka oddała Andrzejowi klucze i rzekła: „Idźcie do mego męża napowrót i powiedzcie mu, niech sam przyjdzie, gdyż my tymi kluczami nie mogliśmy do żadnej skrzyni natrafić. Więc widocznie tutaj jęj nie ma.“

Podczas, kiedy Andrzej pobiegł do domu szlachcica, krew zabitego przepłynęła przez dyle do sali, a ztąd do kancelaryi Roberta. Zobaczywszy to Robert, przywołał służbę na miejsce i spytał, zkąd ta krew przychodzi. Ta rozbiegła się po całym domu, szukać przyczyny, aż wreszcie na górze w wiadomym już nam pokoju, znalazła zabitego szlachcica. Przerazili się tęp tak

bardzo, że nie wiedzieli, co począć. Kiedy tak stoją, nadszedł Andrzej. „Coś uczynił” — poczęli krzyczeć na niego — „zabiłeś tego człowieka!” On odrzekł spokojnie: „Łotr chciał mnie zamordować, gdyż spodziewał się znaleźć u mnie kosztowności; lepiej więc się stało, że ja jego, a nie on mnie pokrzywdził. Dla tego nie róbcie krzyku i uciszcie się. Ja wrzucę trupa do studni, a gdyby się oń pytano, odpowiedzcie: Po obiedzie panowie odeszli; odtąd nie widzieliśmy ich!” Poczem wrzucił Andrzej trupa do studni i biegł dni i noce, aż znalazł się po za granicami kraju; na żadném miejscu nie spoczął długo, lękając się, by go nie złapano. Tak przybył do Wenecyi, wkręcił się w charakterze pomocnika steru na okręt i odpłynął do Aleksandryi. Przybywszy tam, zmienił swą wiarę, przez co dobrze go widziano i był wolnym od zdrady; choćby stu nawet zamordował chrześcijan, byłby bezpiecznie przed karą ukryty.

---

Dzień, w którym dopełniono mordu, chylił się już ku zajściu, gdy Fortunat z miejsca, na którem panu swemu pakował towary, powracał do Londynu. Kiedy i tu załatwił jeszcze powierzony mu interes i do domu swego pana wrócił, nie został tak miło pozdrowionym i przywitany, jak kiedyindziej. Zdawało mu się również, że i służba pana nie jest tak swobodną i wesołą,



jak była przedtém. To niepokoiło go bardzo; zapytał więc służącej, co zaszło takiego w domu, podczas jego nieobecności, że wszyscy tak smutne mają twarze. Dobra, stara służąca, którą także sam pan domu lubił i szanował, odrzekła: „Fortunacie, nie smuć się; gdyż panu naszemu doniesiono dzisiaj listownie z Florencyi o śmierci jego szczerego przyjaciela — ztąd jego smutek i nasz smutek, bo co pana boli i nas boli. Chociaż niebożczyk nie był z panem naszym wcale pokrewnionym, przecież, jak się pan wyraził, prędzej przeboleałby śmierć swego brata, niż tego przyjaciela!“ Fortunat nie pytał się o nic więcej i nie przeszkadzał panu w żałobie.

Ale poczciwy szlachcic nie przyszedł w nocy do domu i nie dał znać o sobie swój żonie, gdyż był zabitym i leżał na dnie studni. Żona jego nie mogła się dość nadziwić, dla czego on nie powraca do domu; przecież milczała. Kiedy zaś i następnego dnia nie powrócił, stroskana kobieta posłała spytać się na dwór królewski, czy może król zatrzymał go u siebie, wysłał w jakiej sprawie lub czy gdzieindziej się nie znajduje. Skoro dowiedziano się na dworze króla, że o szlachcica dopytują się, zadziwienie było tém większe, że od wczoraj popołudnia wcale na dworze się nie pokazał. Sam król dowiedziawszy się o tém, rzekł: „Pospieszajcie w tej chwili do jego domu i przekonajcie się, czy nie wziął ze sobą powie-

rzonych mu klejnotów!“ Czepiło się go więc podejrzenie, czy szlachcic nie złakomił się na skarb tak wielki i nie uciekł z nim gdzie na kraj świata; wprawdzie uważał on go zawsze za najsprawiedliwszego człowieka, ale i to pewna, myślał sobie w duchu, że złoto i najpocziwszego przerobi na swoje kopyto!

W całym zamku wrzask stał się wielki i wszyscy dopytywali się wzajem, czy kto z nich nie widział go gdzie wczoraj lub dzisiaj. Król posłał zaś najspieszniej do żony szlachcica, aby zobaczono, czy klejnoty są ocalone. Chociaż kochał szlachcica, przecież rozkazał więcej dopytywać się o klejnoty, niż o niego; z czego przekonać się można, że gdzie rozchodzi się o dobro i mienie, tam znika wszelka miłość serca. Kiedy zapytano się żony o klejnoty i o męża, odrzekła: „Dziś już trzeci dzień, jak go nie widziałam!“ „Cóż wszakże mówił“ — pytali ludzie — „gdy odchodził z domu raz ostatni?“ „Poszedł na obiad do Floreńczyka“ — odrzekła — „potem może w godzinę przysłał jakiegoś człowieka z pieczęcią swoją i z kluczami, abym mu oddała klejnoty i mówił, że mąż mój jest w domu Geronima Roberta i że tam również są wielkie skarby, z którymi on chciał królewskie porównać. Zaprowadziłam więc posłańca do komory, w której klejnoty miały się znajdować; ale wszystkie skrzynie były puste, bez śladu kosztowności.

Do innych skrzyń klucze przysłane się nie nadały. Dla tego posłaniec odszedł z niczém, bardzo z siebie niekontent!“ Dworzanie pytali ję jeszcze, czy mąż ję nie miał innego gdzie ukrycia. „Nie“ — odrzekła kobieta — „innego ukrycia nie miał nigdzie; wszystkie listy, pieczęcie, dokumenta miał tutaj — a razem z nimi i kosztowności. W chwili wszakże, gdy posłaniec do mnie przybył, klejnotów nie było — w przeciwnym bowiem razie byłabym przesłała je przez obcego!“ Usłyszawszy to dworzanie rozkazali wszystkie skrzynie, beczki i kufry rozbić; kosztowności jednak żadnych nie znaleźli. Kobieta przeraziła się tém bardzo, że w ję domu dopuszczają się takich gwałtów; nie mniej przerażeni byli i dworzanie, że nic nie znaleźli. Król, któremu doniesiono o rezultacie poszukiwania, zasmucił się bardzo, nie tak z powodu straty pieniędzy, jakie wydał na klejnoty, jak z powodu utraty samych klejnotów. Podobnych bowiem tak artystycznie wykonanych klejnotów nie łatwo nabyć, choćby kto nie wiem ile miał pieniędzy. Ani król, ani rada jego nie wiedziała, co począć. Tyle tylko postanowiono, aby Roberta uwięzić. On miał spłacić rachunek za szlachcica. Stało się to w piątym dniu po zamordowaniu jego. Pachołcy sędzię wybrali sobie godzinę południową, kiedy Robert z całym swoim dworem siedział przy obiedzie; wtedy wpadli do domu i pojмали

wszystkich: pana, dwóch pisarzy, kucharza, parobka, dwie dziewczki i Fortunata — razem ośm osób. Tych odprowadzono do więzienia, zamknięto każdego z osobna, i również od każdego pojedynczo starano się wywiedzieć, gdzie się poszukiwani dwaj mężowie podziali. Wszyscy zeznali jednogłośnie, że szlachcic wraz z swym znajomym zaraz po obiedzie gdzieś wyszli i odtąd ani ich nie widziano, ani nie słyszano o nich. Tym jednak nie zadowolnili się sędziowie; odebrali panu i całej służbie klucze i poczeli cały dom jego, wszystkie pokoje, komory, strychy i piwnice przeszukiwać, czy przypadkiem nie leży w nich pogrzebany szlachcic; ale nie znaleziono niczego. Już chcieli odejść, gdy jednemu z nich, który trzymał w rękach latarnię i rozświecał nią przeszukującym wszystkie zakątki — wpadła w oko studnia na podwórzu. Ten pobiegł natychmiast do domu, wyjął z łóżka potężną garść słomy, wybiegł z nią na podwórze, zapalił i wrzucił do studni. W tej chwili spojrzął i dostrzegł nogę jakiegoś człowieka wystającą z wody. „Morderstwo, morderstwo!“ — zawołał parobek — „w studni leży zabity człowiek!“ W tej chwili studnię rozbito i wyciągnięto z niej człowieka z poderzniętym gardłem, który już gnął potrosze; poczem położyli go na otwartej drodze przed domem Roberta. Anglicy zobaczywszy tę zbrodnię, oburzyli się nadzwyczaj na Florenczyków i Lom-

bardów, tak że ci musieli się zamykać i ukrywać; gdyby z nich bowiem który znalazł się wtenczas na ulicy, byłby z pewnością przez nich zabity. Cała ta historia doszła do uszu króla i trybunału. Rozkazano Roberta i całą jego służbę męczyć, aby dowiedzieć się od nich o całym przebiegu sprawy, przedewszystkiem zaś o losie klejnotów.

Przyszedł więc kat, włożył mu śruby na ręce i począł gnieść nimi kości, aby męczony wyznał, kto zabił szlachcica i gdzie się królewskie klejnoty podziały. Nieszczęśliwy Robert, ani przeczuwał, żeby kiedy w życiu przyszło mu siedzieć w więzieniu i być męczonym; do złego bowiem nigdy nie był skłonny, a zbrodnia obecna, choć w jego popełniona domu, bez jego stała się winy i wiedzy. Teraz wszakże nie mógł zmienić położenia i opowiadał swoim dręczycielom, co zaszło: jak Andrzej prosił go, by dobry przygotował obiad, gdyż chce na niego zaprosić szlachcica, który obiecał mu uwolnić z więzienia jego przyjaciela, który siedzi zamknięty w Turynie. „Uczyniłem to“ — mówił dalej Robert — „w najlepszej myśli, że czynię to dla dobra króla i kraju, którego uwięziony miał być obywatelem. Zresztą o niczem nie wiedziałem więcej. Kiedy już było po obiedzie, i gość nasz wyszedł razem z Andrzejem, a ja usiadłem do pracy w mojej kancelaryi, poczułem, że przez sufit drewniany mojego



pokoju coś na mnie poczyna ściekać. Zobaczywszy krew, przeraziłem się bardzo i kazałem służbie zbadać przyczynę tego zjawiska. Służba opowiedziała mi, jak rzeczy stały. Jeszcze nie mogłem zorientować się, gdy nadbiegł Andrzej; wtedy począłem go łązać i posądzać o zbrodnią. Andrzej przyznał się, ale dopuścił się jej podobno dla tego, że szlachcic właśnie chciał jego zabić. Potem wziął Andrzej trupa i wrzucił do studni. Następnie zabrawszy manatki uciekł, ale dokąd, nie wiem.“ Podobnie jak Robert mówili i inni, chociaż ich jeszcze więcej męczono; jeden tylko Fortunat, męczony także, nic nie zeznał, bo wówczas, kiedy zbrodnią popełniono, nie było go w domu.

Ponieważ w ten sposób nic z nich stanowczego nie wydobyto, król rozgniewany, rozkazał wszystkich na jednej szubienicy powiesić i przykuć do niej łańcuchami, aby trupy ich długo wisały jako straszna przestroga dla innych. Powieszono już wszystkich z wyjątkiem kucharza i Fortunata. „Ach“ — myślał w duszy Fortunat — „gdybym był został u mego hrabiego, choćby nawet w klatce jak ptak, nie byłbym popadł w taki wstyd i nieszczęście!“ Kiedy chciano wieszać kucharza, który był Anglikiem, ten począł krzyczeć tak głośno, że go wszyscy słyszeć mogli, że Fortunat jest całkiem niewinny i o całej tej sprawie nic nie wie. Sędzia także wierzył w niewinność

Fortunata, ale chciał go powiesić, choćby z li-  
tości, gdyż był pewnym, że jako obcego krajowca  
rozdrażniony lud sam zabije. Mimo tego począł  
się naradzać z sędziami, którzy uwolnili Fortu-  
nata, dla tego, że nie był Floreńczykiem i w zbro-  
dni nie brał udziału. „No, uchódź w tej chwili  
z kraju“ — rzekł sędzia — „gdyż inaczej ko-  
biety na dródze cię zamordują.“ To mówiąc dał  
mu dwóch pachołków dla bezpieczeństwa, którzy  
odprowadzili go nad Temizę. Fortunat wsiadł  
natychmiast do łódki i jak mógł najspieszniej po-  
czął uciekać na falach rzeki ku morzu. Zna-  
lazłszy się na otwartym oceanie, uczuł się do-  
piero swobodnym.

---

Po straceniu Geronima Roberta i jego służby,  
oddał król jego dom na ogólny użytek i plądrowanie;  
ma się rozumieć, że w pierw radcy królewscy  
wzięli co najlepsze. Floreńczycy jednak i  
Lombardowie, usłyszawszy o tém pozwoleniu,  
w bojaźni o mienie swoje i życie, zanieśli prośby  
do króla, ażeby im dał ochronę, gdyż oni nie-  
winni są zbrodni. Król skłonił się do ich prośby,  
bo tak wymagało prawo. Gdzie się mogły znaj-  
dować klejnoty, o tem dotychczas jeszcze nie wie-  
dziano; dlatego kazał król rozgłosić publicznie,  
że ktoby jakąkolwiek mógł podać o tych skar-  
bach wiadomość, ten w nagrodę dostanie tysiąc  
nobli; rozpisano także listy do wszystkich książąt

i wielkich panów, którzy trzymali dwory, jak również do potężnych i bogatych miast — z prośbą, aby każdego, któryby zjawiał się u nich z tymi skarbami, natychmiast aresztowali i odstawili do Londynu. Mimo tego, że nagroda była dość wysoka, a ludzie chciwi są pieniędzy — nikt z podobną wiadomością się nie zgłosił.

Ten stan trwał tak długo, dopóki żona zabitego szlachcica trzydziestodniowej żałoby nie skończyła; poczem dniem po dniu coraz więcej zapomniała o swoim wdowieństwie i zapraszała do siebie liczne towarzyszki i sąsiadki. Między niemi znajdowała się jedna, również od niedawnego czasu owdowiała; ta rzekła: „Gdybyście mnie chcieli posłuchać, nauczyłabym was jak sobie smutek za umarłym mężem skrócić i osłodzić. Otóż radzę wam, abyście więcej gości u siebie widzieć mogli, uporządkować pokój niebożczyka męża, który jest ze wszystkich największy. Tu jest za ciasno — tam moglibyście się pięknie urządzić, a to koniecznym jest, aby u was goście dworscy bywać mogli. W ten sposób koło waszych znajomych się rozszerzy, tak, że nie będziecie nigdy mieli wolnej chwili dla siebie, a więc i wolnych chwil do rozmyślań.“ O kochana moja towarzyszko — odrzekła wdowa — „nie mogę mego męża tak prędko zapomnieć, bo kochałam go prawdziwie.“ Przecież słowa towarzyszki zostały jej w pamięci i kiedy goście

odeszli, tłumacząc sobie, że to pamięci zmarłego nie ubliży, poczęła w pokoju męża porządkować, wnosić jego skrzynie i narzędzia różne, a nawet i łóżko. I oto patrzcie w głębi pod łóżkiem ukazały się tak gorączkowo poszukiwane klejnoty. Wdowa zaraz poznała szkatułę, rzuciła się też na nią rozradowana i schowała do siebie. W końcu uporządkowała w pokoju wszystko, umebłowała i ozdobiła jak najwspaniałej, a zaprosiwszy do siebie najbliższych krewnych, opowiedziała im wszystko i żądała rady, co z klejnotami ma począć. Kiedy najstarszy krewny ochłonął już ze zdumienia, rzekł do wdowy: „Gdybyście chcieli usłuchać mojej rady, sądzę, że najlepiejby było, w tejże chwili udać się do króla, całą prawdę mu powiedzieć i kosztowności mu oddać. Pozostawcie to już jego wspaniałomyślności, czy on wam z tego co daruje, czy nie. Gdybyście bowiem chcieli je ukryć, lub w innym kraju sprzedać, rzeczby się zaraz wydała, bo klejnoty te, z powodu opisu rozesłanego przez króla, znane są wszędzie. W razie odkrycia i my wszyscy, którzy o tém wiedzieli, padliby śmiercią, a król napowrótby również swoją własność odebrał.“

Ta rada bardzo się podobała szlachetnej kobiecie, zaraz ubrała się w najpiękniejsze suknie, chociaż żałobne, wzięła kasetkę z klejnotami i w towarzystwie swego krewnego, udała się na zamek królewski, gdzie prosiła o posłuchanie. Król

pozwoił jęj przyjsć. Wszedłszy do sali upadła przed królem na kolana, oddała mu ukłón głę- boki i rzekła: „Najlaskawszy królu i panie! przychodzę przed wasz majestat, aby wam do- nieść, że klejnoty, dane mojemu mężowi dla bez- piecznego przechowania i doręczenia ich księżnej burgundzkiej, dzisiaj przypadkowo porządkując w domu, znalazłam. Były one ukryte pod stawką łózkową, tak że nikt się tam ich nie domysłał. Dla tego pospieszam oddać je wam, jako prawo- mocnemu ich panu.“ Mówiąc to, podała mu szkatułę. Król otworzył ją zaraz i ku swęj wiel- kiej radości, znalazł wszystkie pięć sztuk klejno- tów nienaruszonych całkiem. Przyglądał im się z upodobaniem i cieszyło go bardzo, że wdowa okazała się tak szlachetną. Trudność mu jednak sprawiał wybór nagrody, jaką chciał obdarzyć wdowę po swym rzetelnym skarbniku, który ży- ciem zapłacił za powierzone mu klejnoty. Za- wołał przeto młodego szlachcica, służącego na jego dworze, a który tak pięknoscią jak i znako- mitem urodzeniem się odznaczał — i zapytał go: „Kochany synu, mam do ciebie wielką prośbę, której, spodziewam się, mi nie odmówisz!“ Mło- dzieniec odrzekł: „Panie, nie prosić, ale rozka- zywać winniście; a ja rozkazów słuchoać mam prawo!“

Król kazał w tęg chwili przyjsć księdzu, i w jego obecności pobłogosławić młodzieńca



i wdowę jako małżonków i obdarzył ich nadzwyczaj hojnie. Obydwoje żyli też istotnie w pokoju i szczęściu; młoda małżonka poszła zaraz do swęj towarzyszki, podziękować jęj serdecznie za radę, którą jęj dała przez namowę uporządkowania mężowskiego pokoju. „Gdyż“ — mówiła — „gdybym waszjęj rady nie była posłuchała, ani król nie miałby klejnotów, ani ja pięknego młodego męża. Dla tego dobrze jest słuchać rady ludzi mądrzejszych.“

A teraz słuchajcie co się działo dalej z Fortunatem, gdy uniknął szubienicy. Nie miał już ani grosza przy sobie kiedy przybył do francuzkij Pikardyi. Chętnieby służył, ale nie mógł znaleźć pana. Udał się więc dalej do Brytanii. Tam przyszedł do dzikiego lasu, w którym cały dzień przepędził; gdy noc nadeszła ukrył się w staręj chacie, w któręj przed laty szkło robiono. Ucieszył się, sądząc, że znajdzie w nięj ludzi; nie znalazł ani żywęj duszy. Smutny i głodny pozostał jednak w kryjówce, gdzie przynajmniej bezpieczny był od dzikich zwierząt, które się w lesie uganiały. Nie mógł się dnia doczekać, gdyż we dnie prędzęj spodziewał się znaleźć jakiego pokarmu, a głód mu już bardzo dokuczał. O świcie wybrał się w dalszą drógę; szedł, szedł, a las zamiast rzednąć, coraz stawał się gęściejszy. Znowu dzień cały upłynął, i noc

nadeszła. Fortunat już był całkiem bezsilny, gdyż dwa dni nie jadł. Na szczęście napotkał starą studnię, która przynajmniej pragnienie jego ugasiła. To mu dodało trochę sił; usiadł przy studni i zapatrzył się w księżyc. Nagle usłyszał trzask w lesie, a za nim mruczenie niedźwiedzia. „Ani siedzieć, ani uciekać dalej nie można, gdyż dzikie zwierzęta prześcigają ludzi.“ Wszedł tedy na wysoki pień drzewa, znajdujący się blisko studni, ztamtąd przypatrywał się jak różnego rodzaju zwierzęta dzikie przychodziły pić, i z dzikim chałasem bodły się i gryzły. Między nimi znajdował się młody niedźwiedź; ten dostrzegł ślad Fortunata na drzewie i począł na nie się wspinać. Fortunat w wielkim strachu począł drapać się coraz wyżej, ale i niedźwiedź za nim. Znalazłszy się już na ostatniej gałęzi, która kołysała się pod nim niebezpiecznie, dobył swego mieczyka, i zrozpaczony dwukrotnie uderzył nieprzyjaciela w głowę. Niedźwiedź rozwścieklony, puścił z przednich łap gałąź i tak gwałtownie uderzył nimi na Fortunata, że i tylne nogi ześliznęły się z drzewa i zwierz z łoskotem spadł na ziemię. Łoskot spadającego potwora rozbrzmiał po całym lesie i tak przeraził wszystkie zgromadzone koło studni zwierzęta, że w panicznym popłochu zaczęły uciekać. Fortunat bał się opuścić swego stanowiska na drzewie; w końcu jednak, lękając się, by nie zasnął i we śnie sam

z drzewa nie spadł i nie zabił się, powoli zszedł z drzewa i z trwogą przystąpił do leżącego na ziemi niedźwiedzia. Przekonawszy się, że drapiezca jest już pół żywy, przebił go swym mieczykiem. Potem przyłożył usta do otwartej rany i ssął z niej przez chwilę ciepłą krew niedźwiedzia. To dodało mu siły. Pokrzepiwszy się w ten sposób, położył się obok zabitego niedźwiedzia i zasnął smacznie.

Obudziwszy się dość późnym porankiem, zadziwił się niemało, zobaczywszy przed sobą piękną kobietę. „O dziękuję Ci wszechmogący Boże“ — rzekł rozrzewniony — „że przed śmiercią zsyłasz mi jeszcze człowieka! Kochana pani, proszę was, chciejcie mi pomóc i wskażcie mi drogę, którąbym mógł wyjść z tego lasu, gdzie już trzy dni bez pokarmu pozostaję!“ Potem opowiedział jej przyczynę swjej ucieczki. „A z kąd jesteście?“ — zapytała kobieta. „Z wyspy Cypru!“ — odrzekł Fortunat. „Dla czegoż się tak błąkasz tutaj?“ — pytała dalej kobieta. „Zmusza mnie do tego nędza“ — odrzekł zapytany — „chodzę i szukam czy mi Bóg nie użyczy choć tyle szczęścia, abym codziennym potrzebom mógł zadośćuczynić!“ Wtedy rzekła piękna kobieta: „Fortunacie nie lękaj się! Jestem fortuna, władczyni szczęścia; z łaski nieba, gwiazd i planet, mam udzielonych sześć darów, które mogę dalej udzielać, jeden albo więcej, albo wszystkie razem;

są nimi: mądrość, bogactwo, siła, zdrowie, piękność i długie życie. Wybierz sobie jeden z tych sześciu, a nie namyślaj się długo, gdyż godzina w której mogę ci dać szczęście, już upływa!“

Fortunat nie namyślał się też długo i rzekł: „No, jeżeliś taka dobra, to wybieram bogactwo, żeby mi nigdy złota nie brakło.“ Fortuna podała mu w tój chwili worek i rzekła: „Weź ten worek, ile razy nim wstrząsniesz, w którymkolwiek byłbyś kraju, i jakikolwiek byłby tam pieniądz w obiegu, za każdym razem wypadnie zeń dziesięć sztuk złota, tój lub owój waluty. Worek ten, tak długo będzie posiadał ten przymiot, i to dla ciebie i dla twoich dzieci i dla wszystkich innych ludzi, dopóki ty lub dzieci twoje żyć będą; po waszój śmierci worek postrada swą siłę. Dla tego używaj go jak tylko chcesz i uważaj nań jak na oko w głowie!“ Jakkolwiek Fortunat, w obecnym swym stanie, niczego innego jak tylko pokarmu pożądał, przecież miał nadzieję, że pieniędzmi wszystko zrobi, i to mu jeszcze więcej sił dodało. „O potężna pani!“ — rzekł Fortunat — „nie może być abyś za dar tak wielki nie była z méj strony nagrodzoną. Sama wdzięczność nakazuje mi uczcić cię w jaki bądź sposób!“ Fortuna odrzekła łagodnie: „Kiedy tak jesteś szlachetnym, że w zamian za mój dar chcesz mi się czem inném odpłacić, przyrzeknij, że od dziś dnia corocznie będziesz święcił dzień mojego spotkania,

że niczem w tym dniu się nie skalasz i gdziekolwiek byś był, obowiązkiem twym będzie, wywiedzieć się o ubogiej rodzinie, mającej córkę na wydaniu, która jedynie dla braku majątku za mąż wyjść nie może. Tak ją jak i jej rodziców masz obdarzyć kosztownymi sukniami i datkiem czterechset sztuk złota; na pamięć dnia dzisiajszego, w którym uszczęśliwiłam cię majątkiem, ty rok rocznie jedną taką rodzinę i każdą taką ubogą dziewczycę obdarz majątkiem i szczęściem!“ „Dobrze“ — rzekł Fortunat pełen radości — „szlachetna pani, o warunkach tych, póki żyję, nie zapomnę; wryły się one głęboko w moje serce i w pamięć!“ Przytem wszystkiem chciał jednak Fortunat wyjść jak najprędzej z lasu i prosił o to Fortuny, aby mu pomogła w wyszukaniu drogi. „Zabłąkanie się twoje było szczęściem dla ciebie“ — odrzekło Szczęście — „idź więc za mną!“ Z tymi słowami poprowadziła go Fortuna w środek lasu, z kąd widać było wyraźnie drogę i rzekła mu: „Idź tędy wprost i nie obracaj się, nie śledź mnie, którądy ja pójdę. Jeżeli to uczynisz w krótcie wyjdiesz z lasu.“

---

Fortunat usłuchał rady Szczęścia, pospieszył wskazaną drogą i w krótcie dostał się na kraj lasu, gdzie stał dom obszerny, będący zajazdem dla ludzi przez las podróżujących, którzy tutaj zazwyczaj stawali popasem. Znalazłszy się



w bliskości domu, wyjął z zanadrza worek i potrząsnął nim dla próby. W téj chwili wypadło z niego dziesięć złotych koron. Ucieszył się tém bardzo, z rozradowaną twarzą przyszedł do gospodarza i krzyknął: „Jeść mi tu dajcie, przyjacielu, bo ledwie nie umrę z głodu; za wszystko ci hojnie zapłacę!“ Mowa ta bardzo podobała się gospodarzowi, przyniósł mu też wszystko co miał najlepszego w domu.

Fortunat nietylko głód zaspokoił należycie, ale i siły dawne odzyskał. Dla wypoczynku został tu<sup>u</sup> dwa dni. Odkupił potem od gospodarza wierzchowca, aby prędzej dostać się do jakiego pana, zapłacił rzeczywiście hojnie gospodarzowi za wszystko, i udał się w drogę. O dwie mile drogi od zajazdu, natrafił na małe miasteczko z pięknym bardzo zamkiem. W zamku tym mieszkał hrabia, który z polecenia księcia Brytanii miał obowiązek czuwać nad okolicznymi lasami. W miasteczku tém poszedł Fortunat do najlepszego gospodarza z zapytaniem, czyby nie miał do sprzedania kilka ładnych koni. Gospodarz odrzekł: „Znalazłyby się, bo wczoraj właśnie przybył tutaj obcy kupiec z piętnastoma ślicznymi rumakami; udaje się on na wesele księcia z córką króla aragońskiego. Z pomiędzy piętnastu tych koni, trzy szczególną odznaczają się pięknością; nasz landgraf dawał za nie po trzysta koron, kupiec wszakże żąda po trzysta dwadzieścia; tak

więc rozchodzi się tylko o dwadzieścia koron.“ Fortunat opuścił gospodarza, udał się do swego pokoju i tam po licznych wstrząśnieniach workiem, wysypał z niego tysiąc kilkaset koron, którymi starą skórzaną torbę napełnił. Potem powrócił do gospodarza i zapytał, gdzie można kupca tego odszukać i czy on istotnie ma tak piękny towar; w razie danym chętnie samby je nabył. „Lękam się czy wam pokaże“ — rzekł gospodarz — „gdyż przed chwilą właśnie oglądał je pan nasz hrabia.“ Fortunat odrzekł: „Jeśli mi się konie spodobają, mogę je prędzej kupić, niż hrabia. Dla czegóż nie ma mi ich pokazać?“ Gospodarzowi wydała się ta mowa przesadną, gdyż Fortunat ani sukni ładnej na sobie nie miał, ani żadnego sługi, a przyszedł pieszo. Pomimo to gospodarz zaprowadził go do koniarza, i mówił z nim tak długo, dopóki koni nie pokazał. Fortunat obejrzał je i wszystkie bardzo mu się podobały. Wybrał przecież tylko trzy, które hrabia chciał nabyć; wyjął swój worek i zapłacił na miejscu żadaną sumę. Następnie kazał kupione konie zaprowadzić do gospody, posłał po siodlarza, któremu polecił zrobić dla nich najkosztowniejsze siodła i uprzęż; gospodarza zaś prosił o wyszukanie mu dwóch pachołków, którym obiecał dać żołą bogaty.

Kiedy Fortunat wszystko już zakupił, hrabia dowiedział się o tém i bardzo się rozgniewał; namyślił się już bowiem dać koniarzowi wyma-

ganą przez niego sumę. Z końmi tymi chciał jechać na wesele księcia, a tymczasem ujrzał je w rękach innych. W gniewie posłał do gospody służącego z zapytaniem, co to za człowiek, który mu konie z rąk prawie wydarł? Gospodarz odrzekł, że nie zna go, gdyż przybył bardzo ubogo. „Z powierzchowności sądząc“ — mówił dalej gospodarz — „bałem się mu dać obiad, lękając się czy mi będzie w stanie zapłacić.“ Posłaniec hrabiego jeszcze bardziej się rozgniewał i zapytał, dla czego jeszcze zaprowadził go do koniarza. „Et“ — odrzekł gospodarz — „uczyniłem tylko to, co grzeczny gospodarz dla gościa swego zrobić powinien. Prosił mnie, żebym mu towarzyszył, więc poszedłem. Ale prawdę powiedziałem, że nie będzie w stanie nie już konia, ale choćby osła kupić!“

Posłaniec wrócił do swego pana i całą rzecz mu opowiedział. Hrabia dowiedziawszy się w dodatku, że nieznajomy kupiec nawet szlachcicem nie jest, zawołał w gniewie do swojej służby: „Idźcie i przyprowadźcie mi tego człowieka! Musiał on te pieniądze ukraść albo zrabować, a kto wie, czy i nie zabił prawomocnego ich posiadacza!“ Służba schwytała Fortunata i zaprowadziła do więzienia. Tutaj zapytano się go surowo z kąd pochodzi. Fortunat odrzekł, że z wyspy Cypru, z miasta Tamagusty. Na zapytanie, czem jest jego ojciec, odrzekł: „Ubogim szlachcicem!“ Hra-

biemu podobało się to, że więzień z tak dalekich pochodzi krajów, dla tego wywiadywał się dalej, zkąd wziął tak wielkie pieniądze. Fortunat odpowiedział dumnie, że nie czuje się w powinności przed kimś źródło swych dochodów odkrywać. Gdyby ktoś zarzucał mu nieprawne ich posiadania, chętnie stanie z przeciwnikiem przed sędziami! Hrabia jednak odrzekł: „Nie wytłumaczysz się taką bezrozumną gadaniną; w krótcie ty mi prawdę powiesz!“ I rozkazał zaprowadzić go na miejsce, gdzie złoczyńców męczono. Fortunat przestraszył się tём; postanowił raczej umrzeć, niż wydać tajemniczą własność worka. Kiedy zawieszono go na palu z ciężarem u nóg, który mu stawy wyciągał, prosił Fortunat, aby go zwolniono a powie wszystko. Gdy go zwolniono rzekł hrabia: „No, powiedz mi zkąd wzięłeś te złote korony?“ Wtedy opowiedział Fortunat jak zbłąkawszy się w lesie trzy dni bez pożywienia zostawał. „Wreszcie Bóg ulitował się nademną, że jakoś znalazłem drogę, wyszedłem szczęśliwie z lasu i znalazłem worek z kilkuset koronami.“ „Gdzie jest ten worek?“ — zapytał hrabia. „Policzywszy pieniądze“ — tłumaczył się Fortunat — „przełożyłem je do mojej torby, a znaleziony worek rzuciłem do wody, która przez środek lasu płynęła.“ „A łotrze“ — rzekł hrabia — „chciałeś pozbawić mnie mojej własności? Wiedz, że należysz do mnie ciałem i majątkiem, gdyż co

w lesie znalezione, do mnie należy i moją tylko jest własnością!“ „Łaskawy panie“ — odrzekł Fortunat — „nie a nie nie wiedziałem o tém waszém prawie; podziękowałem Bogu za pieniądze i uważałem to za Jego łaskę!“ „A czy nie sły-  
szałeś“ — krzyknął hrabia — „kto nie wie, ten się pyta! Ale krótko mówiąc przygotuj się: dziś odbiorę ci pieniądze, a jutro życie!“ „Och ja biedny“ — myślał w duchu Fortunat — „dla czego z pomiędzy sześciu darów nie wybrałem mądrości zamiast pieniędzy; nie byłbym dzisiaj w takim kłopotcie!“

Począł więc prosić o łaskę i rzekł do hrabiego: „Łaskawy panie, miej litość nademną! Na cóż przyda się Wam śmierć moja? Weźcie znalezione pieniądze, jeżeli do Was należą, ale nie odbierajcie mi życia. Jak długo żyć będę, modlić się będę do Boga o szczęście i pomyślność Waszą!“ Trudno było hrabiemu darować mu życie, gdyż bał się, aby Fortunat nie rozpowiedział ludziom o tém zdarzeniu, przez co on mógłby popaść w niełaskę u księcia. Przecież na prośby sług swoich odebrał mu pieniądze i konie, a z resztą puścił wolno, dawszy mu jeszcze dwie korony na drogę. Rozkazał mu przytém nigdy w życiu granic jego posiadłości nie przekraczać.

---

Fortunat był ucieszony, że przynajmniej tak się skończyło; ale bał się użyć swego czarodziej-



skiego woreczka, aby znów przez pieniądze nie popaść w nieszczęście. Tak więc z dwoma tylko koronami w kieszeni, szedł dwa dni o skromnym posiłku, aż przybył do brytańskiego miasta Andegawy, które leży nad morzem. Tu zobaczył zgromadzonych wielu książąt i panów, gdyż wszyscy czekali na królową. Był to właśnie dzień wesela; każdy z panów chciał odznaczyć się dzisiaj w uroczystościach rycerskich, które na cześć królowej urządzano. Fortunat myślał sobie w duchu: „Chętnie użyłbym mego woreczka, abym również godnie mógł w zabawach wystąpić; ale lękam się bym znowu nie miał podobnego zajścia jak z hrabią!“ W końcu jednak przemógł swoją obawę, kupił dwa śliczne konie i przyjął do siebie giermka; siebie i jego ubrał jak można najbogaciej, również sprawił koniom kosztowną uprzęż i tak zajechał do najlepszego hotelu jaki był w mieście i cierpliwie oczekiwał rozpoczęcia zabaw.

Królowa przybywała z za morza, wysłano więc przed nią wiele wspaniałych okrętów, aby ją przyjąć jak najuroczyściej. Daleko piękniej jeszcze wyglądało przyjęcie na lądzie, gdzie wyszedł jej naprzeciw mąż otoczony strojącą świtą książąt i szlachty. Wesele królewskie trwało sześć tygodni i trzy dni. Fortunatowi wszystko podobało się bardzo, codziennie szedł albo jechał na zamek i brał udział w uroczystościach. W hotelu nie zostawiał nigdy ani pieniędzy ani żadnych

sprzętów. Gospodarz nie był z tego zadowolony, gdyż bał się, aby mu cudzoziemiec nie zechciał wyrządzić krzywdy i bez zapłacenia odjechać. A trafiało mu się to często, zwłaszcza podczas takich zjazdów. Dla tego rzekł do Fortunata: „Mój drogi przyjacielu, nie znam was; bądźcie tak dobrzy i zapłaćcie mi za wszystkie dni waszego pobytu!“ Ten rozśmiał się i rzekł: „Kochany gospodarzu, nie myślę przecież odjechać ztąd nie zapłaciwszy!“ Mówiąc to wyjął sto koron i dał je gospodarzowi. „Weźcie te pieniądze“ — dodał — „a jeśli się będzie więcej należało przypomnijcie mi, a bez rachunku zapłacę.“ Gospodarz złapał pieniądze z chciwością i odtąd, z prawdziwą czcią, ile razy z nim mówił, zawsze zdejmował czapkę i kłaniał się pokornie; zaprowadził go do najpierwszej w hotelu jadalni i wynajął mu dziesięć razy piękniejsze mieszkanie jakie dotąd zajmował.

Kiedy raz Fortunat siedział z innymi panami przy stole, do którego przychodzili różni wydrwigrosze, zwabieni złotem panów, karciarze, komedyanci, bruchomówcy i t. p. — przyszedł także jakiś biedny szlachcic, który skarżył się na swoją nędzę i mówił, że pochodzi z Hibernii, że siedm lat wędrował po świecie, że wszere i wzdłuż przebiegł dwa cesarstwa i dwadzieścia królestw, to jest tyle, ile wówczas ich w chrześcijaństwie było; w podróżach tych, zniszczył zdro-

wie i stracił mienie i teraz nie ma z czém do domu powrócić. Hrabia, który z nim dłuższy czas rozmawiał i o różne kraje się dopytywał, podał mu przez stół cztery korony i rzekł: „Jeżeli chcecie, możecie tu przez czas uroczystości pozostać; ja za was zapłacę!“ Ten jednak podziękował i rzekł: „Dziękuję ślicznie za łaskę, ale nie mogę jęj przyjąć, bo tęskno mi już za domem!“

Fortunat, który również mowie starego chętnie się przysłuchiwał pomyślał, jakby to dobrze było, żeby go ten bywalec po wszystkich, przez niego zwiedzanych krajach oprowadzał; onby nagrodził go za to hojnie. Po obiedzie kazał go więc do siebie przywołać i rzekł: „Jak się nazywacie?“ „Leopold“ — odrzekł zapytany. „Jeżelim dobrze słyszał, to podróżowaliście wiele i byliście na wielu dworach królewskich. Ja jestem młody i chętnie chciałbym także podróżować. Gdybyś mi chciał służyć za przewodnika, dałbym ci konia, pachołka do obsługi i pomocy, uważałbym cię za brata i dałbym ci tyle pieniędzy ilebyś zechciał.“ Stary Leopold odrzekł: „Gdyby się tylko o mnie rozchodziło, na tak świetne warunki przystałbym zaraz; ale stary jestem, mam żonę i dzieci, którzy nic o mnie nie wiedzą, a serce ciągnie mnie do nich.“ „Posłuchaj mnie Leopoldzie“ — rzekł Fortunat — „zastósuj się do mojej woli. Pojadę z tobą do

Hibernii, abyś się z rodziną mógł zobaczyć; jeżeli żyją, zabezpieczę im przyszłość, a po ukończeniu podróży, gdy przybędziemy do miasta Tamagusty na Cyprze, jeżeli zechcesz tam zamieszkać, dam ci dom, majątek i służbę!“ Leopold pomyślał sobie: „Ten młody człowiek obiecuje mi wiele; gdyby to było prawdą, mógłbym szczęście zrobić na starość!“ Dla tego odrzekł Fortunatowi: „Panie, zrobię co chcecie, ale musicie się wpierw wystarzać o pieniądze, gdyż bez nich nic przedsiębrać nie można!“ „Nie staraj się o to“ — odpowiedział Fortunat — „pieniędzy mieć dość będziesz w każdym kraju. Przynieś mi tylko, że słowa dotrzymasz i do końca podróży będziesz mi towarzyszył.“ Obydwaj przysięgli sobie wierność, że nie opuszczą się w żadnej potrzebie. Fortunat wyjął zaraz dwieście koron i dał je Leopoldowi. „Idź“ — rzekł doń — „i kup dwa piękne konie. Pieniądzy nie żałuj; postaraj się o pachołka; nie spodoba ci się jeden weź innego. Zabraknie ci pieniędzy, przyjdź do mnie; nigdy bez pieniędzy być nie możesz!“

Podobało się to Leopoldowi. Uradowany takim początkiem z radością przygotowywał się do podróży. To samo czynił Fortunat; nie wziął jednak więcej jak dwóch pachołków i jednego chłopca, tak że razem było ich sześciu. Potem porozumieli się z sobą w jakim porządku będą zwiedzać kraje, i że najpierw zwiedzą państwo

kościelne. Udali się więc do Norymbergii, ztąd do Donauvörth i Augsburga, do Nördlingen i Ulm; przez Kostnic, Bazyleę, Strassburg, Moguncyę i Kolonię. Z Kolonii udali się ku miastu Brug we Flandryi, a ztąd morzem do Londynu; potem do Edynburga, stolicy Szkocyi, która leży dziewięć dni drogi od Londynu.

---

Gdy tam przybyli, mieli jeszcze sześć dni podróży do Hibernii i do miasta, które było ojczyzną Leopolda. Tedy przypomniał Leopold swemu panu obietnicę i Fortunat zgodził się jechać z nim razem do Hibernii. Tak przybyli w końcu do miasta Valdric, gdzie Leopold miał swoje domostwo. Ten zastał swoją żonę i dzieci z tą tylko zmianą, że jedna córka poszła za męża, a syn się ożenił; wszyscy uradowani byli z jego powrotu. Fortunat będąc przekonany, że gospodarstwo rodziny Leopolda, nie zbyt świetnie stoi, dał mu sto nobli, aby za nie nakupił potrzebnych żywności, i wszystko, co do przyjęcia należy, przygotował. Leopold poczynił odpowiednie przygotowania, zaprosił wszystkie swoje dzieci i dobrych znajomych i wyprawił taki suty obiad, że całe miasto mogłoby się pożywić. Fortunat cieszył się razem z nimi, lecz zaraz po obiedzie odprowadził Leopolda na bok i rzekł mu do ucha: „Leopoldzie, pożegnaj swoją żonę i dzieci; masz tutaj trzy woreczki; w każdym po pięćset nobli,



a wiesz, że nobel ma więcej jak półtrzecia guldena; jeden worek dasz swojej żonie, drugi najstarszemu synowi, trzeci twojej najstarszej córce!" Leopold uradował się dobrą sercem Fortunata i obdzielił pieniędzmi rodzinę.

Fortunat dowiedział się, że ztąd dwa dni drogi jeszcze do miasta, gdzie święty Patrycyusz mieszkał. Pojechali więc do miasta Vernic, które również leży w Hibernii. Jest tam wielkie opactwo; w kościele za wielkim ołtarzem znajdują się drzwi, przez które wchodzi się do ciemnej jaskini, zwaną czyścem św. Patrycyusza. Nikt tam bez pozwolenia opata wejść nie może. Leopold wszakże otrzymał pozwolenie; a gdy opat dowiedział się, że pan jego i towarzysz jest szlachcicem z Cypru, obydwóch zaprosił do siebie. Fortunat wielki ten zaszczyt umiał ocenić; kupił wielką beczkę najlepszego wina, jakiego tylko mógł w mieście dostać i posłał ją opatowi. Wino było tam bardzo drogie; klasztor używał go tylko do Mszy świętej, a rzadko kiedy do domowego użytku; ztąd też podarunek Fortunata został mile przyjęty. Kiedy obiad się skończył, Fortunat rzekł: „Łaskawy panie, jeżeliby się to nie sprzeciwiało waszej godności, prosiłbym was o objaśnienie, dla czego jaskinia ta zowie się czyścem św. Patrycyusza.“ Opat odrzekł: „Chętnie was objaśnię. Przed wielu wiekami, w miejscu, gdzie dzisiaj jest miasto i klasztor, była dzika puszcza.

Niedaleko ztąd żył wówczas opat zwany Patry-  
cym, człowiek bardzo pobożny, który często do  
tęj puszczy zachodził, aby w samotności kilka  
dni swobodnie rozmyślać; całkiem niespodzianie  
znalazł on tutaj jaskinię, która była bardzo długa  
i głęboka. Wszedł do niej tak daleko, że się  
w jej krużgankach zabłąkał i wyjść nie mógł.  
Wtedy upadł na kolana i błagał Boga, czyby nie  
było przeciw Jego woli świętej, aby go ztąd  
bezpiecznie wyprowadził. Modląc się tak, usły-  
szał w głębi jaskini jakiś krzyk żałosny. Jemu  
wszakże Bóg dopomógł i wyszedł szczęśliwie  
z jaskini. Dziękował za to Bogu całe życie,  
i odtąd stał się jeszcze pobożniejszym, a pobożni  
ludzie wystawili w tém miejscu klasztor.“ „A cóż  
mówią pielgrzymi, którzy wychodzą z jaskini?“ —  
spytał Fortunat. Opat odrzekł: „Nie pytam się  
żadnego; jednak mówią, jakoby słyszeli w głębi  
jaskini żałosne wołanie; inni opowiadają, że nic  
nie widzieli ani nie słyszeli, ale że ich tam stra-  
szyło.“ Na to rzekł Fortunat: „Przychodząc  
z dalekich krajów, gdybym nie był w tej jaskini  
o której tyle opowiadają, za grzech bym sobie  
to poczytywał. Dla tego nie wyjdę ztąd pierwój,  
dopóki w czysćcu nie będę.“

Opat nie stawiał przeszkód Fortunatowi,  
przestrzegał go tylko, żeby się daleko w jaskinię  
nie zapuszczał, gdyżby się zabłąkał jak się to  
już kilku zwiedzającym zdarzyło, którzy po czte-

rech dniach zostali odnalezieni. Fortunat nie odstępował od swego zamiaru i zapytał Leopolda, czy chce mu towarzyszyć. „Tak jest“ — odrzekł Leopold, chcę być z wami wszędzie aż do końca mego życia.“ Następnego dnia udali się do kościoła, przyjęli św. Komunią i weszli do czyścica. W ciemności idąc, nie mogli się zorientować i w krótkce zbłądzili. Nad ranem dnia następnego usłyszeli przy drzwiach wchodowych wołanie księży; dla tego śmielej poczęli chodzić po jaskini, szukając wyjścia. W końcu jednak obydwaj nie mogli sobie nic pomódz, godziny za godzinami upływały, głód i pragnienie zaczęły im coraz więcej dotykać, a w coraz większą wchodzili matnię. Zwątpiwszy już o ratunku, upadli na kolana i poczęli się modlić: „O przyjdź nam z pomocą wszechmocny Boże, bo tu ani srebrem, ani złotem się nie wyratujemy, i na nic nie przyda się mój worek szczęścia.“ Potem siedli na ziemię jak skazańcy i nie myśleli już wcale o ratunku. Księża wszakże zakłopotani tym długim pobytem cudzoziemców w jaskini, poszli do opata po poradę, co czynić. Żał im było podróźnych, a zwłaszcza Fortunata, który im beczkę wina darował. Przybiegła także służba cudzoziemców, rozpaczając za swymi panami.

Opat znał starego człowieka, który przed kilkoma laty jaskinię sznurem wymierzał. Po niego więc teraz posłał, z prośbą, aby zagubio-

nych wynalazł. Służba obiecała mu ze swęj strony sto nobli. „Jeżeli są jeszcze przy życiu“, odrzekł stary, „to wyprowadzę ich ztamtąd.“ Potem wziął sznur i różne instrumenta, wszedł do jaskini i począł ją w różnych kierunkach przeszukiwać. Wreszcie znalazł zbłąkanych, którzy omdleli leżeli na ziemi. Otrzeźwiwszy ich nieco, rozkazał im trzymać się jego sznuru i tak dzięki pomocy Bożkiej i starego człowieka, powrócili do ludzi. Opat ucieszył się tem bardzo, gdyż bał się, że przez zaginienie cudzoziemców, klasztor wiele utraci, pielgrzymi nie będą do klasztoru przychodzić i dochody zakonne upadną. Stary wybawca otrzymał obiecanych sto nobli z ręki Fortunata; Fortunat zaś w najlepszym zajeździe wyprawił ucztę, na którą opata, zakonników i owego starca zaprosił. Poczem podziękował Bogu za wybawienie, i zostawił konwentowi sto nobli, ażeby się za niego modlono.

---

Pożegnawszy się z opatem Fortunat i jego towarzysze powrócili napowrót i przez morze odpłynęli do miasta Calais, aby ztamtąd dalszą podróż wykonać. Przez Picardya dostali się do Paryża, zwiedzili całą Francya, Hiszpanią, Neapol, Rzym i Wenecyą. W Wenecyi dowiedzieli się, że cesarz grecki w Konstantynopolu ma syna, którego chce koronować na cesarza, ponieważ on sam jest już w późnych latach. Wenecyanie na

pewno już o tem wiedzieli, dla tego przygotowywali poselstwo, które na okrętach miało się udać do Konstantynopola, oddać hołd należny nowemu panu i złożyć mu w darze kosztowne klejnoty. Fortunat również dostał się na odpływający okręt, i z całą swą dróżyną, wraz z Wenecyanami odpłynął do Carogrodu. Wenecyanom oddano do użytku dom całkiem osobny; ale ci nikogo z obcych do siebie przyjąć nie chcieli, więc i Fortunat musiał sobie szukać mieszkania. Po długiem tułaniu się po mieście, znalazł przecież wcale mizerną gospodę, której gospodarz był złodziejem.

Fortunat codziennie wychodził ze swymi towarzyszami na uroczystości. Mieli oni całkiem osobny pokój, który szczelnie zamykali; sądzili więc, że bezpiecznie mogą zostawić w niem wszystkie swoje rzeczy. Gospodarz jednak wiedział o tajemnem wejściu do izby, gdyż tam gdzie stało łóżko przy drewnianej ścianie, mógł z łatwością jedną deskę wyjąć i napowrót wsadzić, bez zwrócenia na to czyjejs uwagi. Otworem tém wchodził i wychodził ile razy gości w domu nie było, i przyszukiwał wszystkie ich pakunki i manatki; ale nie znalazł w nich pieniędzy. To zadziwiło go bardzo; był pewnym, że cudzoziemcy muszą nosić je w swoich kaftanach.

Kiedy po kilku dniach stołowania się, rachowali się z gospodarzem, zauważył on, że Fortunat



wyjmował pieniądze pod stołem, potem dawał je Leopoldowi, a Leopold dopiero płacił gospodarza. Ten zadowolony był z zapłaty, gdyż Fortunat nie targował się nigdy, ale płacił tyle ile żądano. Jednak zawsze jest przecież lepiej mieć więcej jak mniej; więc i gospodarz, wolałby mieć całą sakiewkę Fortunata, niż kilkadziesiąt zasłużonych koron.

Tymczasem zbliżał się dzień, w którym Fortunat przyobiecał uszczęśliwić córkę biednych rodziców, i przyspieszyć jej małżeństwo sumą czterechset złota podług krajowej waluty. Zwrócił się więc do gospodarza z zapytaniem, czy nie zna jakiej rodziny, mającej biedną ale poczciwą córkę na wydaniu; gdyby się taka znalazła, on ją wyposarzy. Gospodarz odrzekł: „O znam więcej niż jedną! Jutro przyprowadzę wam taką parę narzeczonych!“ To podobało się Fortunatowi. Ale o czem myślał gospodarz? „Tej jeszcze nocy“ — mówił do siebie „muszę ukraść pieniądze, dopóki je mają; nie będę czekał dłużej aż wydadzą wszystko.“ W nocy, gdy wszyscy jak najlepiej spali, wszedł do ich pokoju znanym nam wejściem, przeszukał ich suknie, spodziewając się znaleźć w nich zaszyte guldeny, jednak oczekiwanie spełzło na niczem. Potem wziął w rękę pas Leopolda, i odciął od niego skórzany woreczek, w którym znalazł blisko pięćdziesiąt dukatów, następnie odciął czarodziejski worek od

pasa Fortunatowego, ale nie znalazłszy w nim nic, rzucił ze złością pod łóżko. Również nie darował i służbie, ale w sakwach ich nie wiele znalazł pieniędzy. W końcu pootwierał drzwi i okna, aby gości w błąd wprowadzić, że to złodzieje z ulicy tu weszli.

Leopold obudziwszy się rano, począł łajać służbę, że okna i drzwi pootwierała, niepokojąc tym swego pana. Pachołcy, którzy spali twardo, teraz dopiero poczęli się budzić i każdy wymawiał się z uczynionego mu zarzutu. Tedy przeraził się bardzo Leopold a ujrawszy szkody zrobione w pokoju, obudził Fortunata. „Panie“ — zawołał — „pokój nasz otwarty na wszystkie strony, pieniądze, któreś mi dał, zginęły!“ Kiedy pachołcy to usłyszeli, każdy przeglądnął swoje rzeczy i przekonał się, że wszyscy jednako zostali okradzeni. Fortunat szybko zeskoczył z łóżka i wdział na siebie kaftan, ale o zgrozo, jakżeż przeraził się, kiedy i jego czarodziejski worek odcięty. Niemiła ta niespodzianka obezwładniła go całkiem, tak, że upadł na łóżko bez zmysłów. Służba i Leopold poczęli trzeć i cucić swego pana, dopóki nie doprowadzili go do przytomności. Wtém nadszedł gospodarz z zapytaniem, jaki chcą mieć dzisiaj obiad. Odpowiedziano mu, że zostali okradzeni. „A cóżeście za ludzie?“ — rzekł gospodarz — „czy nie mieliście zamkniętego pokoju? Jakże się to mogło przy-

trafić!“ „Pokój nasz był szczelnie zamknięty“ — odpowiedzieli jednogłośnie — „a rano wszystko znaleźliśmy otwarte!“ Gospodarz odrzekł całkiem obojętnie: „Przełóżnijcie dobrze wasze manatki, bo może który z was kradzież popełnił. Dziś tyle ludzi obcych, że nie można zawierzać.“

Spostrzegłszy się, że tę uwagę źle przyjęto, zbliżył się chytry gospodarz do Fortunata i zapytał: „Czy to tak dużo skradziono wam pieniędzy, że tak jesteście zmartwieni?“ Odpowiedziano mu, że niewiele. „Więc po cóż te krzyki o tak małą drobnostkę?“ — zapytał gospodarz — „wczoraj chcieliście uposarzyć córkę biednego ojca; schowajcie te pieniądze dla swego użytku!“ Bezprzytomnie prawie odpowiedział Fortunat gospodarzowi: „Więcej mi szkoda sakiewki jak pieniędzy. W sakiewce był weksel, który dla mnie wielkie ma znaczenie, choć dla innego ani feniga nie warty!“ Jakkolwiek gospodarz był wytrawnym łotrem, przecież żal mu się zrobiło Fortunata i rzekł: „Poszukajcie lepiej, może sakiewka się znajdzie.“ Służba poczęła szukać i w istocie znalazła ją pod łóżkiem. Pokazano ją Fortunatowi, czy ta sama. Fortunat schwycił ją gwałtownie, a choć poznał swój czarodziejski woreczek, trwoga nie ustąpiła mu z serca. Lękał się, czy przez odcięcie nie stracił on siły swęj złotodajnej, nie mógł o tém natychmiast się przekonać. bo znalazłby się jeszcze w większym nie-

bezpieczeństwie. Gdyby własność sakiewki została odkrytą przez innych, nie mógł być pewny swego życia. Zbladł więc na nowo obezwładniony walką z niepewnością. Położył się więc napowrót do łóżka i dopiero pod kołdrą odważył się próbę wykonać. Złoto wysypało się z worka. To rozradowało Fortunata wprawdzie, ale z powodu tylolicznych wzruszeń, tak był osłabiony, że cały dzień musiał w łóżku przeleżeć. Leopold chciał go pocieszyć. „Ach panie, nie martwcie się tak bardzo; mamy jeszcze piękne konie, srebrne łańcuchy, złote pierścienie i inne jeszcze kosztowności. I choćbyśmy żadnych pieniędzy nie mieli, to i tak z pomocą Bożą odprowadzimy cię do ojczyzny, ja niejedyn już kraj przeszedłem bez grosza.“ Leopold bowiem sądził, że pan jego i przyjaciel ma wielkie bogactwa i dobra w ojczyźnie, że mu więc strata chwilowa zaszkodzić nie może. „Ach“ — westchnął Fortunat słabym głosem — „kto majątek traci, rozum traci. Mądrość powinienem był wybrać, bo ona więcej znaczy niż bogactwo, siła, zdrowie, piękność i długie życie! Rozumu nikt ukraść nie może“, z tém zamilknął. Leopold słów swego pana wcale nie rozumiał; uważał je za wyrzeczone we febrze. Zadano sobie dosyć trudu, zanim Fortunat całkiem do siebie przyszedł, odzyskał smak, naturalną barwę ciała i wesołość. Ponieważ noc nadeszła, kazał nakupić świec i zapalić je, a słu-

źbie do łózek wzięść miecze; jeden zaś miał czuwać. Tak się też stało.

Tego samego jeszcze dnia naprawił Fortunat swój czarodziejski woreczek i odtąd postanowił nigdy w życiu nie nosić go przy kaftanie; ale tak go dobrze schował, że niemożliwą rzeczą było ukraść mu go. Rano udał się z swymi towarzyszami do kościoła św. Zofii. Była w tym kościele kaplica pod wezwaniem Najśw. Panny Maryi. Tu kazał Fortunat księżom odprawić Mszę św. i odprawić pieśni dziękczynne. Po ukończeniu Mszy św. wyszedł Fortunat ku bazarom, gdzie się znajdowali kupcy i wekslarze. Fortunat rozkazał ztąd powrócić swoim pachotkom do domu, aby przygotowali obiad i nakarmili konie. Przyjacielowi swemu Leopoldowi dał pieniądze z poleceniem, aby każdemu z nich kupił nową sakiewkę; on zaś pójdzie do swego wekslarza zmienić pieniądze, gdyż bez pieniędzy nie ma przyjaciół. Stary spełnił co mu kazano i kupił pięć nowych sakiewek; podczas tego Fortunat kilkadziesiąt razy potrząsł woreczkiem, aż znowu miał kilkaset dukatów. Leopoldowi dał sto, aby miał czem opłacić rachunki; każdemu z służby po dziesięć dukatów do nowego woreczka. „Niech się i oni ucieszą“ — rzekł Fortunat — „ale niech uważają, by im pieniędzy drugi raz nie skradziono.“ Obdarowani podziękowali serdecznie i przyrzekli strzedz się. Do piątej sakwy na-

trząśł Fortunat czterysta dukatów i przypomniał gospodarzowi o zamiarze swoim wyposażenia ubogiej dziewczyny.

Gospodarz wkrótce znalazł żadaną dziewczynę. Ojciec jej był stolarzem, człowiekiem poczciwym, ale prostym. Ten rzekł: „Lękam się, czy pan twój nie ma jakiego złego zamiaru. Pieniędzmi i datkami mnie ani córki mojej nie przekupi. Jeżeli ma zamiary dobre, niech przyjdzie sam.“ Gospodarz zgniewał się tą uwagą i powtórzył ją Fortunatowi, pewny, że ona i jego obrazi. Ale przeciwnie. Fortunatowi podobała się odpowiedź poczciwego człowieka; dla tego kazał się do niego zaprowadzić. Przyszedłszy do domu stolarza, rzekł Fortunat do rodziców: „Słyszałem, że macie dorosłą córkę; przyprowadźcie ją tutaj. Zwiastuję jej szczęście.“ Córka przybyła zawołana, ale ze wstydu skryła się za plecami matki, gdyż suknię miała w strzępy potarganą. „Nie wstydz się pani“ — rzekł Fortunat — „proszę się nie kryć!“ Dziewczyna była piękna i wysmukła. Fortunat zapytał się jej o wiek. Miała lat dwadzieścia. Nie poszła za mąż z powodu ubóstwa. Przed sześciu laty trafiała się już partya; pieniądze były główną przeszkodą w zawarciu związku. „A gdybym ja dał wyprawę“ — zapytał Fortunat — „czy mielibyście dla niej teraz odpowiedniego człowieka?“ „Wiem



ich dosyć“ — odrzekła matka — „nasz sąsiad ma syna wcale przystojnego i pracowitego; gdyby córka miała choć trochę pieniędzy, chętnieby się z nią ożenił.“ „A jakżeż podoba się pani syn wspomnianego sąsiada?“ — zapytał Fortunat dziewczyny. „Ja nie będę wybierała“ — odrzekła zapytana — „kogo mi dadzą rodzice, tego wezmę; wolałabym raczěj umrzeć panną, aniżeli sama wybierać.“ Matka nie mogła zamilczeć: „Panie, ona kłamie; wiem, że go kocha.“

Teraz Fortunat posłał po młodzieńca, a kiedy ten przyszedł i dłuższy czas z Fortunatem rozmawiał, bardzo mu się spodobał. Fortunat wyjął więc swój worek i wyrzucił z niego na stół czterysta dukatów. Potem rzekł do młodych, a zwłaszcza do młodzieńca: „Czy chcesz tę dziewicę pojąć za żonę? — a pani, czy chciałabyś tego młodzieńca za męża? W danym razie te pieniądze są dla was!“ Młodzieniec odrzekł: „Ja dawno o niej myślałem i szczęśliwy byłbym, gdybym ją otrzymał!“ Matka dodała prędko: „O, moja córka was kocha!“ Fortunat posłał więc po księdza i ślub odbył się natychmiast. Potem wręczył im pieniądze, suknie godowe, a rodzicom młodych dał również ładne ubrania i po dzieśięć dukatów. Wesele odbyło się z wielką radością, a uszczęśliwieni nie mogli się dosyć na dziękować dobroczyńcy. Chwalili Boga i mówili, że Bóg zesłał im go z nieba.

Fortunat powrócił napowrót do gospody. Leopolda dziwiło to bardzo, dla czego kradzież kilkudziesięciu dukatów tak nadzwyczaj pana zmartwiła, kiedy setki dukatów dobrowolnie rozdać jest w stanie; gospodarza zaś zmartwiło niewymownie, że on tych czterysta dukatów pamiętnej nocy nie znalazł, chociaż przeszukał wszystkie sakwy i kieszenie. Pocieszał się jednak myślą, że pan, mogący setki dukatów rozdawać obcym ludziom, musi grube mieć przy sobie pieniądze; więc i poszukać po raz wtóry nie zawadzi. Wiedział on już o tém, że teraz w nocy palą u siebie świece, dla odpłoszenia złodziei, jednak i na to znalazł sposób. Kiedy raz wszyscy wyszli na uroczystość cesarską, wkradł się wiadomem wejściem do ich izby, wydrążył do połowy świece, nalał w środek wody i napowrót u dołu zalepił, tak, że świece po dwóch godzinach zgasnąć musiały. Gospodarz spieszył się z wykonaniem kradzieży, gdyż uroczystości cesarskie już się kończyły i goście lada dzień mogą odjechać. Tego samego wieczora podał im do kolacyi mocnego wina, po którym spodziewał się, że goście spać będą jak zabici. Istotnie wszyscy smacznie zasnęli, chociaż od świec jasno było w izbie. Każdy miał miecz przy sobie a Leopold leżąc w łóżku czuwał.

Po północy, kiedy świece rzeczywiście pogasły, a Leopold przypisywał to tylko wiatrowi,

który chuczał na polu i przez szczeliny okien, mógł świece pogasić — wszedł do izby gospodarz a podsunawszy się cichutko do Leopoldowego łóżka, począł szperać mu delikatnie pod poduszką. Leopold w tój chwili pochwycił za miecz i ciął nim tak silnie w szyję złodzieja, że ten padł bez życia. Sądząc, że jeszcze więcej musi być złodziei, rozbudził służbę, kazał przynieść światło i szukać, czy się gdzie jeszcze jaki złodziej nie ukrył. Prócz trupa, w którym poznano gospodarza zajazdu, nikogo innego nie znaleziono.

Fortunat dowiedziawszy się o całym zajściu, przeląkł się bardzo i począł narzekać: „O Boże, czym po to przyjechał do Konstantynopola, abym raz o włos tylko nie został z największego okradziony szczęścia, drugi raz na utratę życia był narażony? O Leopoldzie, trzeba go było tylko ranić, a nie zabijać; przy Bożej pomocy i pieniędzy łatwoby się było wtedy oczyścić!“ „Ciemno było w nocy, świece pogasły, czy je zgaszono“ — tłumaczył się Leopold — „nie mogłem więc cięcia mego obliczyć; z resztą był to złodziej, który nas już raz okradł. Zechce Bóg, dowiedzą się, za cośmy gospodarza zabili i ani na życiu, ani na majątku nas nie ukarzą.“ „Nie“ — rzekł Fortunat — „nigdy ich nie przekonamy, że gospodarz był złodziejem; przyjaciele do tego nie dopuszczą, a my życie i mienie postradamy!“ Fortunat rozmyślał w trwodze, coby w tём po-

łożeniu uczynić. Gdyby miał dobrego przyjaciela, oddałby mu swój czarodziejski woreczek, aby ten, w razie ich uwięzienia, mógł, jako człowiek wolny, pieniędzmi i namową energicznie wpłynąć na ich ułaskawienie. Ale, myślał sobie dalej, nuż on mi woreczka nie odda! Z resztą mógłby właśnie namawiać sędziego, aby nas wszystkich śmiercią ukarał. Jakkolwiek po mojej śmierci worek by już stracił swą złotodajną siłę, on nie wiedząc o tém, starałby się mnie sprzątnąć ze ziemi. Rozmyślanie takim zatrwożył się na nowo.

Stary Leopold nie stracił jednak nadziei. „Po cóż się tak martwić, stało się, co się stać miało, złodzieja już do życia nie przyprowadzimy; użyjmy teraz całego dowcipu, ażeby z matni się wywikłać!“ Fortunat odrzekł mu, że nic poradzić nie umie, a w duchu przeklinał łakomstwo, które zamiast rozumu, majątek mu wybrać kazało. Do Leopolda jednak odezwał się po przyjacielsku: „Jeżeli masz jaką dobrą radę, objaw ją nam, a chętnie przyjmujemy!“ „Róbcie więc to“ — odparł Leopold — „co ja robić będę lub co rozkażę; spodziewam się przy pomocy Bożej, siebie i was wszystkich szczęśliwie ocalić.“ Słowa te ucieszyły wszystkich. Leopold rozkazał milczeć i światła pogasić. Następnie wziął trupa na barki, wyszedł z gospody i wrzucił go do studni tak głęboko, żeby go tak prędko nie znaleziono. Powróciwszy do Fortunata, rzekł: „No,

teraz pozbyliśmy się trupa, i możemy być spokojni, bo nie prędko go znajdą. Nikt również nas o zbrodnią podejrzyc nie będzie, bo przecież przed nikiem przyznać się nie mógł, że nas idzie okradać. Bądźcie więc dobrej myśli!“ Do służby zaś rzekł: „Idźcie konie opatrzeć, śpiewajcie wesoło, mówcie o wesołych rzeczach, aby nikt na was smutku nie dostrzegł; zaraz trzeba nam odjeżdżać, aby przed wschodem słońca z sześć mil być już za miastem.

Fortunata dobra ta rada również ucieszyła i humor napowrót odzyskał. Służba również wesoło ubierała konie, a zwoławszy wszystkich parobków i wszystkie dziewczki z zajazdu, poczęła z nimi pić wódkę, aby choć sztucznie wesołość podtrzymać. „Spodziewam się, że za miesiąc znowu tu napowrót powrócimy“ — mówił Leopold — „a wtedy znowu się zabawimy.“ Fortunat zaś rzekł do parobków i dziewczek: „Pozdrówcie mi gospodarza i gospodynię; napiłbym się razem z nimi wódki, ale kiedy śpią nie będę ich budził. Spoczynek lepszy od wódki!“ Omamiwszy wszystkich taką podstępłą mową, dosiedli koni i odjechali wprost do sułtanatu tureckiego. Tak dostali się do miasta Karofa, gdzie mieszkał urzędnik cesarski, którego obowiązkiem było rozciągać pieczę nad chrześcijańskimi kupcami i pielgrzymami; dawać im straż przyboczną i przewodników. Leopold wiedział o tem; to też za-

ledwie przybyli, udał się do niego i powiedział, że jest ich sześciu braci, którzy potrzebują przewodników i straży. „Strażników możecie mieć dosyć, jeżeli za każdego zapłacicie mi po cztery dukaty, a przewodnikowi prócz tego jeszcze po dukacie dziennie i pożywienie!“ Leopold ociągał się trochę, ale tylko z przyzwyczajenia; poczem dał żądaną sumę. Turek napisał mu list bezpieczeństwa, wybrał strażników i przewodnika, nakazując im dbać o swych panów i bronić w każdej przygodzie. Mając zapewnione bezpieczeństwo, udali się w podróż.

Wtenczas dopiero, kiedy już wolnym był od wszelkiego niebezpieczeństwa, jakie mu w Konstantynopolu zagrażało — Fortunat stał się prawdziwie wesołym i żartował z towarzyszami. Po kilku dniach przybyli na dwór sułtana, gdzie uderzyło ich wielkie bogactwo i ogrom zbrojnego ludu; to im się tylko niepodobało, że wśród ludu było wielu chrześcijan, którzy wiarę swoją zmienili. Fortunat nie długo tutaj pozostawał; pociągnął dalej przez Wielką i Małą Wołoszczyznę, przez Kroacyą, Dalmacyą, Węgry i Polskę, potem przez Danią, Norwegią i Szwecyą; potem znowu przez Niemcy do Czech, a ztamtąd przez Saksonią, Frankonią, Szwabią i Augsburg do Wenecyi. Tutaj nakupił mnóstwo kosztowności, misternie rzeźbionych wyrobów złotych i srebrnych, pasów, sukni materyalnych, futer, szkieł weneckich i wiele



innych rzeczy. Ponieważ wszędzie płacił bez targu, wszędzie wysoce był poważany.

Przy tém wszystkiém nie zapomniał Fortunat, w jakim ubóstwie pozostawił swych rodziców. Dla tego kazał dla nich uszyć piękne i kosztowne suknie, przygotować jak najdelikatniejsze sprzęty, a wszystko podwójnie; potem zamówił dla siebie cały okręt i odjechał do swój ojczyzny, którą jak wiemy, było miasto Tamagusta na Cyprze. Piętnaście lat już w niem nie był, od tego czasu zmieniło się wiele, a co najważniejsza, rodzice jego nie żyli. To zasmuciło go bardzo. Wynajął mimo tego cały wielki dom dla siebie, tam zniósł całe swoje mienie, mieszkanie urządził jak mógł najwspaniałej, jeszcze więcej przyjął sług, aby żyć po pańsku. Wszyscy przyjmowani byli przez niego bardzo przyjaźnie i hojnie; dziwili się wszakże ludzie, zkąd przyszedł on do takiego majątku, każdy bowiem wiedział o jego pierwotném ubóstwie.

Jedyném teraz jego staraniem było, zakupić wszystkie sąsiednie domy, co gdy uskutecznił, zburzył wszystkie, a na ich miejscu wznosił olbrzymi i wspaniały pałac. Pałac ten, miał pozór mieszkania monarchy, bo zbudowano go podług planu przez samego Fortunata nakreślonego; a był on arcydziełem, gdyż połączył w nim wszystkie najpiękniejsze style, jakie tylko widział

gdzie na obczyźnie. Tuż obok pałacu zbudował majestatyczny kościół, a w nim kosztowne grobowce rodzicom. Urządziwszy się w ten sposób, pomyślał o ożenieniu się. Życzenie jego, gdy stało się jawnem dla mieszkańców miasta, było hasłem współzawodnictwa wzajemnego najpiękniejszych pań. Jedna chciała stać się piękniejszą nad drugą, a w strojach nie było już miary. Takie nawet, które nigdy w życiu nie mogły lub nie lubiały się ubierać, teraz, choćby z uszczerbkiem innych potrzeb, ostatni grosz wydawały na stroje. „Któż może wiedzieć“ — myślała każda w duszy — „czyli ja nie będę tą szczęśliwą, którą on małżonką swoją nazwać zechce.“

Ale niedaleko miasta Tamagusty mieszkał hrabia Nimian, który miał trzy córki, a wszystkie słynęły pięknnością na całą okolicę. Sam król cypryjski radził hrabiemu, aby starał się pozyskać Fortunata za zięcia, i przyrzekł mu królewskim swym wpływem do tego dopomódz. Hrabia nie był bogatym, jednak odrzekł: „Królu! gdyby on żądał méj córki, czyż mógłbym mu ją oddać? Nie ma on ani kraju, ani poddanych; choćby miał niewiem ile pieniędzy, to może je stracić, tém bardziej, że nie obraca kapitałem w ten sposób, aby mu się procentował. Złoto więc jego jest niepewne!“ Król rzekł znowu do hrabiego: „Słyszałem od ludzi, którzy mieszkanie jego widzieli, że posiada tyle klejnotów, za któreby

całe hrabstwo mógł nabyć, a mimo tego nie wzdycha za niem; nie można mu zaprzeczyć rozumu i doświadczenia, bo musiał je nabyć w długiej podróży; gdyby zaś nie był pewny swojej przyszłości, nie byłby budował taki wspaniały pałac i kościół, które nietylko bogato ozdobił, ale na wieczne czasy hojnie wyposażył. Radzę wam szczerze, przyjmijcie go, gdyby starał się o którą z waszych córek; jeżeli zaś chcecie, mogę wam służyć za pośrednika. Fortunat mi się podoba i chętnie chciałbym go widzieć ożenionego z dziewczcą szlachetnego pochodzenia, a nie z chłopką; nawet bolałoby mnie to, aby panią takiego majątku miała zostać nieszlachecka dziewczyna!“

Hrabia zauważywszy, że królowi podoba się Fortunat, odparł: „Łaskawy panie i królu, widzę z waszój mowy, że macie szczególne upodobanie w Fortunacie; widzę także że chcielibyście córkę moją przez małżeństwo z nim uszczęśliwić. Całą rzecz zostawiam więc do woli Waszój królewskiej Mości!“ „To mi się podoba!“ — zawołał król z uśmiechem. — „Przyślijcie wasze córki na dwór mojej żony królowej, gdzie pozostaną pod jej opieką. O odpowiedniém wyposażeniu ja sam pomyślę. Dwór nasz otwarty jest dla wszystkich, spodziewam się lada dzień, że i Fortunat przyjdzie oddać mi hołd należyty. Wówczas powiem mu, żeby częściej bywał, więc i sposobność się nadarzy do zobaczenia waszych córek. Przy-

muszać nie będę nikogo, miłość powinna się sama wywiązać.“ Hrabia podziękował za to królowi, i odjechał do domu, gdzie opowiedział żonie całą z królem rozmowę. Hrabinie podobało się to bardzo, zrobiła tylko uwagę, że Fortunat zdaje się nie pochodzić ze znakomitego rodu; również i to znajdowała nieodpowiedniem, że pozostawiono mu wybór między trzema córkami, gdyż jedną z nich szczególnie kochała i tej obiecywała bardzo świetną przyszłość. Na zapytanie hrabiego, któraby to z nich była, nie chciała powiedzieć. Jednak zastosowała się do woli męża i wyposażywszy córki, dawszy im do boku panie dworskie i liczną służbę, jak na taki wysoki ród przystoi, sama odwiozła je na dwór króla cypryjskiego. Tu wszystkie trzy zostały przez króla i królową i cały dwór ze czcią wielką przyjęte, a następnie pouczono je o zwyczajach dworskich. Jakkolwiek piękne były wszystkie, z każdym dniem coraz piękniejszemi się stawały. Kiedy król uznał już za stosowne pokazać je szerszemu kołu, posłał poselstwo do Fortunata, aby ten na dwór jego przybyć raczył. Fortunat nie wiedział o co właściwie chodziło, sam wszakże, czując się w obowiązku, hołd złożyć swemu królowi, natychmiast wybrał się na dwór ze wspaniałą świtą, gdzie został bardzo uprzejmie przyjęty.

Wtedy król przystąpił do niego i rzekł: „Fortunacie, ty jesteś moim ulubieńcem. Sądzę,

że będziesz mi powolnym i rady mojej usłuchasz, gdyż życzę ci tylko dobrze. Nie uszło to mojej uwagi, że zbudowałeś sobie kosztowny pałac i kościół; i o tém wiem także, że chcesz się ożenić. Myślę, że wybór powinien być odpowiedni tak, żebym i ja się nim cieszył. Dla tego pozwól mi wybrać tobie małżonkę, któraby godną była ciebie i twojej fortuny.“ Fortunat odpowiedział: „Łaskawy panie i królu! tak jest, noszę się z tym zamiarem; kiedy Wasza królewska Mość sam chce współdziałać, zdaję się zupełnie na Jego łaskę i wybór!“ „No“ — pomyślał sobie król — „teraz już łatwo mi pójdzie.“ A głośno rzekł do Fortunata: „Znam trzy córki, wszystkie trzy hrabianki; najstarsza ma lat ośmnaście i nazywa się Gemiana, średnia siedmnaście, nazywa się Marzepia, trzecia lat trzynaście, zowie się Cassandra. Z pomiędzy tych trzech możesz wybierać; jeżeli chcesz, wszystkie trzy wprowadzę do sali, albo każdą z osobna!“ Fortunat nie długo się namyślał. „Potężny królu“ — odparł — „jeżeli wolność wyboru do mnie należy, niech wszystkie trzy obok siebie staną, abym mógł każdą słyszeć mówiącą.“

Król polecił małżonce, aby wszystkie panny dworskie przyprowadziła do sali, a on w krótkce pokaże się im wraz z gościem. Królowa wszystko przygotowała szybko, bo wiedziała o co chodzi. Kiedy czas nadszedł, król z Fortunatem chciał

udać się do zgromadzonych. Ten jednak wyprosił sobie jedną łaskę, aby towarzyszył mu stary przyjaciel Leopold. Tak więc w trójkę weszli do sali kobiecój. Królowa z wszystkimi paniami i pannami dworskimi podniosła się z krzesła i z wielką czcią przyjęła tak króla jak i gości. Wtedy usiadł król, a Fortunat przy nim. Król rzekł: „Przedstawcie mi trzy panny: Gemianę, Marzepię i Kassandrę!“ Te podniosły się z swych krzesel, przeszły przez środek sali, głęboko pokłoniły się trzy razy, a przed samym królem uklękły. Królowi bardzo się to podobało i kazał im powstać; potem zwróciwszy się do najstarszój, zapytał: „Gemiano, powiedz mi, kogo więcój lubisz; królowę, czy hrabiego Nimiana, twego ojca, albo hrabinę twoją matkę?“ Zapytana odrzekła: „Łaskawy panie i królu! na to pytanie nie godzi mi się odpowiadać; ja nie mam własnej woli; co Jego królewska Mość i ojciec mój nakażą, do tego się zastósuję.“

Następnie zwrócił się król z zapytaniem do średniój siostry: „Marzepio, powiedz mi prawdę, kto ci jest miłszy, hrabia, twój pan i ojciec, czy hrabina, pani twoja i matka.“ Ta odrzekła: „O łaskawy panie, ja nie mogę tu rozstrzygać; tak ojca jak matkę kocham jednako; gdybym jednak z nich jedno więcój kochała, ani serce ani usta tego by nie wypowiedziały, gdyż obydwoje jednaką obdarzają mnie miłością!“



W końcu zapytał król trzeciej i najmłodszej: „A teraz powiedz mi ty Kassandro, gdyby na dworze naszym był bal i tańczono i matka kazała ci tańczyć, a ojciec zaś nie, kogobys usłuchała.“ „Najłaskawszy panie i królu!“ — odrzekła zapytana — „wiecie, że jestem jeszcze młoda; rozum nie przychodzi przed laty; niech zaś Jego królewska Mość oceni miłość dzieci. Ja nie mogę wybierać, gdyżbym obraziła.“ „Gdyby wszakże koniecznie tego od ciebie żądano?“ — zapytał król. „Potrzebowałabym na to lat kilka, aby rady ludzi rozsądnych zasięgnąć. Wówczas dopiero dałabym odpowiedź.“ Król uwolnił Kassandrę i pożegnawszy królowę i wszystkie panie, wraz z Fortunatem powrócił do swego pałacu. Kiedy przyszedli do królewskich pokojów, rzekł król do Fortunata: „Życzenie twoje się spełniło; widziałeś wszystkie trzy, mówiące dość długo i powoli; uczyniłem ci więcéj, niżbyś sam sobie życzył. Rozważ więc, którą z nich wybrałbyś sobie na małżonkę?“ „Ach, najłaskawszy panie“ — rzekł Fortunat — „one wszystkie trzy tak mi się podobają, że nie wiem właściwie, którą wybrać; dajcie mi chwilę do namysłu, a naradzę się z Leopoldem.“ Król zezwolił na to, i Fortunat ze swoim przyjacielem i przewodnikiem usunął się w kąt sali, aby się nad tak ważną sprawą namyśleć. Tu rzekł Fortunat do Leopolda: „Ty tak samo jak ja widziałeś i słyszałeś dobrze te

trzy siostry, z których mam jedną wybrać. Wiesz o tém, że człowiek nigdy tak mądrym być nie może, aby nie potrzebował jeszcze obcej rady. Bądź więc tak dobry, dopomóż mi w tej ważnej sprawie, tak jakby to o twoją własną duszę chodziło. Leopold przeląkł się tego uroczystego zastrzeżenia. „Panie“ — rzekł — „w takich rzeczach nie dobrze jest radzić; gdyż jednemu podobna się bardzo częstokroć to, do czego własny brat wstręt mieć będzie. Jeden chętnie je mięso, drugi ryby. Dla tego nikt tu lepiej poradzić nie może, jak Wy sami. Przecież Wy to jarzmo bierzecie na szyję.“ „Wszystko to wiem“ — odrzekł Fortunat — „i to również, że nikt inny tylko ja mam wybrać sobie małżonkę. Chcę jednak, abys ty dla tego odkrył tajemnicę swego serca, gdyż w życiu twoim długim miałeś sposobność wiele poznać ludzi i z powierzchowności osądzić, co jest prawdziwe, a co udane.“ Leopold przecież obawiał się radzić w tej sprawie, aby nie stracić zaufania Fortunatowego, gdyby chwalił tę, któraby się może jemu nie podobała. Dla tego rzekł: „Panie, mnie wszystkie trzy podobają się jednako, a na każdą z nich zwracałem pilną uwagę; z powierzchowności sądząc, wszystkie trzy muszą być albo siostrami, albo siostrzenicami; nie zauważyłem również żadnej w nich nieprawdy.“ Fortunat nalegał dalej: „Ale któraż właściwie z nich nad inne przekładasz?“

„Boję się radzić“ — rzekł Leopold — „możeby wam było przykro, że ta mi się podoba, która wam się niepodoba!“ „Bądź śmiałym“ — odrzekł Fortunat — „wybór twój wcale mnie nie rozgniewa.“ W końcu rzekł Leopold: „No, to weźcie kredeę i na jednym rogu stołu napiszcie swoje, a ja na drugim moje mniemanie.“

Fortunat był zadowolony; każdy napisał swoje zdanie na stole, a kiedy przeczytano pisma, każdy wymienił Kassandrę. Teraz dopiero Fortunat był uradowany, że w wyborze swoim się nie pomylił, kiedy i doświadczony Leopold ją z pomiędzy trzech wybrał; Leopold również cieszył się bardzo, że trafił w gust swego pana. Wtedy Fortunat zwrócił się do króla i rzekł: „Łaskawy panie i królu mój! Moim silnym postanowieniem jest, abyście mi dali Kassandrę.“ „Stanie się podług twój woli“ — odparł król i posłał do pokojów królowej, aby przyszła do niego wraz z Kassandrą.

---

Królowa przyszła, prowadząc Kassandrę. Król natychmiast posłał po swego kapelana i młodej parze ślub dać rozkazał. Kassandra wprawdzie była z tego trochę niezadowolona, że ślub odbył się tak nagle, bez wiedzy i obecności rodziców; jednak królowi nie można się było sprzeciwić. Po ślubie przyszły wszystkie panie i panny dworskie, a z nimi siostry panny młodej. Te

z serdecznym płaczem rzuciły się jęj na szyję, życząc szczęścia w małżeństwie. Po tym płaczu dopiero poznał Fortunat, że wszystkie trzy są siostrami, dla tego zbliżył się do nich, pocieszając je po przyjacielsku: „Nie żałujcie tak swęj siostry, ja was zaraz pocieszę!“ I natychmiast posłał do miasta Tamagusty po klejnoty, które przywiózł z Wenecyi; z tych dwa najpiękniejsze podarował królowi i królowęj, resztę dał siostróm jęj i wszystkim panióm i pannóm dworskim, za co otrzymał serdeczne podziękowania.

Następnie posłał król po hrabiego Nimiana i jego żonę. Fortunat usłyszawszy o tém, dał Leopoldowi tysiąc dukatów, z poleceniem, aby oddał je hrabinie, jako mały podarek od zięcia. Ale hrabina nie była zadowolona z tego, że Fortunat wybrał sobie najmłodszą z jęj córek, gdyż tę właśnie najbardziej kochała. Ale skoro Fortunat ofiarował jęj tysiąc dukatów, zapomniała o niechęci, była wesolą, i przygotowawszy wszystko do podróży, z mnóztwem wozów i służby przybyła wraz z mężem na dwór królewski, gdzie przez samego króla zostali przyjęci z wielkim szacunkiem. Król oświadczył, że wesele na własne jego koszta się odbędzie. Ale Fortunat wyprosił sobie łaskę, aby uroczystość weselna odbyła się w jego pałacu. Również zaprosił na nią całą rodzinę królewską. Król przychylił się do jego woli i Fortunat pospieszył do Tamagusty, aby wszystko przygotować.

Po ośmiu dniach przybył król wraz z Kassandra, a żoną swoją, z całym dworem i mnóstwem ludu. Bawiono się ochoczo, tańczono, śpiewano i grano. Zaledwie po kilkunastu dniach, uroczystości się skończyły. Tak stała się Kassandra panią wspaniałego pałacu, który wzbudzał podziw we wszystkich, i olbrzymich skarbów, jakich nie jeden książę nie posiadał. Chociaż teraz matka panny młodej była naocznym świadkiem olbrzymiego majątku Fortunata, przecież wolałaby, gdyby miał kraj i ludzi sobie poddanych. Hrabia pocieszał ją, że i do tego przyjść może. Istotnie, następnego dnia przybył do Fortunata sam król, z teściem i teściową, wzywając go, aby teraz dał swęj młodej żonie ślubny podarek. Fortunat odrzekł: „Kraju własnego i poddanych nie mam, ale dam jej pięć tysięcy dukatów, aby mogła kupić sobie zamek z przyległościami, na którymby była zabezpieczoną.“ Król rzekł na to: „Mam na to radę! Wiem, że hrabia z Ligorny potrzebuje pieniędzy i całą swą posiadłość, to jest zamek, miejscowość Ligorno i wszystkie okoliczne włości, chce sprzedać!“ Układ wnet zawarto i Fortunat stał się panem zamku, miasta, kraju i poddanych, za siedm tysięcy dukatów. Leopoldowi oddał klucz od swojej kasy, i w ten sposób żonę uczynił władczynią nad tym krajem. Teraz dopiero matka Kassandry była zupełnie zadowoloną i zaprosiła wszystkich na uroczystą

Mszą św. do kościoła pałacowego. Po nabożeństwie powrócili wszyscy napowrót do pałacu, gdzie odbyła się uczta, prawdziwie królewska.

Kiedy wszyscy byli już podochoceni, Fortunat kazał przynieść klejnoty. Pierwszy wartości sześciuset dukatów, miał być nagrodą dla zwycięzcy w turnieju. Walczyć o niego mieli przez trzy dni sami panowie, rycerze i szlachta. Drugi wartości czterechset dukatów, miał być nagrodą dla zwycięzcy w turnieju obywatelskim. O trzeci nareszcie, dwieście dukatów wartujący, mieli walczyć giermkowie.

Zabawy trwały dni czternaście; codziennie walczano w szrankach dwie lub trzy godziny, następnie tańczono, pito i jedzono. Wreszcie odjechał król i wszyscy z nim. Fortunat chętnieby widział ich dłużej u siebie, zwłaszcza hrabiego i hrabinę, ale ci nie chcieli na to zezwolić, widząc taką jego królewską bojność. Obawiali się, by przez nią nie popadł w ubóstwo. Fortunat musiał śmiać się z tego w duchu.

Przydawszy do królewskiego boku liczną świetną drużynę, na czele której sam odprowadzał króla do domu, pożegnawszy go i podziękowawszy za zaszczyt, jakim dlań były jego odwiedziny — corychlej powrócił do siebie, gdzie drugie wesele wyprawił dla obywateli miasta. A kiedy i ta uroczystość się skończyła, Fortunat zapragnął spokoju. Przyjacielowi Leopoldowi dał trojaki



wybór: „Jeżeli chcesz wrócić do domu, kochany przyjacielu, przydam ci czterech pachołków, którzyby cię odprowadzili i aż do twój śmierci przy tobie zostali; również obdarzyłbym cię tyłu pieniędzmi, żebyś mógł spokojnie i dostatnio wraz z całą twą rodziną, przeżyć tve ostatnie lata. Jeżeli chcesz zostać w Tamagusta, kupię ci dom, dam trzech pachołków i dwie sługi i pieniędzy tyle, aby ci na niczem nie zabrakło. Jeżeli w końcu chcesz zostać w pałacu — zostań, a będziesz żył równie dobrze jak ja i szanowany przez wszystkich. Wybieraj więc jedno z trojga!“

Stary Leopold podziękował wzruszony. „Ani od Boga, ani od pana nie zasłużyłem sobie“ — mówił w pokorze — „takiego szczęścia i takich względów. Nie godzi mi się jechać do domu; jestem stary i słaby, mógłbym umrzeć w drodze. Gdybym nawet tam szczęśliwie przybył, to Hibernia jest krajem jałowym i dzikim, gdzie ani wino, ani owoce dobre się nie rodzą, a ja już do nich przywykłem. Być może, że bez nich również bym umarł. Abym mógł przy was mieszkać, również ani mi to przez myśl nie przejdzie. Ja jestem stary i brzydki, wy zaś macie młodą piękną żonę, piękne panny dworskie, zgrabnych i dowcipnych giermków, którzy was będą rozweselać. Ja byłbym fałszywym tonem w tej miłej harmonii. Zresztą młodzi nie lubią starych w swem towarzystwie, a stary znów nie zawsze zgodzi

się z młodymi. Dla tego wybieram drugie i proszę was, byście mi wyznaczyli miejsce, gdzie mam zamieszkać. Proszę również, nie odsuwajcie mnie od swęj rady, bo to jedyna moja uciecha i satysfakcyja na starość. Sądzę, że mimo pozornego rozdziału, nic się między nami nie zmieni.“ Fortunat wypełnił życzenie Leopolda, kupił mu dom, dał służbę i co miesiąc po sto dukatów, a nigdy rad jego nie odrzucał. Leopoldowi również czas już było odpocząć i uwolnić się od służby około swego pana. Kładł się teraz spać i wstawał, jadł i pił, wcześniej czy później — podług upodobania. Mimo tego regularność zachował jedną, tj. o tęg samęj zawsze godzinie chodził do kościoła, a często swego pana nawiedzał. Tak żył pół roku, potem zachorował i umarł. Chociaż Fortunat posyłał po różnych lekarzy, żaden nie mógł mu już pomóc. Śmierć poczciwego Leopolda bolała bardzo Fortunata; pogrzeb odbył się okazały i pochowano go w kościele, przez Fortunata założonym i zbudowanym.

---

Fortunat, który z swą młodziutką i śliczniutką Kassandrą najszcześniejsze i najrozkoszniejsze na białem jęj, niewinnem łonie, wśród pieśczoł czułych, pocałunków gorących i uścisków aż do boleści namiętnych, życie pędził małżeńskie, zapominając o świecie całym i o sobie samym — błagał tylko o jedno Boga, by go potomkiem

z wulkanicznej miłości ich małżeńskiej obdarzył. Bo i nacóżby zdał mu się czarodziejski worek, gdyby dzieci nie miał. Ale Bóg zawsze gorące i szczerze modlitwy wysłuchuje — wysłuchał więc i Fortunatowej. Bóg obdarzył go synkiem, ku powszechnej radości rodziców i całego domu. Na chrzcie dano mu imię Ampeda. Po roku, ta młodziutka Kassandra, która wydawała się rozkoszną do kochania, jakby stworzoną dla miłości, ale za słabą na matkę — po roku, znów ucieszyła swego męża synem. Nazwano go Andolozą. Tak miał już Fortunat dwóch ładnych chłopców, krewkich i gorących, jak gorącą była miłość, w której ich spłodzono. Andolozy wszakże wydawał się śmielszym od brata Ampeda. Fortunat chętnie chciałby mieć więcej potomków, ale, choć miłość ich ku sobie nie oziębła, owszém roznamiętniła się z dojrzewającą pięknością Kassandra, która teraz jak Juna zachwycała męża swymi ślicznymi kształtami i rozkiełzaną prawie namiętnością w swęj miłości nienasyconęj, w pieśczętach bez końca — Kassandra nie rodziła więcej, co w smutek wprawiało Fortunata, który do dwóch synów chciałby mieć jeszcze jedną lub dwie córki.

Dwanaście lat żył Fortunat z Kassandra w miłości i zgodzie; dalszego jednak potomka nie mógł się doczekać. Powoli więc zubożniało mu wszystko i piękność żony i wesołość synów,

majątek i znaczenie; począł się nudzić na Tama-  
guście, pomimo ustawicznych przechadzek, prze-  
jażdżek, polowań, zabaw, sportów i pieśczo-  
t rozkosznej żony. Postanowił tedy, zwiedziwszy  
już wszystkie chrześcijańskie państwa, poznać  
jeszcze przed śmiercią kraje pogańskie, kraj św.  
Jana Apostoła i Indye. Pewnego razu rzekł do  
Kassandry: „Mam do ciebie prośbę, którą, spo-  
dziewam się, nie odrzucisz. Chcę prosić cię o  
urlop, bym mógł odjechać.“ „A dokąd to go-  
łąbku?“ — zapytała Kassandra. — „Czy ci się  
już przykrzy ze mną, albo może się na mnie  
gniewasz, żem po zrodzeniu dwóch synów, nie-  
płodna? Wszak to nie od nas całkiem zależy.  
Bóg widać nie chce tego, choć ja, jak wiesz,  
radabym cię nowem potomstwem ucieszyć i wcale  
ci się nie opieram!“ Mówiąc to, śliczna małżonka  
zarumieniła się purpurą i zwiesiwszy cudną swą  
główkę na piersi męża, zapytała jeszcze z przy-  
mileniem: „Więc dla czegoż chcesz mnie opu-  
ścić? Może miłość nasza, stała i nieznużona,  
wyda swój owoc; może Bóg się zlituje!“ „Nie  
gniewam się wcale na ciebie“ — odparł Fortu-  
nat — „bo wiem, że nie tyś temu winna. Ja nie  
mam dość podzięki za to szczęście i rozkosz, jakich  
na łonie twojem doznałem; ale inna rzecz pobudza  
mnie do odjazdu. Zwiedziłem już wszystkie  
kraje chrześcijańskie, muszę teraz zwiedzić po-  
gaństwo. Od tego nic mnie nie odciągnie!“

Kassandra przecież starała się go od postanowienia odciągnąć. „Będziesz żałował tego, zobaczysz. Dotąd podróżowałeś po krajach chrześcijańskich, to rzecz całkiem inna; zresztą byłeś wówczas młodym i żwawym, a młodość dużo zniesie. Dzisiaj jesteś już starszym, powolniejszym, przyzwyczajonym do większych wygód, z którymi nie tak łatwo się rozstać, jak się mówi. Przytem słyszeliście przecież, że poganie prowadzą życie dzikie, rabują, zabijają, a nadewszystko nienawidzą chrześcijan. Tych bez litości pozabawiają życia i mienia. Chceszże więc, ty przyzwyczajony do spokojnego życia iść między takich drapieźców i zamienić pieszczoty moje na rany, lub śmierć może.“ Mówiąc to, rzuciła mu się na szyję, białymi alabastrowymi rękami przyciskając go do swej miłością wzdętej piersi toczonęj; ciągnęła go ku sobie z nadprzyrodzoną prawdziwie siłą, jakby lękała się go na zawsze utracić. „O najdroższy Fortunacie, najukochańszy i najwierniejszy mój mężu, w którym całą moją nadzieję pokładam, usłuchaj mnie, usłuchaj twęj oddanej duszą i ciałem ci żony, usłuchaj dzieci, które będą schnąć jak ja z tęsknoty za tobą, nie jedź, pozostań u domowego ogniska i w pokoju przeżyj resztę dni twoich!“ Kassandra zalała się łzami i smutek wielki ścisnął jęj serce. Fortunat, uwieszony u szyi małżonki, rzekł: „O kochana dzieciorzeczko, nie rozpaczaj też tak bardzo. Roz-



chodzi się przecież o czas tylko krótki, a wtedy znów do twego gorącego łona powrócę i nie oderwę się odeń już do końca życia. Przysięgam ci to!“ „Ach“ — „odrzekła Cassandra — „gdybym wiedziała, że wnet szczęśliwie powrócisz, z radością oczekiwałabym twego powrotu; ale gdybyś jechał do chrześcijan, a nie do tego podłego narodu pogan, któremu prócz bożyszcz swoich nic drogiem nie jest; ach dla tego mi taki żal i ztąd moja rozpacz!“ Fortunat wszakże pozostał przy swém postanowieniu. „Od podróży tój“ — rzekł stanowczo — „nikt mnie nie odwiedzie, chyba Bóg sam lub śmierć! Zanim odjadę, wszakże zostawię ci tyle pieniędzy, że aż do śmierci mogłabyś z czego wraz z dziećmi żyć i to żyć rozkosznie!“

Kassandra spostrzegła, że na nic jej prośby, więc zebrała raz jeszcze wszystkie swoje siły i rzekła: „Kiedy już tak postanowiłeś, mój najdroższy mężu, jedź! Ja wraz z dziećmi dzień i noc modlić się będę do Boga, aby ci użyczył w podróży pogody, ochronił od przygód i szczęśliwie napowrót w dom powrócił!“ „Niech będą wysłuchane twe modły, pocziwa żono!“ — odparł rozczulony Fortunat — „sądzę wszakże powrócić prędzej, niż nawet zamierzam!“

---

Pożegnawszy żonę i dzieci, jako człowiek bogaty wypłynął na morze na własnym okręcie,



który umyślnie kazał sobie wybudować i wspólnie urządzić. Po szczęśliwej podróży przybył do Aleksandryi w Egipcie. Otrzymawszy list bezpieczeństwa wysiadł na ląd, w otoczeniu swęj drużyny. Poganie ciekawi byli, kto jest właścicielem okrętu Fortunat odrzekł, że właścicielem jego jest Cypryjczyk z miasta Tamagusty. Prosił przytem o pozwolenie odwiedzenia króla pogańskiego, któremu chce darować bogate klejnoty, każdy bowiem kupiec miał, według ówczesnego zwyczaju, obowiązek złożenia swojej czci i okupu sułtanowi. Przybywszy do pałacu, rozłożył kosztowności na stole i wkrótce przybył sam sułtan je oglądać! Podziwiał je i sądził, że obcy przyniósł je po to, by sułtan je kupił; dla tego zapytał Fortunata o ich wartość. Fortunat w zamian zapytał, czy się sułtanowi podobają, a gdy sułtan potwierdził, prosił go Fortunat, by te klejnoty raczył przyjąć w podarku. Król egipski zdziwił się niemało, że pojedynczy kupiec może tyle za darmo ofiarować, gdyż wartość klejnotów dochodziła do ceny pięciu tysięcy dukatów i kilka miast takich, jak Wenecya, Florencya i Genua, nie mogłyby razem więcej ofiarować. Przyjął więc dar z serdeczną podzięką, a uważając za stosowne odplacić tak wielki dar również jakim podarunkiem, kazał wydać dla Fortunata sto centnarów pieprzu, który téj samęj był wartości, co wszystkie klejnoty Fortunata.

Kiedy kupcy z Wenecyi, Florencyi, Genuy i Katalonii, którzy wówczas w Aleksandryi przebywali, o wielkim darze króla usłyszeli, rozgniewali się bardzo na Fortunata; gdyż oni, co zawsze sułtańskiego państwa nie opuszczali, i dwa lub trzy razy do roku, czynili podarunki — nigdy w zamian takich darów od sułtana nie otrzymali. Gniew ich powiększył się jeszcze bardziej, gdy spostrzegli, że Fortunat mnóstwo kupuje towarów, tak dużo, ileby oni razem zakupić nie mogli. Ztąd obawa, by handlowi ich nie zaszkodził! Postanowili więc intrygować przeciwko niemu u sułtana. Dali admirałowi, który po sułtanie był pierwszą osobą w państwie, bardzo kosztowny podarunek, aby dla Fortunata był nieżyczliwym i starał się go wobec króla, w złém świetle przedstawić. Fortunat wszakże dowiedziawszy się o tém, jeszcze raz tyle ofiarował. Admirałowi było to wszystko jedno; wziął od stron obu pieniądze, a starał się czynić, co mógł. Fortunatowi sprzyjał jak najwięcej, gdyż życzeniem jego było, aby więcej takich jak on, przybywało do kraju.

Fortunat już kilka dni był w Aleksandryi, gdy razu pewnego zaprosił go sułtan, wraz z wielu innymi kupcami do siebie na gościnę. To jeszcze bardziej rozgniewało wrogich kupców, tém bardziej, że w kilka dni potém admirał gościł Fortunata, pomimo, że chciano opłacić nienawiść jego do obcego przybysza. Tymczasem nadeszła chwila,

w której Fortunat musiał już odpływać, gdyż było prawo, niepozwalające dłużej przebywać statkowi w zatoce aleksandryjskiej, jak sześć tygodni. Po sześciu tygodniach, czy kupiec towary sprzedał lub zakupił, czy nie — musiał bezwzględnie odjeżdżać. Fortunat wiedział o tém bardzo dobrze. Przygotował więc wszystko i kierownikowi okrętu rozkazał opłynąć wraz z kupcami i towarami Hiszpanią, Portugalią i Anglią; następnie udać się do Flandryi, a ztamtąd od kraju do kraju wędrować z towarem, kupować i sprzedawać, aby znaczne skarby jeszcze wzmódz się mogły. Po dwóch latach okręt ma powrócić napowrót do Aleksandryi. On sam z własnej woli pozostanie tu przez te dwa lata. Gdyby go nie zastano tutaj, niech na nic nie liczą, ale będą pewni, że umarł. Wówczas ma przywódzca statku przybyć do Tamagusty i okręt wraz ze skarbami oddać żonie jego Kassandrze i synom. Kapitan okrętu przyrzekł to uczynić. Wkrótce okręt w drogę wyruszył.

Zostawszy sam, prosił Fortunat admirała, aby dał mu towarzyszków do podróży i listy polecające do wszystkich tych książąt i królów, przez kraje których chciał przebyć. Admirał uczynił zadość jego prośbom i wyjednał bez trudu od sułtana listy polecające, wszystko ma się rozumieć za grube pieniądze, których Fortunat szczerzyć nie potrzebował. Fortunat zaopatrzony

w papiery bezpieczeństwa i otoczony liczną zbrojną drużyną, puścił się w niebezpieczną podróż.

Najpierw zwiedzili kraj króla perskiego, potem obszary Wielkiego Chana z Chaltui, ztąd zwrócili się do puszczy indyjskich, kraju Jana, do Kalkuty, gdzie pieprz rośnie, jak małe winogrona. Panował tam potężny monarcha, ale kraj dręczony był strasznym upałem. Zwiedziwszy te okolice, Fortunat zatęsknił za żoną i dziećmi i postanowił copędzej powracać. W kilka dni przybył wracając, nad morze do miasta Lamecha. Tam kupił wielbłąda i na nim przebył pustynią, udając się do Jerozolimy. Miał jeszcze dwa miesiące czasu aż do chwili, w której okręt miał czekać w aleksandryjskiej zatoce. Zabawiwszy miesiąc w Ziemi świętej, przybył do Aleksandryi, odwiedził sułtana i admirała, którym doniósł wiele bardzo ważnych politycznych rzeczy. Ośm dni spokojnie wypoczął w Aleksandryi, gdy w zatoce zjawił się jego okręt z potrójną ilością bogatego towaru. Fortunat ucieszył się tem, a więcej jeszcze zdrowiem i wesołością swych ludzi. Radość jego zaś nie miała granic, gdy mu list od jego ukochanej żony Kassandry przyniesiono.

Te słowa najdroższej mu istoty, znajdujące się tuż przy nim, choć postać ta rozkoszna tyle mil od niego oddalona — rozbudziły w nim nowe życie, w sercu młodzieńczą rozпалиły miłość. Nie mógł się teraz doczekać wyjazdu. Kupcom swym

kazał towary tanio sprzedawać, gdyż nie chodziło mu o zyski. W ten sposób sprzedano olbrzymią ilość towaru w trzech tygodniach, podczas gdy inni kupcy z daleko mniejszą ilością towaru sześć tygodni stali w zatoce, a częstokroć i po tym terminie wracali z połową nierozprzedanych produktów. Sułtan, usłyszawszy o zamierzonym wyjeździe Fortunata, zaprosił go jeszcze do siebie, by się z nim raz ostatni wesoło zabawić. Fortunat nie mógł odmówić i w towarzystwie admirała udał się do królewskiego pałacu.

Sułtan Egiptu przyjął Fortunata bardzo gościnnie. Wyprawiono wspaniałą ucztę, przy której Fortunat opowiadał sułtanowi o swych podróżach i przygodach. Po uczcie objawił życzenie obdarowania sułtańskiej służby, na co sułtan zezwolił. Fortunat niepostrzeżenie począł swym workiem potrząsać pod stołem i każdemu dał tyle czystego złota, że sułtan dziwił się niemału, jak Fortunat może tyle dźwigać przy sobie. Najbardziej wszakże ucieszył się tem, że jego ulubiony mameluk najwięcej złota otrzymał. Rzekł więc do Fortunata: „Jesteście dzielnym mężem; godzi się wam pokazać także i moje skarby, do których przypuszczam tylko najlepszych mych przyjaciół i ulubieńców!” Mówiąc to, wprowadził sułtan Fortunata do wieży, zbudowanej z samego kamienia, a najpierw do sklepionej półciemnej

komory, gdzie leżały same klejnoty i naczynia złote i mnóstwo srebrnych monet, rozsypanych w wielkich kupach, jak zboże. Następnie wprowadził go do drugiej komory, w której jeszcze kosztowniejsze schowane były klejnoty, a pół komory zasypane było złotymi dukatami, które błyszczały jak słońce. Z tej komory wązkim przejściem weszli do trzeciej, gdzie stały olbrzymie skrzynie, napełnione niesłychanej wartości sukniami i klejnotami, które sułtan wdziewał na siebie, gdy chciał się w całym swym majestacie pokazać. Były tam także insygnia monarsze, z pomiędzy których dwa berła z olbrzymimi stóskowo dyamentami szczególniejszą zwracały uwagę. Kiedy sułtan wszystkie już swoje osobliwości pokazał Fortunatowi, rzekł: „Mam jeszcze jedną rzecz osobliwą, którą przekładam nad wszystkie inne!“ „Cóż to może być?“ — zapytał rozciekawiony Fortunat. „Pokażę wam, chódźcie ze mną!“ — i wprowadził Fortunata do swjej sypialni, komnaty wspaniałej, z której wielkie kryształowe okna wychodziły na morze! Tu otworzył sułtan jakąś niepozorną skrzynkę i niepozorniejszy jeszcze wyjął z niej filcowy kapelusz. Miał on kształt stożka, a był wytarty i nastrzępiony. „Ten oto kapelusz“ — rzekł sułtan, pokazując go Fortunatowi — „przekładam nad wszelkie klejnoty, bo choćby kto nie wiem jak wielką ich miał liczbę, takiego kapelusza mieć



nie może!“ Fortunat jeszcze bardziej rozciekawiony, zapytał: „O najłaskawszy panie i królu, gdybym tém nie obraził waszój osoby, byłbym ciekawy zapytać się, dla czego ten kapelusz tak wielkiej jest dla was wartości?“ „Właśnie mam zamiar ci objaśnić“ — rzekł sułtan. — „Kapelusz ten ma własność przenoszenia człowieka z miejsca na miejsce według jego woli. Ztąd wielką mam z niego wygodę i rozrywkę. Jeżeli naprzykład dwór mój wyjedzie na polowanie, a ja później chcę się udać do łowców, wdziewam kapelusz na głowę i życzę sobie być między nimi. W tój chwili unosi mnie on z sobą na upragnione miejsce — a to w jednej chwili. Podczas wojny, gdy wojsko moje walczy, mogę zlecieć do nich, kiedy mi się podoba. A więc widzicie, czy nie mam słuszności przenosić go nad wszystkie klejnoty?“ „Czy żyje jeszcze ten mistrz, który robił waszój krolewskiej Mości kapelusz?“ — zapytał Fortunat. Król odrzekł: „Nie wiem tego!“ „Bardzoby to było dobrze mieć taki kapelusz“ — myślał w duchu Fortunat — „stanowiłby on piękną parę z moim woreczkiem!“ „Myślę“ — mówił dalej Fortunat do sułtana — „że kapelusz takiej siły czarodziejskiej, musi być ciężkim i gnieść porządnie głowę tego, który go nosi!“ „Ależ gdzie tam“ — odparł z uśmiechem sułtan — „tak lekkim jest, jak każdy inny. Ot, zdejmże pan swój biret, a wdziej go, to się do-

wodnie przekonasz!“ Mówiąc to włożył czarodziejski kapelusz na głowę Fortunata. „A istotnie“ — rzekł wówczas tenże — „widzę i czuję, że jest lekkim, tak jak każdy inny kapelusz, ale i to widzę, że bardzo jesteście głupi, wkładając mi go na głowę!“ W téj chwili życzył sobie być na swym okręcie i w mgnieniu oka przez otwarte okno kapelusz uniósł go na pokład statku. Zaraz rozpięto żagle i odpłynięto.

Sułtan nie wiedział co począć w przystępie wściekłości, która wzmogła się jeszcze bardziej, gdy stojąc przy oknie spostrzegł, jak Fortunat w téj chwili żagle rozpiął i odpłynął lotem błyskawicy. Zbiegłszy do swych ludzi rozkazał im co tchu ścigać Fortunata. Ale ledwie ci zdołali wypłynąć na morze, Fortunatowego statku nie było ani śladu. Ścigano go wszakże jeszcze dni kilka, na ślepo, lękając się jednak popaść w ręce katalońskich piratów, wrócili napowrót z niczém, co króla niezmiernie gniewało.

Sułtan koniecznie chciał odebrać napowrót swój skarb największy, ale nie wiedział, jak się wziąć do tego. „Gdybym posłał admirała“ — rozmyślał w duchu — „lub którego z mych książąt, mogłoby się to chrześcijanom nie podobać i posła mojego uwięzić.“ Wreszcie postanowił wysłać wspaniałe do Fortunata poselstwo, ale z samych przedewszystkiém chrześcijan złożone. Uprosił sobie naczelnika chrześcijan, przebywa-

jącego w jego państwie, aby stanął na czele poselstwa; a gdy ten zgodził się jechać, gdzie sułtan poleci, egipski władzca oddał mu do usług wspaniały okręt, mnóstwo ludzi i pieniędzy, obiecując jeszcze większą nagrodę, gdy z kapeluszem powróci.

Kapitan statku, a naczelnik chrześcijan mieszkających w Egipcie, był Wenecyaninem i nazywał się Marcholandi; ten przyrzekł królowi spełnić wiernie poselstwo i wszystkich starań dołożyć, by kapelusz napowrót odebrać. Król ponowił swą prośbę prawie z płaczem, bo tak mu żal było straty. A z nim smucił się cały dwór i jego ulubieni mamelucy, którzy dawniej chwalili Fortunata, a teraz mienili go największym łotrem, jakiego ziemia nosi.

Marcholandi wyjechał więc do Cypru i przybył do Tamagusty; ale Fortunat już dziesięć dni przedtém w mieście osiadł. Jak serdecznie i rzewnie przyjęła go śliczna, roztęskniona za nim Kassandra — nie ma potrzeby wspominać; całe miasto było z powrotu Fortunata uradowane. Marcholandi dziwił się bardzo, że ta uciecha jest z powodu Fortunatowego przybycia. Fortunat zaś dowiedziawszy się o poselstwie sułtańskim, rozkazał oddać Marcholandiemu piękny obszerny dom do użytku i dostarczać wszystkiego, by Wenecyaninowi i ludziom jego niczego nie zabrakło. Marcholandi trzy dni w ten sposób przebył w Ta-

maguście, nic nie sprawiwszy, bawiąc się tylko i używając. Czwartego dnia dopiero posłał do Fortunata list oznajmiający, że poseł sułtański chce złożyć mu uszanowanie i wyrazić cel swego przybycia. Fortunat kazał powiedzieć, że gotów jest zaraz przyjąć poselstwo. Wtedy przybył Marcholandi i rzekł: „Król, sułtan Babilonu, Kairu i Aleksandryi, a pan mój najłaskawszy, przesyła tobie, Fortunacie, pozdrowienie królewskie przezemnie, naczelnika chrześcijan egipskich, Wenecyanina, Marcholandiego. Żąda on, abys był tak łaskaw, oddać mu wiadomy klejnot!”

Na to odrzekł Fortunat: „Dziwi mnie, jak mógł twój król być tak nierozsądnym i kapelusz. takiej wartości wkładać na moją głowę wtedy, gdy tajemniczą jego siłę przedtém mi wyjawiał. Zresztą przez kapelusz ten naraziłem się na niebezpieczeństwo, które całe me życie nie zapomnę. Gdy spadał na mój okręt, byłbym o szerokość kroku pewnie wpadł do morza i życie postradał, gdyby nie reje okrętowe, których się w locie ująłem i szczęśliwie na pokład zeszedłem. Byłbym więc o mały włos życie postradał, które mi jest daleko milsze od sułtańskiego klejnotu. Aby on mi więc ten wypadek zawsze przypominał, pozostawię go aż do śmierci u siebie!” Marcholandi próbował złamać to jego postanowienie, ale bez skutku. Mówił: „Fortunacie, i na cóż ten kapelusz może wam się przydać? Ja w miejsce jego.

dam wam rzecz inną, która daleko potrzebniejszą może być dla was i dla waszych dzieci. Gdybym miał cały worek tych kapeluszy, a każdy z nich taką siłę posiadał, oddałbym je za trzecią część tego mienia, które mam wam od sułtana ofiarować. Wiedźcie, że sułtan przysyła wam kilkanaście okrętów pełnych pieprzu, imbieru, muszkatów i cynamonu, wszystko wartości stu tysięcy dukatów! No, zdecydуйте się przecież!”

Na namowy te odpowiedział Fortunat krótko: „Największym i najmilszym mi darem jest sułtana i wasza przyjaźń; ale kapelusza nie oddam, gdyż i ja posiadam coś podobnego, więc będę miał do pary; jedno będzie drugie dopełniać!” Marcholandi udał się wówczas do króla cypryjskiego, który jeden miał władzę nad Fortunatem. Temu opowiedział całe zdarzenie i prosił o zmuszenie Fortunata do oddania klejnotu. Ale król odrzekł: „Ja mam panów i książąt pod sobą, wszyscy muszą słuchać moich rozkazów, ale nie nakazuję nigdy i nie zmuszam wpierw nikogo, dopóki sąd tak lub owak nie orzeknie. Niech więc sułtan zanieśie do mnie oskarżenie na Fortunata, a zobaczymy wówczas, co robić!” Marcholandi wiedział dobrze, że poganom nie uwierzą i do sądu z nimi nie dopuszczą, dla tego odjechał smutny. Fortunat na drogę obdarzył go jadłem i napojem, oraz drogimi kosztownościami. Sułtanowi zaś kazał powiedzieć, że on na jego miejscu to sa-

moby zrobił, więc niech już zapomni o swym kapeluszu.

Fortunat objechawszy już wszystkie państwa chrześcijańskie i pogańskie, począł teraz prowadzić życie spokojne; zajął się wychowaniem swych synów, dał im do usług pachołków i uczył zabaw rycerskich, w których szczególnie odznaczał się Andolozya, tak, że wszyscy prorokowali mu świetną przyszłość i mówili, że on kraj swój wsławi swymi czynami. Tak więc Fortunat żył szczęśliwie, zabawiając się synami, kapeluszem i czarodziejskim woreczkiem, polowaniem, ptakami i zawsze śliczną żoną, która zwieszona na jego piersiach godzinami całymi słuchała jego opowieści o dalekich krajach i o przygodach, jakie przebył.

Wiele lat upłynęło w takiej miłości i zgodzie; gdy wreszcie miał cios uderzyć. Piękna Kassandra zapadła w tak ciężką chorobę, że pomoc lekarska okazała się daremną i musiała umierać. Fortunat popadł w taką rozpacz, że częściowego doznał obłędu i z dniem każdym słabł coraz bardziej. Zwołano najświetniejszych lekarzy świata, którzy jeżeli nie zdrowie, to przynajmniej życie na jakiś jeszcze czas zachować chcieli, ale również napróżno. Fortunat czuł śmierć szybko się zbliżającą. Przed zgonem odzyskał zupełną przytomność i zawołał do siebie



synów, którym rzekł: „Wiecie, kochani synowie, że matka wasza, która troskliwie czuwała nad waszém wychowaniem, już umarła. Ja sam czuję również, że wnet, dziś może, na wieki was pożegnam. Dla tego chcę was jeszcze pouczyć, jak macie używać majątku i innych rzeczy, które wam zostawiam, abyście byli szczęśliwi!“ Wtedy opowiedział im postępowanie z woreczkiem i kapeluszem, wyjawiał ich pochodzenie i napomniiał, aby nigdy nie rozdzielali się od tych skarbów i nikomu o nich nie mówili. „Mógłbym ja przez lat sześćdziesiąt o tajemnicy woreczka zamilczeć, i wy to możecie; tém bardziej, że siła jego będzie trwać tak długo tylko, jak długo wy żyć będziecie! Pamiętajcie także o tém, abyście rok rocznie, na cześć matki waszój, obdarowali posagiem biedną dziewczynę, mającą wyjść za mąż.“ To były ostatnie słowa Fortunata, poczem wyzionął Bogu swego ducha. Synowie sprawili mu wspaniały pogrzeb i rozkazali mnóstwo Mszy świętych za duszę jego w całym kraju odprawiać.

\*

\*

Taka jest historia o Fortunacie. — O synach jego i o życiu ich kolei, mówi część druga powieści.

Koniec części pierwszój.

<http://rcin.org.pl>

## Część II.

### Synowie Fortunata.

---

Po śmierci Fortunata, dwaj pozostali synowie jego nosili cały rok żałobę nie tylko na zewnątrz, tj. na szatach swoich, ale głębiej jeszcze wewnątrz — w sercu. Starszy Ampedo zajął się przede wszystkim uporządkowaniem domu i całego pozostawionego mu gospodarstwa, młodszy zaś Andolozya żywszego od brata usposobienia, nie mogąc się zabawiać ćwiczeniami rycerskimi ani ulubionem polowaniem, siedział całymi dniami nad starymi ojcowskimi księgami i szperał w jego pamiętnikach. I na marne nie poszło mu to wcale, czerpał z nich bowiem jakby naukę doświadczenia, gdy czytał zajmujące opisy krajów, które ojciec jego przewędrował i rozmaite ciekawe a często groźne przygody, jakie mu się przytrafiały na dworach królów i wśród obcych ludów, między którymi w podróży przebywał. Nic więc też dziwnego, że przy takich okolicznościach, zrodziła się w nim gorąca chęć podróżowania, tak jak ojciec jego czynił, chęć zwiedzenia obcych ludów i krajów, słowem, naśladowania ojca we

wszystkiem. A że nie stało mu nic na przeszkodzie do podobnego przedsięwzięcia, rzekł pewnego razu do Ampeda: „Cóż, kochany bracie, poczniemy teraz? Oddając się zbytecznie smutkowi, nie zgnuśniejemy przecież tutaj na miejscu! Mojem zdaniem byłoby udać się, tak jak niebożczyk ojciec nasz, w daleką podróż po świecie i dobijać się sławy i zaszczytów wśród obcych ludów — zwłaszcza, że do urzeczywistnienia tego zamiaru nie brak nam sposobności i pieniędzy! Nie uwierzysz, jak mi się taki tryb życia podoba i z jakim upodobaniem wczytuję się w ojcowskie pamiętniki, pełne romantycznych przygód! A może ty ich nie czytałeś jeszcze? Chódź, a pokażę ci!“ Dobroduszny i spokojny z natury Ampedo nie uniósł się taką namiętnością, jaka Andolozyem o władnęła; z spokojem wysłuchał gorących słów brata, wzruszył wreszcie tylko ramionami i rzekł: „Komu przyjemna podróż, niech podróżuje! Ja ci nie myślę wcale stać na przeszkodzie, ale również na propozycję twoją się nie zgodzę! Mnie nic do drógi nie ciągnie i wątpię, czybym gdzie na całym szerokim świecie znalazł tak przyjemne i miłe miejsce, jak me rodzinne miasto i dom ojczysty. Tu żyli przodkowie moi, tu więc i ja chcę zostać aż do śmierci i spodziewam się, że będę szczęśliwym, a przynajmniej wewnątrznie zadowolonym i niczego więcej pożądać nie będę!“

„No, kiedy tak“ — odparł Andolozya — „to

podzielmy się pozostawionymi nam przez ojca drogocennymi klejnotami, t. j. woreczkiem i kapeluszem, stósownie do naszego przyszłego życia!“

„Chcesz więc już przestąpić polecenie ojcowskie“ — rzekł na to Ampedo — „bo wiesz przecie, że jego ostatniem życzeniem było, abyśmy tych klejnotów nigdy między dwie nie rozdzielali osoby; z tego może wyniknąć łatwo jakie nieszczęście!“

„E, co bym tam teraz o tém myślał“ — zawołał lekceważącym tonem Andolozya — „ojciec już umarł, ale ja żyję i chcę podziąłu!“

„Jeżeli już więc tak wymagasz tego koniecznie“ — odparł Ampedo — „to weź sobie zresztą kapelusz i leć, gdzie chcesz!“

„Nie“ — rzekł Andolozya — „ja nie chcę kapelusza, zatrzymaj go ty sobie i zostań tutaj, a ja z cudownym woreczkiem pojedę w świat!“

I wywiązała się tym sposobem żywa sprzeczka pomiędzy braćmi, każdy z nich bowiem chciał woreczek dla siebie zatrzymać. Nakoniec rzekł Andolozya: „Szczęśliwa myśl wpadła mi do głowy, wiem już co będzie najlepiej uczynić. Oto wybierz sobie z cudownego woreczka ile chcesz pieniędzy, choćby kilkaset worków, żebyś już na całe życie był miał zabezpieczony i zabierz sobie to złoto razem z kapeluszem czarodziejskim, abys miał się czem w nudach rozerwać — a ja tymczasem wezmę woreczek i wyruszę w drogę po świecie, dla zdobycia sobie sławy. Gdy po sześciu latach, [nacieszywszy się](http://ojs.org.pl) takim szcze-

ściem do syta, zapragnę wreszcie spokoju, powrócę do twego cichego pałacu i woreczek szczęścia oddam w twe ręce na dalsze lat sześć do dowolnego rozporządzenia. Tym sposobem nie uczynimy sobie nawzajem krzywdy i w równej mierze będziemy szczęścia używać!“

Dobroduszny Ampedo zgodził się na ten warunek i oddał woreczek szczęścia w ręce brata. Andolozya ucieszył się bardzo, iż będzie wreszcie w stanie zamiar swój przywieść do skutku i natychmiast gotował się do drogi. Sam przedewszystkiem opatrzył się we wszystko do dalekiej podróży potrzebne, swój talizman zawiesił na piersiach, dobrał sobie czterdziestu rycerskich i dobrze uzbrojonych towarzyszy na koniach, pożegnał wreszcie czule brata i na własnym okręcie odbił od brzegów rodzinnej wyspy. Po tygodniowej żegludze wylądował wreszcie w porcie Auguismortes, gdzie właśnie król francuzki z całym swym dworem przebywał. Wmieszzał się tu między hrabiów i rycerzy, dwór królewski stanowiących, a od wszystkich mile został przyjęty, albowiem nie szczędził pieniędzy, wszystkich gościnnie podejmował i był wielce układnym i uprzejmym. Zaciągnął się nadto w szeregi gwardyi królewskiej i począł mu służyć wytrwale i wiernie, jak rzeczywisty poddany. W krótkim też czasie zyskał sobie powszechnie uznanie i ogólnie się nim zajmować poczęto, tém więcéj, że na wszyst-

kich prawie turniejach i zapasach rycerskich, nadzwyczajną odznaczał się odwagą i zręcznością i prawie zawsze odnosił zwycięstwo. Takie zabawy rycerskie odbywały się dość często, a połączone zawsze były z tańcami, w których brały udział panie znakomitego pochodzenia i rodu. Andolozyę zaproszono również na nie i tutaj bardzo wpadł w oko wszystkim damom, był bowiem młodzieńcem pięknej postawy i o gładkich rysach twarzy. Wszystkie dowiadywały się z zajęciem kim jest i z kąd pochodzi, a gdy doniesiono im, że posiada ogromny majątek i pochodzi z szlacheckiej rodziny dawno osiadłej na Cyprze, dorósł w ich oczach do większego jeszcze znaczenia, i wyżej sobie jego towarzystwo ceniono. Prowadził więc Andolozya zbytkowne a rozkoszne w gronie przyjaznych mu rycerzy i uwielbiających go niewiast życie i wzrastał ciągle w dumę i zarozumiałość. Stan ten większej jeszcze doniosłości przybrał znaczenie, gdy sam król do siebie na ucztę go zaprosił i obok siebie przy stole posadził. Odwzajemniając się, wyprawił Andolozya dla króla i wszystkich na dworze jego przebywających panów jeszcze wspanialsze gody, przewyższające przepychem nawet ucztę królewską. Od téj chwili zdawała się droga szczęścia i tryumfów stać przed nim otworem. Inaczéj jednak miały zrządzić losy przyszłości!

Rozkochał się tutaj nasz młody bohater sza-



lenie w pewnej pięknej Francuzce, jednej z pierwszych dam dworu króla. Najmilsze chwile spędzał tedy na łonie swęj ubóztwianęj, która zdawała się również miłość jego odwzajemniać. Poił się słodkim nektarem z jęj ust płynącym, pieścił się jęj alabastrowęj białości ciałem i namiętnie przyciskał do swęj piersi, bo nie wiedział, że pod tą olśniewającą zmysły i ujarzmiającą wolę pokrywą mieściło się fałszywe i pełne brudnych żądź i pożadań serce. W krótcie jednak miał się o tēm przekonać! Było to wieczorem. Andolozya nie zastawszy swęj Eufemii w domu, wyszedł do parku królewskiego, aby tu użyć przechadzki i nieco świeżem odetchnąć powietrzem. Aż oto w jednęj z altan ogrodowych na miękkiej mchu pościeli, zobaczył ze wstrętem i pogardą kochankę swą wiarołomną w objęciach królewskiego giermka, oddającą mu się namiętnie lubieżnym ruchem swego ciała. Postąpił krok naprzód i już chwycił za rękojęść miecza, aby wiorołomną i uwodziciela jęj ukarać, ale wnet pohamował swój gniew i cofnął się; dla tak nizko upadłej istoty szlachetny jego umysł żywił tylko uczucie pogardy. Tego samego jeszcze wieczora opuścił zdradzony kochanek miejsce tak nieprzyjemnych wspomnień i puścił się dalej drogą w świat szeroki, szukając gdzieindziej szczęścia; pocieszał się przynajmniej tą myślą, że cudownego woreczka nie utracił.

Najpierw przybył na dwór króla Aragonii, a zabawiwszy tu czas niejaki, udał się do Portugalii, potem do Kastylji i Nawary, wszędzie na dworach królów przebywając — aż wreszcie dostał się do Hiszpanii, gdzie miał dłuższy czas pozostać. Obyczaje i stroje hiszpańskie spodobały mu się bardzo, sam więc wraz z służbą do nich się zastósował i również wstąpił w szeregi gwardyi królewskiej. Podobnie jak na dworze króla francuzkiego, tak i tu nadzwyczaj kosztowne prowadził życie, wydawał wspaniałe uczyty dla panów dworu i samego nawet króla, występował we wszystkich znaczniejszych turniejach i gonitwach, gdzie wszyscy podziwiali jego nadzwyczajną odwagę, zręczność i siłę — tylko raz nauczony doświadczeniem, w obcowaniu z damami był ostrożniejszym. Zdarzyło się naówczas, że królowi wypadło z sąsiednim narodem prowadzić wojnę, powołał więc pod broń wszystko czynne wojsko a nawet cały naród. Andołozya i w tej ważnej potrzebie nie opuścił króla, ale towarzyszył mu wszędzie; sam własnym kosztem wystawił pułk dobrze uzbrojonego regularnego wojska i na czele tegoż, dokazywał cudów mężstwa. W zamęcie walki samemu królowi dwakroć uratował życie. Ceniąc też jego znakomite usługi, jakie w ostatniej bitwie złożył krajowi, jako też i z osobistój wdzięczności za ocalenie życia, pasował go król hiszpański na

rycerza, powróciwszy z wyprawy zwycięzko. Chciał go nawet podnieść do godności hrabiego, ale Andolozya wymówił się z ręcznie od tego zaszczytu, żadne bowiem ziemskie honory i wywyższenia nie miały dla niego najmniejszej wagi wobec skarbu, jaki posiadał, a tym był woreczek szczęścia. Również odrzucił proponowane mu małżeństwo z jedną z córek pewnego bogatego hrabiego i wysokiego dostojnika dworu, żadna bowiem nie podobała mu się wcale a zresztą po ostatniem zajściu prawie zupełnie wiarę w czyste uczucie miłości i szczęście małżeńskie utracił. Przebywszy więc kilka lat na dworze króla Hiszpanii, pożegnał go uprzejmie i z godnością i wynajęwszy osobny okręt, wraz z swoją liczną drużyną popłynął ku Anglii, w tym bowiem kraju jeszcze nie był.

Wielu z panów hiszpańskich szczerze żałowało Andolozego, wiele im bowiem dobrego wyświadczył i w jego towarzystwie mile im czas upływał — byli jednak i tacy, którzy potajemnie radowali się jego odjazdu, albowiem zazdrość złe ich ku niemu usposobiła i z nieprzyjemnym uczuciem spoglądać musieli na jego zbyt kowne życie i czyny, które na nich mimowoli cień rzucały. Teraz więc poczęli wychodzić na nowo na szerszą widownię królewskiego dworu, pozbywszy się tak wielkiego i niebezpiecznego współzawodnika.

Tymczasem Andolozya żegłował na swym statku ku brzegom Anglii, a podróż ta nie odbyła się zupełnie szczęśliwie. Na środku bowiem morza zastała naszych podróżnych okropna burza, która szalejąc blisko przez pół dnia, rzucała okrętem, jak małą łupinką z orzecha, a wreszcie uderzywszy nim o podwodne skały rozbiła na drobne szczątki. Cała załoga znalazła śmierć w odmętach morskich, jeden tylko Andolozya jakby cudem, uchwyciwszy się belki, uratowany został; płynącego bowiem i wołającego rozpaczliwym głosem ratunku, rozbitka, dojrzał przepływający okręt kupiecki i przyjął na swój pokład. Jakże dziękował teraz Andolozya gorąco Bogu za swe ocalenie, widząc się już wraz z swym skarbem zupełnie bezpiecznym, a który przecież w owej straszliwej chwili rozbicia nie mu dopomódz nie był w stanie!

Kupcy przybili wreszcie szczęśliwie do Londynu, stolicy Anglii, a Andolozya wynagrodziwszy ich hojnie, wstąpił sam do tego miasta, do którego niegdyś ojciec jego z Flandryi zmuszonym był uciekać. W krótkim czasie rozbitek nasz urządził się co najmniej, jak panujący książę, a co człowiekowi będącemu w posiadaniu cudownego woreczka, nie stawiało najmniejszej trudności. Wynajął sobie tedy najpierw wspa-  
niały, wielki dom i począł utrzymywać dwór z dwustu osób się składający. Po niejakim czasie

poznajomiwszy się z dworzanami królewskimi i znaczniejszymi dostojnikami państwa, wydał na cześć ich wspaniałą ucztę, która go od razu kazała lepiej cenić i poważać. W krótcie począł się i w znaczném kole dostojnych dam obracać, wszyscy bowiem pragnęli poznać dzielnego rycerza, który na wszystkich niemal turniejach pierwszą zyskiwał nagrodę i którego imię głośnóm się już stało w mieście. Nie długo więc i król dowiedział się o tym nowym przybyszu i pragnął go do swojego dworu pozyskać. Wysłał w tym celu posłańców do Andolozyego, który przyjął ich bardzo gościnnie i rzekł, iż za niewysłowiony poczyta sobie zaszczyt, gdy będzie mógł usługi swe tak wielkiemu ofiarować monarsze. A zdarzyło się właśnie, że naówczas król angielski toczył długoletnią wojnę z Szkocyą i kilka już dotkliwych klęsk poniósł. Andolozya więc natychmiast kosztem swym uzbroił dwa pułki dzielnego wojska, sam stanął na ich czele i okazał gotowość do wyruszenia na pole walki. Król przyjął tę ofiarę ochotnie — i od téj chwili szczęście wojenne stanowczo przechyliło się na stronę Anglii. Hufce Andolozego wszędzie odnosiły zwycięstwo, a naokół siały postrach i zniszczenie w nieprzyjacielskich szeregach, sam zaś ich wódz, rzeczywiście cudów męstwa dokazywał, nikt mu bowiem w sile i zręczności rycerskiej nie sprostał. Wszyscy nie mogli wyjść z po-

dziwu, jak może nieznanymi z dalekich krajów przybysz tak ochotnie rzucać się w odmęt walki za cudzą sprawę i z takim, godnym naśladowania poświęceniem i odwagą, narażać życie swoje na tysiączne niebezpieczeństwa w usługach cudzoziemskiego monarchy.

Krwawa wojna skończyła się wreszcie. Syt chwały powrócił Andolozya do Londynu, gdzie go cały naród, dwór królewski, szlachta i panie przyjmowały z wspaniałością i zapalem. Sam król zaprosił go na ucztę do swego pałacu i posadził na pierwszém miejscu w gronie swęj rodziny, pomiędzy swą małżonką i córką Agrypiną, która słynęła z swęj piękności jako najśliczniejsza dziewczica w całej Anglii. Rozmawiając z nią i patrząc w jęj urocze lica, przejęty został Andolozya ku córce królewskiej tak gorącą miłością, iż skutkiem silnego wzruszenia nie mógł ani jeść, ani pić, choć najpyszniejsze potrawy i najwyborniejsze napoje przed nim stawiano. Po skończonej uczcie pospieszył wzruszony coprędzej do domu. Ciężkie myśli opanowały jęgo umysł i całą siłą woli oprzeć się im nie mógł. W myślach tych widział tylko ciągle obraz uroczej Agrypiny, słyszał tylko miły jęj głos, a na samo jęj wspomnienie serce kołatało mu silnie. Do żadnej pracy ani zabawy wziąć się nie mógł, bo myśl jedna prześladowała go ciągle. „O, Boże“ — wołał w chwilach roz-



myślań — „czemuż nie jestem królewskiego rodu? Ach, wówczas służyłbym tak wiernie królowi, życie bym nawet oddał za jego sprawę, aby mi tylko dał swą córkę za żonę! I cóż mógłbym sobie życzyć lepszego i świetniejszego na ziemi!?” Chcąc się więc bardziej przypodobać domowi królewskiemu, występował coraz częściej w turniejach i igrzyskach pod barwą królowej i jej córki, walczył za ich cześć i sławę i zawsze odnosił zwycięstwo. W krótkim czasie ośmielił się nawet zaprosić do swego pałacu królowę i Agrypinę, a gdy nie odmówiły jego zaproszeniu, ugościł je tak wspaniale, tak osobliwszą wyprawiał ucztę, iż wszystkich wprowadził w podziw i zdumienie. Aby tém lepszą ustalić o sobie opinię i lepsze w zamku zapewnić przyjęcie, ofiarował królowej i królownie bogate klejnoty, jakich nawet w skarbcu królewskim nie widziano, również nie zapomniał ochmistrzynią królowej i cały dwór z licznych pań złożony, obdarować jak najhojniej drogocennymi upominkami.

Król dowiedział się w krótkce o tém wszystkim, rzekł przeto do Andolozyego, gdy tenże znajdował się pewnego razu na dworze: „Od królowej, małżonki mojej dowiedziałem się, iż na jej cześć wspaniałą wyprawieś ucztę; dla czegoż tedy i mnie nie zaprosiłeś do siebie?” „Ach, Najmiłościwszy Panie i królu” — odrzekł Andolozy — „czyż mógłłem spodziewać się, że Wasza

królewska Mość nie pogardzi zaproszeniem jednego z swych pokornych sług! Zapewnienie takie sprawiłoby mi niewysłowioną radość i zaszczyt!“ „A więc będę jutro u ciebie gościem“ — odparł król — „i razem ze mną przyjdzie dziesięciu pannań z mego dworu.“ Andolozya ucieszył się tém niezmiernie, pospieszył czémprędzej do domu i czynił przygotowania do godnego przyjęcia tak znakomitego gościa. A gdy wreszcie król przybył wraz z dworem, nie mógł się dosyć nadziwić wspaniałości, z jaką go przyjęto i uczcie, jaką na jego cześć wyprawiono. Widząc też niezwykle przepych u jednego z swych poddanych, przejęty uczuciem zazdrości, postanowił król jakimkolwiek bądź możliwym sposobem upokorzyć Andolozyę i publicznie zawstydzić. W tym celu obiecał znów pewnego razu przyjść do Andolozyi w gościnę, a tymczasem surowo, ale potajemnie zakazał, aby w całym mieście kupcy nadal nie sprzedawali jego ludziom drzewa do palenia. Andolozya ucieszył się znów niezmiernie zapowiedzianymi odwiedzinami królewskimi i przygotował w krótkim czasie najpyszniejsze napoje i potrawy do uczy. Jakże się jednak zasmucił i przestraszył zarazem, gdy doszło do jego wiadomości, że w kuchni drzewa zabrakło i nigdzie takowego dostać nie można z niewiadomój dlań przyczyny. Nie wiedział, co począć w takim wypadku, gdy nagle szczęśliwy pomysł wpadł mu do głowy;

było to wprawdzie kosztowne przedsięwzięcie, ale dla Andoloyzi, posiadającego woreczek szczęścia, nie stanowiło ono najmniejszej przeszkody. Kazał on bowiem od weneckich kupców, przebywających w Londynie, kupić cały zapas gwoździków, muszkatowych pałek, słodkiego drzewa, cynamonu i tym podobnych wonnych korzeni, zsypać wszystko na jedno miejsce, zapalić jak zwykle drzewo i przy tym zbytkownym ogniu gotować i przyrządzać potrawy.

Nadszedł wreszcie czas uczy i jakkolwiek król spodziewał się na niej pościć, niemniej jednak cieszył się i był zadowolony ze swego podstępu, myśląc, że mu się udał. Wsiadł więc do powozu, otoczony licznym dworem i w towarzystwie tych samych panów, którzy na pierwszej uczcie z nim byli i kazał się powieść w kierunku domu Andoloyzi. W miarę, jak zbliżał się doń, coraz silniej dolatywał go miły a odurzający zapach, który zdawał się pochodzić z palenia kosztownych korzeni. Zapach ten stawał się coraz silniejszym i przyjemniejszym i wyraźnie wydobywał się z dziedzińca domu Andoloyzi. Zdziwiony król posłał jednego z swych dworzan, aby się o przyczynie tego zapachu dowiedział i zarazem, czy potrawy do uczy są gotowe, będąc pewnym w myśli odmownej odpowiedzi; nie mógł przeto wyjść z podziwu, gdy mu powiedziano, że potrawy już są przyrządzone i to przy tak kosztownym

ogniu. Uczta sama była jeszcze wspanialszą niż poprzednia, a po skończeniu tejże, gdy król już miał odchodzić, ofiarował Andolozya każdemu słudze królewskiemu dziesięć koron, co wszystkich w niemałe wprawiało zdumienie. Po powrocie do pałacu opowiedział król swój małżonce, jak wspaniale został przyjęty, że do gotowania potraw zamiast drzewa użyto kosztownych i wonnych korzeni i wreszcie jak jego słudzy hojnie obdarowani zostali. Wyraził również swoje zdziwienie i pragnienie dowiedzenia się, z kąd Andolozya bierze tyle pieniędzy, gdy nie posiada żadnego ziemskiego majątku a w życiu jego nie znać najmniejszej oszczędności. „O tém najłatwiej dowiedzieć się może nasza córka Agrypina“ — odparła królowa — „Andolozya uwielbia ją bowiem i jest jej całym sercem oddany i jestem przekonaną, że nic zataić nie jest w stanie, o co tylko go zapyta.“ „Dołóż więc starań, aby rzecz tę przyprowadzić do skutku“ — rzekł na to król i odszedł do swój komnaty. Królowa przywołała więc czémprędzej swą córkę do siebie a przedstawwszy jej w dosadnych słowach, błyszczący przepychem tryb życia Andolozyi, wyraziła jej swe zdziwienie, z jakiego źródła te prawdziwie niewyczerpane skarby pochodzą i rzekła: „Od twojej woli i postępowania, kochana córko, zawisło wykrycie tej tajemnicy; Andolozya sprzyja ci całym sercem, co z jego zachowania się odgadnąć

łatwo i jestem pewną, że nic przed tobą zamilczeć nie jest w stanie. Użyj więc całej swój mocy a dowiesz się wszystkiego od niego a tém samém zaspokoisz moją i ojca ciekawość. Gdy tylko Andolozya znowu na dworze się ukaże, umyślnie tak sprawę pokieruję, aby cię na dłuższy czas z nim sam na sam zostawić a tém samém dać wolne pole do działania!“ „Uczynię chętnie, co tylko będzie w mojej mocy, kochana matko!“ — odrzekła na to Agrypina.

I zdarzyło się, że znów po jakimś czasie Andolozya przybył na dwór królewski, gdzie go jeszcze uprzejmiej, niż dotąd przyjęto. Ku swój wielkiej radości znalazł się wkrótce w apartamentach córki królewskiej, a jak już z góry rzecz ułożono, po jakimś czasie sam na sam z nią. Wtedy przebiegła dziewczica wzięła się z całą zręcznością do odegrania swój roli i wybadania Andalozyi; korzystając tedy z sposobnej chwili, rzekła doń: „Powszechnie chwalą twą wspaniałość, Andolozyo — i nadziwić się nie mogę przepychowi i zbytkowi, z jakim wyprawiłeś ostatnią ucztę dla króla a ojca mego! To każe się domyślać, iż jesteś panem ogromnych bogactw i skarbów, sługi bowiem nawet obdarowałeś tak hojnie, jak dotąd żaden z książąt lub rycerzy. Powiedz mi więc, czy nie obawiasz ty się przypadkiem, aby przy takim zbytkowném życiu nie zabrakło ci z czasem pieniędzy?“ „O, nigdy,

nigdy! miłościwa pani!“ — zawołał Andolozya — „dopóki życia mi starczy, starczy mi i pieniędzy!“ „Jakże więc powinienesz wielbić Boga“ — rzekła Agrypina — „iż dał ci takiego ojca, który ci tyle dostatków dostarcza i tak troskliwie stara się o twoje dobro!“ „Ja jestem tak samo bogatym, jak mój ojciec“ — odparł Andolozya — „a ojciec mój nigdy bogatszym nie był, niż ja teraz. Różniliśmy się tylko względem siebie co do usposobienia; żądzą mojego ojca było bowiem zwiedzać obce i dalekie kraje, mojem zaś najwyższem szczęściem i pragnieniem jest oglądać piękne lica uroczych dziewczyc, których bym mógł pożądać miłości!“ „A przecież, jak słyszę, byłeś już na tylu dworach królewskich“ — rzekła Agrypina — „i nigdzie nie odnalazłeś dotąd ideału swych pragnień?“ „Byłem“ — odparł na to z wzruszeniem Andolozya — „na sześciu dworach królewskich, widziałem nie jedną piękną panią i dziewczycę, ale piękniejszój od ciebie, miłościwa księżniczko, nie spotkałem dotąd. Tak, ty przewyższasz wszystkie dotąd widziane pięknoscią lica, wdziękiem postawy, szlachetnoscia obejścia i wysokiem wykształceniem. Tém wszystkiém“ — zawołał, upadając jój do nóg i obejmując jój kolana — „oczarowałaś mnie, podbiłaś moje serce i wzięłaś je sobie na własność, bo serce to zapłonęło żywym ogniem miłości, iż bez odwzajemnienia jój, opuścić cię już nie mogę. Wiem, iż niepodobien-



stwem jest i bezczelnością, żądać od ciebie dla mnie miłości, bo nie jestem tak wysokiego urodzenia jak ty, miłościwa księżniczko, ale jakaś niewytłómaczona potęga, której się oprzeć nie mogę, zmusza mnie, aby wyznać wielką a nieszczęśliwą miłość, którą ku tobie czuję! Na kolanach proszę cię i błagam, abys nie odmówiła mi wzajemności; wówczas możesz czynić ze mną, co ci się podoba, możesz żądać odemnie, czegokolwiek zechcesz, a niczego ci nie odmówię! Wszystko gotówem dla ciebie uczynić, choćby to nawet nie leżało w granicach mej mocy!“

Wysłuchawszy tego oświadczenia miłości Agrypina, która tylko plan swój pragnęła urzeczywistnić, odparła: „Oto powiem ci szczerą prawdę Andolozyo — chcę wiedzieć, z kąd bierzesz tyle bogactw i gotowych pieniędzy, czemu wszyscy wydziwić się nie mogą. Powiedz mi to, a możesz być pewnym mojej miłości!“ Andolozya uczuł się teraz niewysłowienie szczęśliwym — z zapewnieniem Agrypiny zdawało mu się, iż stanął u szczytu swych marzeń. „O ukochana Agrypino“ — zawołał — „z szczerością wyznam ci prawdę, ale w pierw musisz dać mi przyrzeczenie, iż tajemnicy téj przed nikim nie zdradzisz!“ „Mój kochany Andolozyo“ — odparła na to na pozór wzruszonym głosem — „o miłości mej nie możesz i nie powinienes wątpić! Co ci przyrzekam słowami, potrafię i czynem zatwierdzić!“

Po tej łaskawej odpowiedzi nie wahał się już Andolozyą z odkryciem swęj tajemnicy. Wyjął swój na piersiach ukryty woreczek szczęścia, dał go Agrypinie oglądnąć i rzekł: „Jak długo ten woreczek mam przy sobie, nie zabraknie mi nigdy pieniędzy!“ I z tymi słowy począł zeń wyliczać sztuki złota i tysiąc koron wysypał na suknię królowny. „Oto podarunek dla ciebie“ — rzekł — „chcesz mieć więćej, to dowolną ilość ci wyliczę!“ „Widzę teraz wszystko i domyślam się prawdy“ — odparła Agrypina — „teraz nie dziwi mnie twoje zbytkowne życie! Ale ponieważ wyjawileś mi żadaną tajemnicę — i ja dotrzymam danego ci słowa. Dziś wieczór króla i królowęj w zamku nie będzie, pragnę więc wespół z tobą w mym pokoju przepędzić kilka chwil na miłosnej pogawędce! Umówię się w tym celu z moją ochmistrzynią, ale i ją musisz sownie obdarzyć aby rzecz całą w ścisłej zachowała tajemnicy.“

Andolozya przyrzekł wszystko, czego od niego żądano i w błogiém uniesieniu serca oddalił się do domu. Zaledwie tylko odszedł, pobięła Agrypina do matki i z wielką radością opowiedziała jęj wszystko, czego się dowiedziała. Nie zamilczała przed nią również o tajemnej schadzce, którą na wieczór w swęj komnacie naznaczyła Andolozyi. Królowęj spodobało się przebiegłe postępowanie córki; zapytała się jęj jeszcze, czy

pamięta kształt, barwę i wielkość owego woreczka. Otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź, kazała królowa sporządzić według opisu córki taki sam woreczek, poczem zmyła go należycie, aby wydawał się stary i używany i niczem od prawdziwego woreczka szczęścia się nie różnił. Potem posłała królowa po pewnego uczonego lekarza i poleciła mu przysposobić silny napój, któryby człowieka wprowadzał w sen głęboki, jednak nie szkodził jego zdrowiu. Otrzymawszy żądany napój, zaniósła go do pokoju córki, która dobrze wiedziała, jaki zeń ma zrobić użytek. Przygotowawszy się w ten sposób na przyjęcie Andolozyi obie chytre niewiasty, poleciły jeszcze ochmistrzyni dworu, aby, gdy w wieczór przyjdzie oczekiwany rycerz, otworzyła mu natychmiast bramę, przyjęła z wszelką uprzejmością i zaprowadziła wprost do komnaty księżniczki. Tutaj miano mu podać najwyborniejsze potrawy, a potem ów zdradziecki napój.

Z zmierzchem przybył cichaczem i potajemnie Andolozya do zamku, gdzie go natychmiast do pokoju Agrypiny zaprowadzono. Niedługo czekał, po krótkiej bowiem chwili przybyła urocza księżniczka z tajemnym uśmiechem na ustach, pozdrowiła uprzejmie Andolozyę i usiadła obok niego. Rozpoczęła się natychmiast wspólna uczta, podczas której toczyła się serdeczna rozmowa dwojga kochanków. Agrypina oparła się

niedbale na ramieniu Andolozyi i rozkosznie wygięta zwróciła swą twarz ku niemu. Lekka jej suknia rozsunęła się nieznacznie na piersiach, pozwalając widzieć alabastrowe kształty dziewiczego ciała, drżącego tajemną rozkoszą. Rozgrzany winem i namiętnością rycerz, nie mógł na widok ten oprzeć zmysłowej żądz, pochwycił księżniczkę w swe objęcia, posadził ją na swych kolanach i przyciskał z drzeniem wszystkich nerwów do swjej piersi. Całe ciało jej okrył tysiącem pocałunków, a Agrypina nie opierała mu się wcale, bo pragnęła ująć go sobie zupełnie a skutkiem pieśczoć, jakimi ją rycerz otaczał, uczuła się ubezwładnioną, mgłą rozkoszy zaszły jej oczy — i oddawała mu się zmuszana jakimś popędem natury całym swém cielesném jestestwem. Przeszła długa chwila, w której zapomnieli o wszystkiém, co ich otaczało; żyli tylko samymi sobą. Nagle królowna wyrwała się z uścisków Andolozyi a pochwyciwszy stojący puhar pełen wina, podniosła go w górę i zawołała: „Pijmy za naszą wspólną pomyślność!“ Rycerz podniósł się również — ujął kielich z zdradzieckim usypiającym płynem i wychylił go aż do dna, chcąc się swjej lubiej przypodobać. I tak spełniał jeden puhar po drugim, zachęcany przez uwielbianą królownę, aż z przyrządzonego przez doktora napoju nic nie pozostało. Prędko jednak począł się okazywać jego skutek. W krótkim czasie uczuł

bowiem Andolozya jakąś ciężkość i niemoc na całym ciele, iż musiał usiąść i podnieść się nie mógł o własnej sile. Owładnęła nim senność, której oprzeć się nie mógł i po krótkim czasie popadł w sen głęboki, iż nie miał najmniejszej świadomości, co się z nim i około niego dzieje. Tę chwilę uznała Agrypina za stanowczą do wykonania zuchwałego zamiaru. Rozpięła Andolozyemu szybko kaftan na piersiach, oderwała woreczek szczęścia a na jego miejsce zręcznie przyszyła podrobiony, ażeby na razie oszukaństwa nie poznał.

Nazajutrz raniutko zaniosiła Agrypina zdobyty woreczek królowej, matce swojej, aby się przekonać, czy jest rzeczywiście prawdziwy. Zaraz za pierwszym razem wyjęła zeń dziesięć koron złota i to powtarzało się ciągle, bez przestanku; można było wyliczać pieniędzy, ile się komu podobało; zabraknąć ich nie mogło. Z pełnemi rękoma złotych pieniędzy, pospieszyła królowa do męża i opowiedziała mu wszystko, co uczyniła Agrypina z Andolozyą. Król ucieszył się bardzo takim stanem rzeczy, usiłowania jego jednak celem przywłaszczenia sobie woreczka, pożądanego nie odniosły skutku. Agrypina nikomu, nawet matce, oddać go nie chciała. „Ja życie moje stawiałam na kartę nimem go zdobyła“ — rzekła — „bo jestem pewną, że gdyby się Andolozyo przebudził, byłby mnie zabił na



miejscu. To, co więc z takim trudem dostało się w moje ręce, moją wyłącznie jest własnością!”

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy się Andolozya ze snu ciężkiego obudził. Rozejrzał się z trwogą dokoła siebie i zobaczył tylko starą ochmistrzynię dworu, siedzącą przy stole. Spytał się przeto, kędy poszła Agrypina? „Dopiero co wstała i odeszła“ — odpowiedziała zapytana — „moja miłościwa pani, królowa posłała po nią! Ale, panie rycerzu, jak mogłeś tak mocno zasnąć? Kilka razy budziłam cię, aby Agrypina mogła jeszcze jakiś czas z tobą porozmawiać, ale wszystko nadaremnie. Jużem nawet była w obawie o życie wasze i nadśluchiwałam pilnie, czy jeszcze oddychacie, sen bowiem taki mocny podobny był do śmierci!“ Usłyszawszy to Andolozya, począł rozwodzić żale, iż mógł w obecności Agrypiny zasnąć i samego siebie przeklinał. Ochmistrzyni chciała go, ile możności uspokoić, rzekła więc doń: „Nie smuć się tak bardzo i nie rozpaczaj rycerzu, przecież to jeszcze nie ostatni wieczór, w którym z swoją kochanką rozmawiałeś! Pocziesz się myślą, że w krótkce znów cię zaprosi do siebie!“ „Ależ ja nigdy nie śpię tak mocno“ — przerwał jęj Andolozya — „gdy mnie kto tylko lekko trąci, budzę się natychmiast!“ Ochmistrzyni jednak przysiągała się, iż wcale dobudzić się go nie mogła, lecz uspokajała go zarazem jak naj-



delikatniejszymi wyrazami, otrzymała bowiem od niego przed wieczorem dwieście koron w podarunku. Towarzyszyła mu nadto aż do samej bramy pałacowego ogrodu.

Zachęcony uczynioném przez córkę odkryciem król, zapragnął także mieć taki woreczek i był przekonany, że Andolozya ma ich jeszcze kilka, gdyż w przeciwnym razie musiałby być chyba głupcem, aby nie starał się jedyne go a tak drogocennego skarbu lepiej ukryć. Chciał go przeto w tym względzie wybadać i w tym celu zapowiedział mu znów swe odwiedziny. Ucieszony takim zaszczytem Andolozya postanowił jeszcze wspaniałej znakomitego gościa przyjąć, niż poprzednio. Dał więc swemu burgrabiemu czterysta koron z podręcznych pieniędzy i polecił mu wszystko, co potrzeba do zbyt kownej uczyty przygotować. Burgrabia jednak zwrócił mu uwagę, iż otrzymane pieniądze nie wystarczą na to, boć przecież poprzednia uczyta kosztowała przeszło tysiąc koron. Andolozya był w złym humorze. Zniecierpliwiony rozpiął szybko garnirowany kaftan i wydobyl mniemany woreczek szczęścia, aby zeń pięćset koron nalegajacemu słudze wypłacić. Sięgnął doń ręką według zwyczaju.... i nagle oblicze jego pokryło się śmiertelną bledością. W woreczku nie było nic! Chwytał się dłonią za czoło, spojrzął ku niebu, potem powiódł obłąkanym wzrokiem po wszystkich ścia-

nach pokoju i okrzyk trwogi i boleści wyrwał się z jego piersi. Drżącemi rękami począł miąć i wywracać woreczek na wszystkie strony, nie w nim jednak nie znalazł. Teraz dopiero począł mu się wyjaśniać ów niewytłumaczony sen u królowej i zręcznie użyty podstęp. W trwodze i niepokoju wspomniął sobie na słowa ojca, który zaklinał ich i prosił na łożu śmiertelném, ażeby przez całe swe życie tajemnicy woreczka nikomu nie zdradzili. Ale teraz było już za późno — wszystkie jego marzenia i nadzieje rozwiały się jak sen lat młodzieńczych.

W obec takiego położenia Andolozya nie namyślał się długo. Prędko ocknął się z niemego żalu, który nim owładnął, kazał przywołać do siebie całą swą służbę i w te odezwał się słowa: „Oto dobiega już lat dziesięć, jak jestem waszym panem! Przez cały ten czas obchodziłem się z wami uprzejmie i po ludzku, nikt nie mógł się w niczém na mnie poskarżyć, nikomu nie zbywało w mej służbie na niczém. Żadnemu też z was nie jestem nic winien, płaciłem wam bowiem zawsze z góry. Byłem też z was zupełnie zadowolony; nadszedł dziś jednak czas, iż nie mogę już trzymać uadal dworu, jak to dotąd czyniłem! Uwalniam was przeto od przysięgi wierności, którą złożyliście mi, wchodząc w mą służbę i od wszelkich względem mnie obowiązków; każdy może iść, gdzie chce i czynić, co mu się podoba. Ja

dłużej w tém mieście pozostać nie mogę, gdyż nie mam nic majątku; a wszystkich pieniędzy pozostało mi dzisiaj sto sześćdziesiąt koron; z tych każdemu z was daję po dwie — oprócz tego każdy może sobie swego konia i zbroję zatrzymać!“ Słudzy zdziwili się i przełękli bardzo tą mową swego pana, jeden spoglądał znacząco na drugiego i nie mogli pojąć, jakim sposobem cała świetność Andolozyi tak nagle zniknąć mogła. Jeden z nich zaś rzekł: „Kochany i miłościwy panie! Domyślamy się, iż ktoś musiał uczynić ci jakąś ogromną a niepowetowaną krzywdę. Wskaż nam przeto tego człowieka, a przysięgamy ci, iż pomścimy się na nim, choćby to był sam król i choćby to życie nasze kosztować miało!“ „Nie — do tego nie dopuszczę“ — rzekł Andolozya — „niech z mojej przyczyny nie będzie rozlewu krwi!“ „W takim razie“ — odparli dworzanie — „nie odejdziemy od ciebie, ale raczej sprzedamy nasze konie i zbroje i wszystko, co mamy, aby ci dopomódz, i pójdziemy, gdziekolwiek się udasz.“ „Dziękuję wam serdecznie za wasze szczere chęci, moi kochani“ — odparł Andolozya — „ale nie mogę żadnej z nich przyjąć! Jeżeli jeszcze kiedy zmienne szczęście zwróci się do mnie, wynagrodzę was stokrotnie! Tymczasem uczynicie, jak wam powiedziałem, a przede wszystkim osiodłajcie mi konia do drógi — ale zabraniam wam stanowczo, ażeby żaden z was

za mną jechać się nie poważyl!“ Słudzy zasmucili się bardzo na te słowa, żal im bowiem było dobrego pana, który tak względnie i łaskawie się z nimi obchodził. Przyrowadzono mu tedy żadanego konia, na którego wsiadłszy, pożegnał uprzejmie swych dworzan i zwrócił najkrótszą drogą w kierunku miasta Tamagusta, do swego brata Ampeda.

---

Po wielu przygodach, trudach i niewygodach przybył nareszcie Andolozya do pięknego pałacu w Tamaguście, dokąd go natychmiast wpuszczono. Ampedo dowiedziawszy się o powrocie swego brata, ucieszył się bardzo; mniemał, iż nadszedł teraz czas w którym woreczek szczęścia jemu się wreszcie dostanie i nie będzie potrzebował tak oszczędnie nadal żyć i starać się o jutro, jak to przez dziesięć lat czynił. Wyszedł więc naprzeciw Andolozyemu i przyjął go jak najserdeczniej. Zobaczywszy jednak, iż żadnej z sobą nie prowadzi drużyny, zmieszał się nieco i zapytał brata, gdzie zostawił wszystkich swych służących i cały liczny dwór? „Ach“ — odpowiedział zapytany — „uwolniłem ich wszystkich z mych usług i Bogu chwała, żem sam potrafił jeszcze dowlec się tutaj!“ Ampedo przestraszył się tą mową brata i prosił go, aby mu wszystkie swe przygody opowiedział, ale Andolozya był tak zmęczony i wyczerpany długą podróżą, iż nie był w stanie zacząć dłuższego

opowiadania, przedewszystkiem zażądał posiłku. Podano mu go natychmiast, a gdy posilił się nieco, udał się z bratem do osobnego pokoju, aby opowiedzieć mu, co mu się wydarzyło. Patrzył też czas niejaki smutnym wzrokiem w oczy Ampeda, a potem, rzuciwszy mu się w objęcia, zawołał: „Ach, kochany bracie — przebacz mi, iż ci muszę smutną wiadomość zwiastować! Oto w podróży mój przytrafiło mi się wielkie nieszczęście — straciłem drogocenny woreczek szczęścia! Ach, Boże! jakżeż mi żal teraz mój lekko-myślności, ale próżne i niewczesne żale nic nie pomogą. Niestety! teraz już za późno!“

Usłyszawszy tę przykrą wiadomość, zasmucił się i przestraszył Ampedo i z wyrzutem zapytał się brata, czy mu woreczek ów przemocą wy-darto, czy go też nieuważnie zgubił? „Ja przestąpiłem przykazanie, które nam dał umierający ojciec“ — odparł Andolozya; tajemnicę woreczka wyjawilem kochanej dziewczycy i zabrała mi ukradkiem, zanim mogłem się spostrzedz!“ „Ach, nie trzebaż nam było dotrzymać przyrzeczenia danego ojcu“ — zawołał smutnie Ampedo — „i obydwóch klejnotów nigdy nie rozdzielać! Ty jednak chciałeś koniecznie zwiedzić obce kraje i oto patrz, co się stało z twojej przyczyny! Straciłeś rzecz drogocenną, której niczem okupić nie można!“ Teraz począł i Andolozya załamywać ręce i wyrzekać na samego siebie: „Ach,



teraz już i żyć nie mam po co na świecie!“ — wołał z westchnieniem. Widząc taką szczerą boleść brata, Ampedo który miał dobre serce, starał się go pocieszyć i mówił: „Ależ kochany bracie, nie bierz sobie tego tak bardzo do serca i daj się pocieszyć! Mamy przecież jeszcze dwa wory pełne dukatów, a zresztą, co najważniejsza cudowny kapelusz jest jeszcze w naszym posiadaniu. Gdyby więc nam zabrakło pieniędzy, pošlemy go sułtanowi, a da nam zań według przyrzeczenia zawsze jeszcze ogromne bogactwa, tak iż nam do końca życia na niczem zbywać nie będzie! Dla tego bracie bądź weselszej myśli i wybij sobie wreszcie nieszczęsny woreczek z głowy!“ „Trudno się to jednak oswoić z myślą“ — odrzekł Andolozya — „iż taki nieoceniony skarb utraciliśmy na zawsze! Co zaś do twojej propozycyi o zwróceniu cudownego kapelusza sułtanowi, to nigdy na nią nie przystanę! Daj mi go raczej na jakiś czas, a może z pomocą niego i woreczek jeszcze w moje ręce się dostanie!“ Ampedo jednak nie chciał przystać na to i rzekł: „Przysłowie powiada, że kto utraci mienie, ten traci i rozum. Widzę to dziś na tobie bracie, bo co dopiero pozbawiłeś nas jednego skarbu, już chcesz lekkomyślnie stracić drugi! Nie, na to nigdy się nie zgodzę, co najwięcej pozwolę ci go tylko do chwilowej przyjemności używać!“ „Dobrze, kiedy tak“ — pomyślał w duchu Andolozya —



„ja sobie w tym wypadku inaczej potrafię poradzić!“ Do brata zaś rzekł: „Zgadzam się zupełnie z twą wolą i chcę to wszystko złe, com kiedykolwiek uczynił, tem posłuszeństwem obecnie wynagrodzić!“

Zaraz na drugi dzień wysłał sługi swego brata do lasu, aby zarządzili wielkie polowanie; sam obiecał w krótkce przybyć za nimi. Jakoż w niespełna godzinę, rzekł do Ampeda: „Daj mi teraz na chwilę cudownego kapelusza, pogonię do lasu za myśliwemi!“ Ampedo zgodził się na to chętnie i przyniósł go natychmiast, ale za ledwie Andolozya wdział go na głowę, zapomniał zupełnie o polowaniu, ale życzył sobie być w tej chwili w Genui, co się też rzeczywiście stało. Tu rozpytał się o najświetniejszych i najbogatszych jubilerów, którym polecił przynieść do swego mieszkania najdroższe i najcenniejsze klejnoty na okaz, albowiem zamierza je kupić. Przyniesiono mu ich rzeczywiście ogromną ilość, a Andolozya oglądając je, długo targował się o ich cenę, a wreszcie związał je w chustkę, jak gdyby chciał ich wagę oznaczyć, ale w tejże chwili wdział cudowny kapelusz na głowę i znikł niepostrzeżenie, nic nie zapłaciwszy. „Zapłacę im należytość do ostatniego grosza“ — myślał sobie — „gdy tylko woreczek stanie się moją własnością!“ Tak samo ak w Genui, uczynił i we Florencyi i w Wenecyi, a stawszy się tym sposobem panem drogocennych

klejnotów trzech bogatych miast, bez użycia pieniędzy, stanął w Londynie, stolicy Anglii.

Andolozya wiedział dobrze, którą drogą księżniczka Agrypina codziennie wychodziła z zamku do kościoła. Na drodze téj przeto obstalował sobie obszerny kram, w którym rozłożył wszystkie swe klejnoty a sam zasiadł za stołem i ażeby go nie poznano, przyprawił sobie sztuczny nos, który całkiem zmienił jego fizyognomię. Nie trwało długo, gdy ukazał się z dala orszak księżniczki, złożony z dostojnych dam i dorodnych młodzieńców dworu. W samym środku orszaku postępowała Agrypina, a obok niej znana nam ochmistrzyni, która usypiający napój niegdyś Andolozyemu podała. Andolozya poznał natychmiast wszystkich, jego zaś osoby w nieznanym jubilerze ani się domyślano. Gdy Agrypina przeszła, wziął Andolozya dwa piękne złote pierścienie i ofiarował je dwom najzaufańszym damom dworu, u których często sama królowa rady zasięgała. Prosił je przytém, aby go przedstawiono królownie, której na żądanie może przynieść i pokazać najcenniejsze klejnoty, jakie posiada, a jakich pewnie dotąd nie widziała. Damy przyrzekły mu to i rzeczywiście zaraz za powrotem Agrypiny do zamku pokazywały jej swe podarunki i oznajmiły zarazem, że nowy jubiler z pod kościoła, który im takowe ofiarował, ma olbrzymi wybór rozmaitych kosztowności i królownie oka-

zać je gotów! „Spodziewam się, że wielki musi mieć zapas“ — odparła Agrypina — „kiedy mógł takie piękne i drogie pierścienie ofiarować wam za darmo. Przyzwijcie go więc tutaj, pragnęłabym bardzo jego skarby zobaczyć!“

Przyzwany stawił się natychmiast i wszystkie swe bogactwa rozłożył w pokoju Agrypiny na stole. Oczy królowny chciwie spoglądały na te skarby, podobały się jój wszystkie, zaczęła więc co najpiękniejsze wybierać i pytać się o ich cenę. Cena ta była jednakże nadzwyczajnie wygórowaną, niektóre bowiem klejnoty były w wartości tysiąca koron i więcej jeszcze. Królowna ofiarowała też za nie właścicielowi mniej niż połowę żądanej sumy. „Miłościwa księżniczko“ — odparł mniemany jubiler na to — „słyszałem, iż Ty jesteś właśnie najbogatszą córą królewską na całej ziemi i dla tego z takim trudem zebrane najpiękniejsze klejnoty, jakie kiedykolwiek istnieć mogły przyniosłem przed Twe oblicze. Jednak ofiarowana mi przez Ciebie kwota jest bezwarunkowo za małą, mnie samego więcej kosztują, nie licząc już trudu, jaki poniosłem w wyszukaniu tychże i niebezpieczeństwa życia, w którym żyłem ciągle z obawy, aby mnie dla wielkich bogactw nie zamordowano. Przeto wybierz sobie miłościwa księżniczko, co najpiękniejsze, a spodziewam się, że wnet się zgodzimy!“ Królowna wybrała też najpiękniejszych sztuk dziesięć, których cena ra-

zem wynosiła pięć tysięcy koron. Tyle wyda-  
wało się za wiele. Ale Andolozya myślał sobie  
w duchu: „Trzeba będzie spuścić z tonu i nie  
targować się tak długo! Wszakże mi na pie-  
niądzach nie zależy wcale, ale na tym woreczku,  
który chciałbym jak najprędzej w jej zobaczyć  
rękach!“ Przyszło więc wnet do zgody względem  
kupna klejnotów za cztery tysiące koron.

Królewna wzięła wybrane przedmioty i od-  
dała się z nimi do drugiego pokoju, gdzie otwo-  
rzyła tajemną skrytkę w komodzie i wyjęła z niej  
znany nam woreczek. Trzymając w ręce ten  
drogocenny skarb, stanęła znów przed mniema-  
nym jubilerem, aby mu żadaną sumę wypłacić.  
Andolozya postanowił skorzystać z téj chwili  
i plan swój dotychczas tkwiący w myśli, w czyn  
zamienić! Gdy więc tylko Agrypina blisko niego  
stanęła i pieniądze poczęła wyliczać, objął ją  
zuchwały jubiler silném ramieniem, przycisnął do  
siebie, nagłym ruchem prawej ręki wdział sobie  
cudowny kapelusz na głowę i życzył sobie w téj  
chwili wraz z królewną znajdować się na dzikiej  
pustyni, gdzie nie ma żadnej ludzkiej osady.

Zaledwie wypowiedział to życzenie, natych-  
miast stało się mu zadosyć. Wraz z Agrypiną  
uczuł się niesionym jakoby na skrzydłach przez  
powietrze i w krótkce znalazł się na ubogiej bez-  
ludnej wysepce przy hibernyjskiém wybrzeżu, pod  
jabłonią, pełną ślicznych, dojrzałych owoców.

Królewna przestraszyła się tém zdarzeniem i gwałtownie płakać poczęła; trzymała jeszcze na fałdach sukni tak drogo kupione klejnoty i woreczek z tajemną własnością, ale to ją nie zajmowało wcale. „Ach, Boże“ — zawołała zwracając się ku Andolozyemu, którego dotąd za zwykłego jubilera uważała — „powiedz mi, gdzie się znajdujemy i jakim tu dostaliśmy się sposobem? Jestem bardzo słaba i zmęczona; podaj mi jedno jabłko z tego drzewa, abym się choć nieco ze znużenia orzeźwić mogła!“ Andolozya wysypał więc wszystkie klejnoty, które jeszcze miał przy sobie, na suknię siedzącej pod drzewem Agrypiny, wdział jej nawet cudowny kapelusz na głowę, aby mu podczas wspinania się nie zawadzał i począł wchodzić na jabłoń, celem zerwania kilku owoców. Chcąc wyszukać jak najpiękniejsze, wspinał się coraz wyżej i wyżej — Agrypina tymczasem siedząc pod drzewem, próbowała się zorientować, gdzie się znajduje i wzdychała ciężko. „Ach, Boże!“ — zawołała z płaczem — „gdybym mogła teraz być napowrót w mojej sypialnej komnacie w Londynie!“ I rzeczywiście skutkiem cudownego kapelusza, który dotąd miała na głowie, a o którego tajemnej władzy nic nie wiedziała, przeleciała lotem błyskawicy przez powietrze i jak sobie tego życzyła znalazła się w swjej sypialni w królewskim pałacu. Król, królowa i wszyscy dworzanie, którzy jej właśnie z trwogą szukali, ucie-



szyli się teraz jęj powrotem niezmiernie. Wszyscy poczęli ją obsypywać tysiącami pytań, co się z nią stało, gdzie dotąd była i kędy się podział jubiler, który ją usiłował z sobą uprowadzić? Królowna nie mogła na razie zaspokoić wszystkich, sama bowiem nie wiele wiedziała, a nadto była jeszcze pod wpływem świeżego a tak nadzwyczajnego wypadku i czuła się zupełnie znużoną i wyczerpaną. Opowiadała tylko, iż niegodziwego jubilera zostawiła na drzewie, pośród jakiejś wyspy, o której położeniu sama najmniejszego nie ma wyobrażenia.

Można sobie wyobrazić boleść, rozpacz i wściekłość Andolozyego, gdy z drzewa zobaczył unoszącą się w dal niepowrotnie Agrypinę wraz z woreczkiem, kapeluszem i wszystkimi klejnotami, które z takim trudem w trzech bogatych miastach Włoch pozbierał. Miotał się też w gniewie jak szalony, przeklinał owoce, drzewo i tego, kto go zasadził, złorzeczył nawet samemu sobie, mówiąc: „Niech będzie przeklętą godzina, w której na świat przyszedłem i wszystkie dni dotychczasowego mego życia! O, złowrogo śmierci! Czemuż nie zabrałaś mnie z tój ziemi wcześniej, nim stałem się winnym tak wielkiego nieszczęścia i upadku? Nieszczęśliwy zaprawdę dzień i godzina, w której po raz pierwszy Agrypinę ujrzałem! O, Boże, gdyby tu mój brat znajdował się przy mnie w tój chwili, udusiłbym go natychmiast



i sam sobie potém życie odebrał, aby z naszą śmiercią znikła tajemna władza cudownego woreczka i ani chytra królowa ni niegodna jêj córka dłużej się nim cieszyć nie mogły!“ Pogrążywszy się w niemêj rozpacz, błdził Andolozya po nieznanêj wysepce tam i napowrót, aż ściemniło się zupełnie, że nic dokoła siebie rozpoznać nie mógł. Znużony wreszcie i osłabiony położył się na trawie pod drzewem, aby nieco wypocząć; sen jednak długo nie zstępował na jego powieki. Czarne myśli, wyrzuty przez samego siebie spowodowanego nieszczęścia, wreszcie niepokój o przyszłość dręczyły go ciągle. Podobny był do człowieka, przygotowanego na śmierć i oczekującego jêj w trwodze a nie do cieszącêj się życiem istoty.

---

Zrobił się nareszcie dzień i jasne promienie wschodzącego słońca spadły na niespokojną twarz czuwającego jeszcze Andolozyego. Powstał tedy i wolnym krokiem poszedł prosto przed siebie, żadnêj żyjącêj istoty jednak ani nie usłyszał ani nie zobaczył. Dotkliwy głód począł go tymczasem dręczyć, albowiem od dwudziestu czterech godzin nic w ustach nie miał. To też z pierwszego napotkanego drzewa strząśł kamieniem dwa dojrzałe, piękne jabłka i spożył je chciwie. Ale o cudo! w têt chwili wyrosły mu na głowie dwa ogromne rogi jelenie, przyczêm uczuł silny ból w okolicy skroni. Przestraszony usiłował rę-

kami niepotrzebne narośle poułamywać, ale to okazało się daremném. Biegł tedy jak szalony na oślep przed siebie i rogami uderzał o drzewa, aby je poutrącać, ale i to pozostało bez skutku. Począł znów narzekać, ręce łamać w rozpacz i wołał: „O, ja nieszczęśliwy, nędzny człowiek! Na własne życzenie znalazłem się na tój bezludnej wyspie, gdzie mi nikt pomódz nie może! O Boże miłosierny wspomóż mnie Ty w tём nieszczęśliwym położeniu!“

Głos narzekań rozpaczającego człowieka daleko rozchodził się po wysepce — posłyszał go też pustelnik, który już od trzydziestu lat mieszkał na tój pustyni i od czasu tego żadnego człowieka nie widział. Pospieszył też za nim coprędzej zdziwiony i znalazł płaczącego i narzekającego Andolozyę. Zapytał się go przeto: „Nieszczęśliwy człowieku, z kąd się tutaj wzięłeś i co robisz w tём dzikiem ustroniu?“ „Ach, ja sam nie wiem, jakim tutaj dostałem się sposobem“ — odparł Andolozya — „i wolałbym, abym się tu nigdy nie znajdował!“ „I lepiejby może było dla ciebie“ — odparł pustelnik — „ja tu mieszkam już przeszło lat trzydzieści, a ty jesteś pierwszym człowiekiem, którego napotykam!“ Andolozya był prawie omdlały ze znużenia; zapytał się tedy pustelnika, czy nie mógłby mu dać coś dożywienia się. Tajemniczy towarzysz zaprowadził wtedy Andolozyego do swęj w skale wykutęj sie-

dziby; nie tu jednak do jedzenia nie było, prócz owoców i czystej wody, te bowiem stanowiły wyłączny napój i pożywienie pustelnika. Andolozya spodziewał się znaleźć chleb lub wino, aby się pokrzepić — ale zawiódł się, nie było tu dlań stosownego napoju ani potrawy. Widząc to pustelnik, rzekł do Andolozyego: „U mnie, wiedziałem dobrze, że nie znajdziesz tego, czego szukasz, ale gdy chcesz, zaprowadzę cię na takie miejsce, gdzie dostaniesz stosownego jadła i napoju!“ „Ale bracie drogi“ — zawołał Andolozya — „cóż ja pocznę z rogami na głowie, które mi tu nie wiem, jakim sposobem wyrosły? Toż ludzie, gdy się między nich pokażę, uważać mnie będą za jakiegoś dziwoląga a niepodobną im istotę!“ Zamiast odpowiedzi zaprowadził pustelnik Andolozyego kilka kroków dalej i tu z innego znów drzewa zerwał dwa jabłka a dając mu je, rzekł: „Zjedz to!“ Andolozya uczynił zadość żądaniu starca i w tejże chwili rogi znikły mu z głowy. Zdziwił się tём bardzo i zapytał przeto pustelnika: „Powiedz mi kochany bracie, jakim to stało się sposobem, że jak prędko rogi na głowie mi wyrosły, równie prędko z niej znikły?“ „Stwórca, który stworzył niebo i ziemię“ — odparł starzec — „i wszystko, co się na niej znajduje — uczynił i te drzewa, których owocom nadał tę moc cudowną, że jedne spowodują wyrost rogów, drugie ich zniknięcie. Takie owoce

znachodzą się tylko na tej pustyni i równych im na całej kuli ziemskiej nie znajdziesz!“ Usłyszawszy to Andolozya, któremu nagle jakaś nowa myśl zaświtała w głowie, prosił pustelnika, aby mu pozwolił zerwać i zabrać z sobą kilka obydwóch gatunków owoców, na co tenże odrzekł spokojnie: „Weź, kochany synu — ile ci się podoba, a nie pytaj się o moje pozwolenie, nie są bowiem moją własnością! Ja nie posiadam nic oprócz duszy i gdy tę przyniosę kiedyś Stwórcy, od którego ją otrzymałem czystą i nieskalaną, będę mógł powiedzieć, że nie żył daremnie i dobrze przeszedłem przez życie. Na tobie zaś bracie zauważyłem, iż zanadto przywiązałeś się do znikomości ziemskiej i nimi ustawicznie myśl twoja zajęta. Nawróć się tedy, radzę ci, póki czas, do Boga, abys mógł sobie zapewnić wieczne, nieśmiertelne szczęście, zamiast chwilowych złudzeń i rozkoszy tego świata!“

Te poważne słowa pobożnego pustelnika nie trafiły jednak do przekonania Andolozyi. On na myśli miał tylko swą szkodę i szukał sposobu, jakby ją mógł powetować. Tą myślą przejęty zerwał wiele jabłek, które sprawiały wyrost rogów a i kilka, ale daleko mniej o przeciwnym skutku. Potem zwrócił się znów do pustelnika i prosił go, aby mu według przyrzeczenia wskazał drogę go najbliższej osady ludzkiej. Pustelnik zaprowadził go na niedaleki wzgórek, z kądem

wskazał mu wązką dróżynę wijącą się wzdłuż rzeczki pod skałami i rzekł: „Idź tą ścieżką ciągle naprzód a wkrótce przybędziesz do wsi, kędy dostaniesz jadła i napoju!” Andalozya podziękował starcowi z całego serca za bezinteresowną pomoc, pożegnał go uprzejmie i poszedł wskazaną drogą. Po krótkim czasie stanął w obszernej gospodzie. Tu zażądał pokarmu i napoju a uspokoiwszy swój głód i przyszedłszy napowrót do sił, zapytał się o drogę do Londynu. Objasniono go tedy, że znajduje się jeszcze na odległym krańcu Irlandyi i chcąc dostać się do Londynu, potrzebuje wpieryw udać się do Szkocyi a dopiero po przebyciu tego kraju zwróci się na południe ku Londynowi, idąc wciąż drogą lądową. W każdym razie wielka jeszcze droga stoi przed nim.

Andalozya zasmucił się wiadomością, że tak daleko jeszcze do Londynu, będzie musiał przeto wędrować przynajmniej z miesiąc aż na miejsce, obawiał się bowiem, aby podczas tak długiej podróży, jego jabłka nie uległy zepsuciu. Wielu z ludzi będących w gospodzie zauważyło zaraz, że musi mu bardzo zależeć na rychłym przybyciu do Londynu, przeto wskazano mu w pobliżu wielkie miasto portowe, kędy mógł znaleźć łatwo okręt z Londynu; zawijały tam bowiem statki z wszystkich główniejszych miast Anglii, Szkocyi i Irlandyi. Andalozya pospieszył więc do portu



natychmiast; znalazł tu rzeczywiście, jak mu mówiono, okręt, który właśnie tego samego dnia do Londynu odpływał, zgodził na nim miejsce i po niedługim czasie stanął szczęśliwie u kresu żeglugi. Pierwszą czynnością jego w Londynie było, przemienić przedewszystkiém swą powierzchowność. Kazał więc sobie zalepić i zawiązać jedno oko, przyprawić obce, jasnego koloru włosy i tym sposobem zmienił się nie do poznania. Zrobiwszy, co uznał za najważniejsze i najpotrzebniejsze, urządził sobie znowu kram na tej samej co ongi drodze wiodącej z zamku królewskiego do kościoła i na nakrytym białym obrusem stole rozłożył jabłka o tajemniczej własności. Przymiętym wywoływał ustawicznie zachęcającym głosem: „Kupujcie jabłka z Damaszku, kupujcie.“ A gdy się go o ich cenę pytano, mówił: „po trzy korony za jedno!“ Wtedy każdy przechodzień wrzasał tylko ramionami i odchodząc, nie kupiwszy, z czego sam kupiec, nawiasem mówiąc, wielce był zadowolony, dla kogo innego bowiem przeznaczony był ten zdradziecki towar. Nadszedł wreszcie tą samą drogą orszak księżniczki Agrypiny. Piękna królowna szła w pośrodku bogato przystrojonych dam dworu a zobaczywszy obcego kupca sprzedającego jabłka z Damaszku, spytała się, ile kosztuje jedno. „Trzy korony“ — odparł jak zwykle mniemany kupiec. „Ach“ — zawołała zdziwiona królowna —



„cóż one za własność mają, iż je tak drogo sprzedajesz?“ „One dają człowiekowi piękność i wdzięk niewysłowiony“ — odparł kupiec — „rozjaśniają jego umysł i potęgują rozum!“ Usłyszawszy to piękna córka królewska, poleciła ochmistrzyni dworu kupić dwa jabłka — Andolozya zaś natychmiast po jej odejściu zwinął kram, albowiem nikt więcej tak drogich owoców kupować nie chciał.

Księżniczka zaledwie przybyła do domu, natychmiast zjadła tak bardzo przez kupca zachwalane damasceńskie jabłka. Ale w tejże chwili uczuła silny ból głowy, iż musiała położyć się do łóżka a gdy po niejakejś chwili podniosła się i stanęła przed lustrem, ku swemu przestachowi i zdziwieniu zobaczyła po nad czołem dwa wielkie rogi jak gdyby jelenie. W pierwszej chwili myślała, że to złudzenie i nawet oczom swoim nie chciała dać wiary, ale gdy dotknęła rogów rękami i przekonała się niezbitie o ich istnieniu, okrzyk rozpaczony wyrwał się z jej piersi i upadła jak zemdlona na fotel. Gwałtownym ruchem obydwóch rąk próbowała wyrwać lub połamać niepotrzebne a haniebne narośla, wszelkie jednak wysilenia nic nie pomagały. Przywołane dwie damy dworu, zobaczywszy swą panią w takim niewytłómaczonym położeniu, chciały zrazu uciekać i żegnały się jakby przed ukazaniem się złego ducha; królewna zaś z wielkiego wzrusze-

nia ani słowa przemówić nie mogła. „Ach, cóż się to najmiłościwszej pani stało“ — zawołały z przerażeniem obie damy — „jakimże sposobem te rogi na jej ślicznej głowie wyrosnąć mogły?“ Królowna jednak sama nie wiedziała, co było tego przyczyną; oprócz narzekañ i westchnieñ nic od niej usłyszeć nie było można. „Chyba to już taka kara Boża na mnie za jakieś ciężkie przewinienie“ — wołała w rozpacz — „albo może stało się to skutkiem tych zaczarowanych jabłek damasceńskich, które dzisiaj pod kościołem kupiłam? Ach poradźcie mi, pomóżcie mi moje kochane uwolnić mnie od tej brzydoty!“ Obydwie dziewice uchwyciły za rogi i ciągnęły z całej siły, aby je wyrwać; Agrypina zносиła wszystko cierpliwie, ale i te usiłowania pozostały bez skutku. Niewysłowna rozpacz malowała się teraz na obliczu księżniczki. „O, nieszczęśliwa ja i nędzna istota na świecie!“ — wołała — „i cóż mi z tego, że jestem córką królewską i najbogatszą dziewczyną na ziemi i piękniejszą nad inne, gdy za cenę tych wszystkich własności nie mogę się pozbyć obrzydliwych rogów, które mnie czynią podobną do bezrozumnego zwierzęcia! O, bodajem się była nie rodziła! Jeżeli mi nikt w mém nieszczęściu nie będzie mógł pomódz, to zaprawdę, sama utopię się w Tamizie. Lepsza śmierć, niż takie ohydne życie!“ Otaczające ją damy dworu starały się ją o ile możności pocie-

szyc i ból jej wewnętrzny złagodzić. „Miłościwa pani“ — rzekła przeto jedna z nich — „nie złorzecz tak swemu losowi, bo może on się jeszcze odmieni! Jeżeli rogi potrafiły wyrósć, to musi być niezawodnie sposób, aby się ich pozbyć! Nie rozpaczaj tedy tak bardzo, ale raczej pošlij po jakiego uczonego lekarza, a może będzie wiedział, jak temu zaradzić, może znajdzie środek na pozbycie się tych rogów!“

Ta mowa podobała się księżniczce; postanowiła więc według danej sobie rady postąpić. „Nie mówcie tylko nic o tém, co się stało“ — rzekła do otaczających ją dziewic — „zachowajcie wszystko w jak najściślejszj tajemnicy! Nie wpuszczajcie również nikogo do mnie, z wyjątkiem starj sługi; dla wszystkich innych jestem chorą!“ Ochmistrzynię dworu wysłała zaś do miasta, celem wyszukania jakiego zdolnego doktora, „jednak“ — dodała — „nie mów mu nic o mnie, ale nawiasowo wspomnij, że tylko jednj z przyjaciółek księżniczki wyrosły jakimś cudem rogi na głowie; czy więc nie zna sposobu na zniszczenie tychże?“ Ochmistrzyni uczyniła za- dość danemu jej poleceniu, ale bezskutecznie; wszyscy doktorzy, do których tylko się udała, słuchali z niezmiernj zadziwieniem opowiadania, ale żaden z nich nie znał skutecznego środka. Kaźden z nich oświadczał gotowość pójść na miejsce wypadku, aby go na własne oczy oglądać.

nigdy bowiem nie podobnego nie widzieli, ani nie słyszeli, ale ochmistrzyni rzekła, że tylko temu otworzy wstęp do chorój, który przyrzeknie, że rogi zgubić potrafi, a nadto pewnym być może hojnej nagrody. Otrzymawszy wszędzie odmowną odpowiedź, w złym humorze powracała ochmistrzyni do pałacu.

W pobliżu kościoła, kędy królewna kupowała jabłka, napotkał powracającą Andolozya, który tymczasem przebrał się za doktora, t. j. wdział na siebie togę purpurową i takiejże barwy biret, a nadto przyprawił sobie długi nos, aby go nie poznano. „Łaskawa pani“ — rzekł tedy zastępując ochmistrzyni drogę — „zdaje mi się, że szukasz lekarza, gdyż widziałem cię wychodzącą już z trzech domów doktorów znanych w mieście. Powiedz mi tedy, jaką masz względem nich sprawę, lub co ci dolega, albowiem i ja jestem doktorem medycyny i mogę ręczyć, że nie ma takiej słabości, którejbym z pomocą Bożą nie zaradził!“ Ochmistrzyni ucieszyła się niezmiernie tym niespodziewanym doktorem, którego jak gdyby jęj umyślnie przed samym pałacem niebo zesłało — opowiedziała mu tedy, iż jednej z osób dworu wydarzyło się wielkie a dziwne nieszczęście, albowiem wyrosły jęj na głowie dwa jakoby jelenie rogi. „Jeżeli szanowny doktorze“ — rzekła — „potrafisz usunąć te rogi, to możesz być pewnym wielkiego wynagrodzenia, albowiem osoba ta ma

pieniędzy i bogactw pod dostatkiem!“ Doktor uśmiechnął się tylko żartobliwie na to opowiadanie i rzekł: „Rzecz tę znam dokładnie i znam sztukę zniszczenia nagle wyrosniętych rogów, ale pieniędzy będzie wiele kosztować; wiem nawet przyczynę, dla jakiej takie narodziła niekiedy na głowach ludzkich się pojawiają!“ „Ach, powiedz mi tę przyczynę doktorze!“ — zawołała ciekawie ochmistrzyni. „Jest wiele złych ludzi na świecie“ — odparł na to doktor — „tych tedy za niegodziwe postęпки na każdym kroku prześladowe niewidzialna ręka sprawiedliwości. Owe rogi jest to właśnie jeden z tych wielu wypadków. Gdy kto dopuści się względem jakiej innej osoby zdrady i sprzeniewierzenia, oszuka ją, aby sobie tćm samćm sprawić przyjemność, której przecie publicznie i zewnętrznie okazać nie może — wówczas wyrastają mu rogi na głowie. I to jest nawet dobrą oznaką, bo gdyby nie ukazały się na głowie, wówczas człowiek ten musiałby umrzeć; rogi bowiem zwróciłyby się na wewnętrzn i prze-szyły mu serce. Niedawno, bo zaledwie przed dwoma laty taki sam wypadek wydarzył się na dworze hiszpańskiego króla, pewnej pięknej córce znakomitego rycerza i dostojnika dworu. Aczkolwiek dziewica ta była nadzwyczaj wåtłego zdrowia, przecieź udało mi się zupełnie, rogi jej zgubić bez śladu!“ — Usłyszawszy to ochmistrzyni, uradowała się wielce i zapytała doktora, gdzie

mieszka, aby go mogła odszukać. „Nie mam jeszcze stałego mieszkania“ — odpowiedział ów — „bo dopiero trzy dni bawię w mieście; mieszkam tymczasowo w gospodzie pod łabędziem, tam mnie więc łatwo znajdziecie. Należy się tylko zapytać o doktora z długim nosem, tak mnie bowiem powszechnie nazywają, chociaż mam inne nazwisko!“

Z niewypowiedzianą radością pospieszyła teraz ochmistrzyni do pałacu. „Miłościwa Pani!“ zawołała wchodząc — „bądź jak najlepszej myśli; sprawa twoja w krótkce się polepszy!“ Potem opowiedziała jej wszystko szczegółowo, jak trzech najświetniejszych londyńskich lekarzy odprawiło ją z niczém, a wreszcie przypadkowo tylko spotkała lekarza, który ją zupełnie uspokoił. Opowiedziała również wszystko, co słyszała od nieznanego doktora i że tenże już raz z takiego samego niebezpieczeństwa pewną hiszpańską hrabinę wybawił! „Powiedział mi również“ — dodała — „z jakiej przyczyny takie rogi wyrastają na głowie — i mam powody wierzyć mu, że mówił szczerą prawdę!“

Oblicze smutnej dotąd królowny leżącej na łożu, rozjaśniło się cokolwiek. „Czemuś zaraz z sobą nie przyprowadziła tego doktora?“ — rzekła do ochmistrzyni — „wiesz przecie, że im dłużej mam rogi na głowie, tém dłużej cierpię i chciałabym się ich pozbyć jak najprędzej! Idź



przeto zaraz po niego i przyprowadź go tutaj! Nie zapomnij mu również powiedzieć, aby zabrał ze sobą wszystko, co mu do operacyi będzie potrzebne i ofiaruj mu te sto koron na pierwsze wydatki, a gdyby więcej żądał, daj mu, ile zechce; w takim wypadku o oszczędzaniu kosztów nie może być nawet mowy!“ Ochmistrzyni uczyniła, co jej polecono. Udała się czémprędzej do wskazanej sobie przez doktora gospody, a odnalazłszy go, rzekła: „Oto przychodzę znów po ciebie, szanowny doktorze! Zbieraj się przeto i pójdź ze mną, albowiem osobę, do której się udajemy, możesz tylko odwiedzać w nocy i całą swą czynność zachować przed wszystkimi w zupełnej tajemnicy, nikt bowiem dotąd o tém nie wie, ani nawet rodzice chorój!“ „O mojem milczeniu możesz być jak najzupełniej przekonana“ — odparł na to doktor — „nikomu ani słówka nie powiem! Tymczasem muszę iść do apteki, aby kupić potrzebnych do operacyi rzeczy, a pani zechce albo tutaj na mnie zaczekać, albo przyjść nieco później — za dwie godziny będę gotów!“ Rzekłszy to, udał się mniemany doktor do apteki; tu rozkroił jabłko o znanęj nam własności na dwie połowy i jedną z nich kazał obficie obsypać cukrem i obłożyć jak najrozmaitszemi korzeniami, a tak przyrządzoną schował do umyślnie na ten cel nabytęj puszdki blaszanej, którą wreszcie schował do kieszeni. Wyszędłszy z apteki, napotkał czekającą

nań na ulicy ochmistrzynię; pospieszył z nią tedy wśród nocy prosto do pałacu księżniczki.

Agrypina leżała na łóżku ze spuszczoneymi kotarami i doktor zastał ją prawie w omdlałym stanie skutkiem gwałtownego wzruszenia. Rzekł więc do niej: „Nie trać otuchy, Miłościwa Pani, bo z pomocą Bożą i mojej umiejętności, pomogę Ci w Twém nieszczęściu. Podnieś się tylko, abym mógł dobrze obejrzeć właściwe miejsce operacyi i tém skuteczniej ją wykonać.“ Agrypina pokryła się rumieńcem wstydu, gdy jej przyszło obcemu człowiekowi pokazywać na jej główce szkaradne rogi — przemogła jednak w krótcie samą siebie i podniosła się na łóżku. Na twarzy doktora nie ukazał się najmniejszy wyraz podziwu. Obejrzał starannie rogi ze wszystkich stron i rzekł: „Trzeba sporządzić odpowiedniego kształtu i długości woreczki z małpij skóry i obwiązać je potem naokoło obydwóch rogów; potem muszę je dobrze wytrzeć jaką tłustością i przez jakiś czas ciepło utrzymywać, abym mógł o dalszém leczeniu zadecydować!“ Natychmiast poleciła ochmistrzyni dworu schwytać jedną z małąp w zwierzyńcu królewskim, zabić ją, skórę ściągnąć i zrobić z niej stósownie do polecenia lekarskiego dwa woreczki o długości rogów. Doktor tymczasem wysmarował narośla rogowe tłuszczem małpim, następnie obwiązał dobrze woreczkami i rzekł: „Miłościwa Pani! to co uczyniłem teraz,

okaże w krótkce niechybny skutek w sprawie zgładzenia rogów; aby jednak tenże prędzej nastąpił musisz jeszcze użyć pewnego wewnątrznie działającego środka, który właśnie z sobą przyniosłem! Musisz go zatem spożyć, a potem na chwilę zasnąć!“ Mówiąc to, podał jęj ową połowę jabłka o własności niszczenia rogów, pokrytą różnemi przyprawami z ziół lekarskich, które sprowadzały pewne znużenie na całe ciało i pokrzepiający po niēm sen. Agrypina zjadła podane sobie lekarstwo z jak największēm posłuszeństwem i napowrót położyła się do łóżka. Doktor zaś rzekł: „No, popatrzmy teraz, czy już okazał się skutek leków!“ I dotknął się jedną ręką przez woreczki końca rogów, które rzeczywiście o jedną czwartą część się zmniejszyły. Agrypinie nieprzyjemną była każda najmniejsza wzmianka o rogach, nie chciała nic o nich słyszeć — tym razem jednak, gdy jęj powiedziano, że rogi zmniejszyły się nieco, nie mogła powstrzymać się od dotknięcia tychże, by się o pomyślnym skutku namacalnie przekonać. Ucieszyła się też niezmiernie i usilnie prosiła doktora o możliwe przyspieszenie ostatecznego rezultatu. „Jeszcze dzisiaj w nocy tu będę“ — odpowiedział tenże — „i przyniosę, co mi do dalszego postępowania będzie potrzebne!“ Rzekłszy to, pożegnał królowę skinieniem głowy i odszedł. Przedewszystkiēm udał się znów do apteki, gdzie drugą połowę tajemniczego jabłka kazał znów

obsypać innemi lekarskiemi mieszaninami, aby jęj tēm samém inny zapach i smak nadać, a z wierzchu grubo powlec sproszkowanym cynamonem. Z tak przyrządzoném lekarstwem udał się znów w nocy do księżniczki; znowu jęj rogi wycierał tłuszczem i okrył skróconymi już teraz, w miarę wielkości rogów, woreczkami, poczem podał jęj połowę cudownego jabłka do spożycia. Po dokonanej operacyi, księżniczka zasnęła znowu, a gdy po niejakiś czasie przebudziła się, rogi znów znikły o dość spory kawałek i sterczały tylko do połowy pierwotnej swęj wielkości. Księżniczka ucieszyła się takim stanem rzeczy jeszcze więcej, widziała się bowiem na właściwej drodze do zupełnego uwolnienia od niepotrzebnych narośli — i prosiła bardzo doktora, aby w swęj czynności nie ustawał, a wynagrodzi go hojnie. Doktor zapewnił ją o swęj pieczy i dobrym skutku leczenia i jak czynił przez dwie ubiegłe noce, tak samo postąpił i przez następną trzecią.

Agrypina spała, a doktor siedział obok jęj łóżka. Patrzył na nią wzrokiem zimnym, poważnym i żadna płocha myśl ani na chwilę nie zagościła w jego umyśle. Lekka tylko zasłona okrywała ciało śpiącęj; dość było tylko wyciągnąć rękę, tylko jednego ruchu trzeba było, aby je odkryć i przynajmniej zmysł wzroku napawać widokiem cudnych jak z alabastru wykutych

kształtów dziewicy. Ale wzrok jest pierwszym czynnikiem świadomości naszej i tylko jeden krok dzieli go od złowrogich następstw żądz, którym się oprzeć niepodobna, a które często stają się powodem hańby i upadku. Nasz doktor wiedział doskonale o tém i dla tego starał się całą siłą swej woli, swe namiętności pokonać i nie drgnął nawet, choć siedział tak blisko niej i nawet jedną ręką dotykał się ruchomego oddechem pączka piersi Agrypiny. Zresztą inna ważniejsza myśl przywiodła go w to miejsce i nią był ustawicznie zajęty, a wspomnienie ubiegłej chwili, gdy na łonie tej zdradnej niewiasty używając kilka chwil przemijającej rozkoszy, stał się nieszczęśliwą ofiarą podstępnych jej knowań, odpychała go od niej z odrazą i pogardą. Postanowił tedy zemścić się na niej, a środki ku temu miał w swém ręku. „Dwa lub trzy tysiące koron byłoby dla innego doktora wielką nagrodą“ — mówił sam do siebie — „a przecież suma ta niczem nie jest w porównaniu z tém, co ona mi zabrała. Dla tego, zanim zgubię jej rogi zupełnie, muszę się z nią otwarcie i stanowczo rozmówić; jeżeli nie uczyni tego, czego od niej żądać będę, niech się nie cieszy, że uleczoną zostanie! Wtedy podam jej takie lekarstwo, że wyrosną jej napowrót pierwotnej wielkości rogi, sam zaś przeniosę się do Flandryi i ztamtąd prześlę jej propozycję, że jeżeli zechce pozbyć cechy zwierzęcej z swjej głowy,



niech przybędzie do mnie i przyniesie z sobą to, co mieć pragnę, mianowicie: cudowny kapelusz i zapewnienie, że mi co rok tyle dawać będzie, abym mógł żyć wykwintnie i dostatnio jak księżę ze swym dworem!“ Gdy takim oddawał się myślom i tworzył rozmaite z nich kombinacye, weszła do pokoju ochmistrzyni ze światłem, aby dowiedzieć się, co księżniczka robi. Agrypina spała spokojnie. Doktor na przywitanie ochmistrzyni chciał zdjąć biret z głowy, gdy tenże wypadł mu na ziemię. Schylił się, aby go podnieść i oto ku niewypowiedzianej radości zobaczył pod łóżkiem leżący swój cudowny kapelusz, który tam porzucono, nie wiedząc pewnie jaką nieocenioną posiada wartość. Księżniczka bowiem nie przypuszczała nawet, aby skutkiem osobliwej własności kapelusza, dostała się naówczas z odludnej pustyni do domu, inaczej z pewnością byłaby tak drogocenny skarb staranniej przechowała. Doktor chcąc się więc pozbyć niepotrzebnego świadka, posłał ochmistrzynię do drugiego pokoju po puszkę z lekarstwami, a sami, za ledwie drzwi się za nią zamknęły, podniósł coby prędzej kapelusz z pod łóżka i schował pod swym surdudem. „Ach, gdyby mi tak jeszcze i woreczek szczęścia dostał się w me ręce!“ — pomyślał sobie i począł znów kombinować swe czynności do osiągnięcia zamierzonego celu. Tymczasem księżniczka przebudziła się i podniosła na łóżku. Doktor zdjął ję znowu



woreczki z rogów, które tym razem były już wcale małe, czem Agrypina nie mało się ucieszyła. „Jeszcze tylko jedną noc, a pozbędziesz się ich zupełnie miłościwa pani“ — rzekła ochmistrzyni, a po cichu dodała: „a wówczas pozbędziemy się i tego szkaradnego doktora z długim nosem, który patrzącęj nań kobiecie może wszystkich mężczyzn obrzydzić!“

Nadchodziła wreszcie stanowcza chwila. Doktor mając już w posiadaniu tajemniczy kapelusz, postanowił dłużej nie zwlekać, lecz co do swęj sprawy ostatecznie z Agrypiną się rozmówić. Rzekł przeto do niej, gdy ochmistrzyni odeszła: „Miłościwa pani widzi dobrze, iż sprawa wyleczenia wzięła, jak dotąd dobry obrót. Rozchodzi się teraz tylko o to, aby nasady rogów z czaszki szczęśliwie wyprowadzić, a to jest najtrudniejsza rzecz, a przedewszystkiem wymaga wielkich kosztów. Potrzebne mi są do tego rozmaite rzeczy, których tu nabyć nie można, lecz po które zmuszony jestem albo sam do obcych pojechać krajów, albo wysłać innego wtajemniczonego w tę sprawę doktora. Powtarzam jednak jeszcze raz, iż przygotowanie wszystkich do tego potrzebnych materyałów wymaga wielkich kosztów, a również pragnąłbym wreszcie wiedzieć, jakie otrzymam wynagrodzenie za mą pracę, gdy z powierzchni Twej ślicznej główki zgładzę zupełnie nawet najmniejsze ślady istnienia tych szpetnych rogów!“

„Jestem jak najmocniej przekonaną“ — odpowiedziała na to księżniczka — „że twój sposób leczenia jest skutecznym i twa umiejętność mnie nie zawiedzie. Dla tego czyn wszystko, co tylko uznasz za stosowne, kupuj wszystko, co ci tylko będzie potrzebne za jakąkolwiek bądź cenę, a ja ci wszystko stokrotnie wynagrodzę!“ „Dobrze“ — była odpowiedź doktora — „radzisz mi i polecasz Miłociwa pani, abym na nic nie szczędził pieniędzy, ale gdy ich nie mam wcale, cóż mam począć wtedy?“ Agrypina wahała się jakiś czas z odpowiedzią, aczkolwiek była panią woreczka o niewyczerpanych skarbach; widocznie, raz już nauczona nie chciała przed nikim zdradzać tajemnicy. W końcu jednak namysliła się, co ma uczynić, podniosła się z siedzenia i powoli przeszła do komody, stojącej w drugim końcu pokoju i wysunęła z niej tajemną skrytkę, kędy przechowywała najdroższe klejnoty i cudowny woreczek szczęścia. Wzięła go tedy, a przy-mocowawszy do paska opasującego jej biodra, zwróciła się ku stolikowi, stojącemu w niszy jednego z okien i tu zaczęła wyliczać pieniądze. Doktor stojąc obok niej, był już gotów do stanowczego kroku. Gdy tedy Agrypina naliczyła już około trzystu koron, wsunął rękę pod surdut, jakoby szukając własnej sakiewki, a tymczasem wyjął cudowny kapelusz i zrzuciwszy wpród doktorski biret, wsadził go sobie na głowę —

drugą zaś ręką, którą wyciągnął niby do zgarnięcia pieniędzy, objął wpół księżniczkę i silnie ją przycisnął do siebie. Stało się to wszystko szybko, jak gdyby lotem błyskawicy, iż królowna nawet krzyknąć nie miała czasu. Teraz wypowiedział doktor życzenie znajdowania się z Agrypiną w dzikim, odludnym lesie, co stało się natychmiast mocą cudownego kapelusza.

Stara ochmistrzyni dworu zobaczywszy, iż księżniczka znikła gdzieś wraz z doktorem, doniosła zaraz o tym wypadku królowej. Ta przełękła się bardzo, w krótkce jednak pocieszyła się nadzieją, że jak pierwszy raz córka potrafiła wrócić do domu i wyrwać się z rąk uwodziciela, to i tym razem to samo potrafi. Gdy jednak cały dzień i noc następna przeszła na daremném oczekiwaniu, królowa zasmuciła się bardzo niewątpliwą stratą ukochanej córki i opowiedziała rzecz całą królowi, małżonkowi swemu. „Jakiś mądry i przebiegły to był doktor“ — odparł na to król — „daleko mądrzejszy od wszystkich innych doktorów i dla tego ręczyć mogę, że nie był nim kto inny, tylko Andolozya, którego tak niegodnie niegdyś oszukaliśmy, a który teraz za swą krzywdę pragnie się na nas zemścić. Łatwo przecież można się było domysleć, że gdy niebo dało mu niewyczerpane bogactwa, musiało mu również dać i wielką, niezwykłą mądrość. Przeznaczenie chce widocznie, aby woreczek szczęścia

tylko w jego wyłącznym był posiadaniu, bo inaczej cóżby stało na przeszkodzie, abym i ja miał podobny. Wiele jest ludzi w Anglii, a przecież ja tylko jeden jestem królem, bo tak chce Bóg i tak być musi koniecznie; widocznie więc i woreczek szczęścia może być w posiadaniu jednej tylko osoby, a tą osobą ma być Andolozya a nie kto inny! Niech więc go posiada, jeżeli dlań jest przeznaczony, byleby nam tylko córkę oddał!”

„Roześlij więc posłów na wszystkie strony kraju, aby jej szukali troskliwie i pomóżd mogli, gdyż nieszczęśliwa po stracie woreczka może popaść w ubóstwo i nędzę!“ „Nie, tego nie uczynię nigdy“ — odpowiedział na to król — „nie chcę aby niesława naszego domu rozniosła się po całym kraju i wszyscy wyrzucali mi, dla czego sta-  
ranniej nie strzegł jedynęj córki!“ I obydwaje małżonkowie pogrążyli się w niemęj boleści i żalu.

Jak powiedzieliśmy wyżej, Andolozya znalazł się na własne życzenie wraz z Agrypiną w dzikim, gęstym i ponurym lesie. Stanąwszy tutaj, zrzucił z siebie wierzchnie doktorskie ubranie, urwał przyprawiony, niezgrabny nos i ukazał się oczom zdumionęj Agrypiny w właściwéj swéj postaci, jako rycerz królewski Andolozya. Księżniczka poznała go też natychmiast i przełękała się jeszcze tém więcej, myśląc że nadeszła teraz ostatnia jéj godzina. Andolozya rzeczywiście groźną przybrał postawę; zmarszczył gniew-

wnie czoło i brwi, oczy rzucały jakby błyskawice a nawet wyciągnął nóż z za pasa i wzniosł go do góry, jak gdyby chciał zabić nieszczęśliwą. Nożem tym jednak rozciął tylko opasujący ją w biodrach łańcuszek, na którym wisiął cudowny woreczek, odebrał go jęj i włożył za własny kaftan na piersi, na miejsce, gdzie go niegdyś przechowywał. Na wszystko to patrzyła błędnym i oniemiałym wzrokiem nieszczęśliwa księżniczka i drżała przytęm na całym ciele, jak liść jesienny, poruszany lada lekkim podmuchem wiatru. Trwoga malowała się na jęj bladym obliczu, Andolozya stał bowiem przed nią jak sędzia i mówił groźnym a poważnym głosem: „Mam cię wreszcie w swęj mocy, nędzna, niegodna i fałszywa niewiasto! Dziś przyszła dawno oczekiwana godzina odwetu za krzywdę, jakąś mi niegdyś wyrządziła! Niech więc i teraz doradzi ci godna ciebie matka i ochmistrzyni, jakim sposobem byś się wyrwała z pod męj karzącej prawicy — teraz możesz mi jak ongi podać usypiający napój zamiast wina! O, Agrypino, ja do dzisiaj wytłumaczyć sobie nie mogę, jak mogłaś dopuścić się takiej zdrady względem mnie, który przecież byłem ci wierny i tak szczerze cię kochałem! O, zaprawdę! ja gotów byłem wszystko poświęcić dla ciebie, nawet i życie, ja gotówem był wszystko, co miałem z tobą podzielić! A ty Agrypino tak zdradną okazałaś się dla mnie!? Jak mogłaś i miałaś

sumienie, kochającego cię rycerza, który za twoją sławę i cześć codziennie występował w turniejach i życie tysiãkrotnie narażał na utratę w ustawicznych bojach i pojedynkach — przyprawić o tak wielkie nieszczęście? Wszakże rodzice twoi darzyli mnie nawet swą łaską, o czem nigdy nie zapomnę, wszak chciałem być im całą mą osobą oddany! A gdybym w przystępie rozpaczony w owęj krytycznej chwili odebrał był sobie życie, to nikt inny, tylko ty wyrodna kobieto, byłabyś przyczyną utraty mego życia i wiecznej zagłady méj duszy! Czyś nigdy nie pomyślała o tém? No, powiedz teraz sama na co zasłużyłaś? Wszak słuszną jest, abym postąpił z tobą, jak i ty niegdyś postąpiłaś sobie ze mną! Równą powinniśmy sobie odplacić monetą!“

Agrypina pod wpływem przestrachu i grozy była prawie ubezwładnioną; słów tych wysłuchiwała w milczeniu, lecz nie wiedziała, co na nie odpowiedzieć. W końcu wzniosła oczy ku niebu i odezwała się cichym, ławym i błagalnym głosem: „O, Andolozyo! szlachetny i prawy rycerzu! Wyznaję, iż bardzo zawiniłam względem ciebie, postąpiłam sobie zdradnie i nieszlachetnie, ale miej tu przedewszystkiem na uwadze nierozsądek i lekkomyślność, które bardziej wrodzone są kobiecie niż mężczyźnie! Nie sądz mnie tak bezwzględnie i surowo, jeżeli kochałeś mnie niegdyś, nie chciéj wywierac swego gniewu na opuszczono-



něj, bezbronněj kobiecie — odpląć raczėj dobrém za złe, jak na prawego rycerza przystoi!“ „Nie“ — odpowiedział na to Andolozya — „krzywda wyrządzona sercu memu jest jeszcze zanadto za świeżą, abym mógł o niėj zapomnieć i płazem ją puścić!“ „Ach, Andolozyo, pomyśl tylko, coby powiedziano o tobie“ — zawołała znowu Agrypina — „gdyby się dowiedziano, żeś bezbronną, uwięzioną kobietę jedynie z tobą w lesie się znajdującą, ukarał? Toż to byłaby już wieczna plama na twoim honorze rycerskim!“ Andolozya namyślił się trochę nad jej ostatnimi słowami, a po chwili rzekł: „Masz słusznie! Powstrzymam mój gniew i daję ci słowo rycerskie, że cię ani nie skaleczę! Ale i tak masz już pewien znak odemnie i ten zostanie ci już aż do grobu, abys zawsze, na każdym miejscu i w każdej chwili wspominała sobie swój niegodny postępek i żałowała za niego!“ Agrypina znajdowała się dotąd w takiej trwodze o życie własne, iż zapomniała zupełnie o rogach, które jeszcze na jej głowie sterczały. Dopiero na wzmiankę Andolozyego przypomniała sobie znowu o nich, zawołała przeto z westchnieniem: „Ach, gdyby Bóg dozwolił, abym tych nieznośnych rogów pozbyć się mogła i powróciła znów do ojcowskiego pałacu!“ Usłyszawszy to życzenie Andolozya, pochwycił prędko cudowny kapelusz, leżący obok niėj na ziemi i schował go do kieszeni płaszcza, w obawie,

aby się to samo zdarzenie, co ongi nie powtórzyło. Agrypina wywnioskowała więc z tego, że ten kapelusz musi mieć jakąś cudowną władzę i że tylko za pomocą niego po raz pierwszy z rąk uwodziciela uratowaną została. Rzekła tedy: „Otóż miałeś niegdyś obydwą te klejnoty w swém posiadaniu, a nie potrafiłeś ich dobrze przed podstępną ręką zabezpieczyć!“ Nie chciała jednak dać poznać Andolozyemu swój gniew i żal po ich stracie, lecz poczęła go znowu uprzejmym i łagodnym głosem prosić, aby zlitował się nad nią, zniszczył jęj zupełnie rogi i zaprowadził do ojcowskiego domu. Ale Andolozya ani słyszeć o tém nie chciał. „Aż do końca życia, jako pamiątka niegodnego podstępku zostaną ci te rogi“ — mówił — „do domu zaś ojca twojego nie wstąpię już nigdy w mém życiu, jednak zaprowadzę cię tak blisko, iż ujrzysz go i trafisz doń z ławtwością!“ Agrypina próbowała jeszcze kilka razy łzami zmiekczyć gniew Andolozyego i uprosić łaskę, ale wszystko bezskutecznie. Na prośby i błagania był głuchy, a na łzy nieczuły jak kamień!“

---

Gdy się nakoniec Agrypina przekonała, że wszelkie jęj prośby i błagania żadnego nie odnoszą skutku, rzekła: „Jeżeli więc już z twojęj przyczyny mam aż do śmierci, podobna dzikiemu wierzęciu, nosić rogi na głowie, to nie chcę już

wracać do Anglii! Niech raczěj nie widzi mnie w takim stanie żaden człowiek, nawet ojciec i matka, niech wszyscy mają mnie za straconą, umarłą! Zaprowadź mnie więc na jakie oddalone obce miejsce, gdzie mnie żaden człowiek nie pozna!“ Andolozya starał się nalegac na nią, aby powróciła do rodziców, którzy ją przyjmą radośnie i z otwartymi ramionami, ale w końcu przekonał się, że nic nie zdoła zmienić jěj przekonania. „Zaprowadź mnie do jakiego samotnego klasztoru“ — mówiła — „abym była zupełnie od reszty świata odcięta!“ „Zastanów się dobrze nad krokiem, który chcesz uczynić“ — nalegał jeszcze Andolozya, ale Agrypina zapewniała go, iż postanowienie jěj jest stałe i za nic go teraz nie zmieni. „Ha, więc uczynię zadość twěj woli“ — rzekł nakoniec Andolozya i wybrał się wraz z Agrypiną w drogę ku północnym krańcom Hibernii. Tu niedaleko od opactwa i pieczary św. Patrycyusza napotkał wielki, żeński klasztor, w którém znajdowały się same szlacheckiego pochodzenia niewiasty. Zostawił więc na chwilę Agrypinę samą pod murami klasztoru, a sam wszedł do wnętrza w celu porozumienia się z przełożoną. Gdy go tedy do jěj celi zaprowadzono, rzekł, iż przyprowadza z sobą pewną szlachetną i wysokiego pochodzenia dziewczęcę, słynącą w całym kraju z niezrównanej piękności, któręj jednak dziwnym jakimś sposobem coś na

kształt rogów wyrosło na głowie i których wstydzając się, pragnie opuścić towarzystwo światowe i do końca życia zamknąć się w klasztorze, gdzieby jej nikt nie poznał. „Jeżeli przyjmiecie ją w swe grono“ — rzekł — „zapłacę kwotę wymaganą przy wstępie potrójnie!“ „Opłata od nowo wstępujących dziewic w naszym klasztorze wynosi dwieście koron, albowiem każda ma swój osobny pokój i własną służącą i wszystko co jej do codziennego życia jest niezbędne. Jeżeli chcesz więc, szanowny rycerzu, rzeczywiście opłatę trzykrotną złożyć na me ręce, to przyprowadź zaraz tę dziewicę!“

Andolozya pospieszył niezwłocznie na miejsce, kędy pozostawił był Agrypinę i przyprowadził ją do klasztoru. Przełożona zaraz z ruchów i postawy przedstawionej sobie dziewczicy poznała, że ta musi pochodzić z wysokiego domu i staranne otrzymała wychowanie. Żal jej się tylko zrobiło, iż taka piękna dziewczica ma nieszczęsne rogi na głowie z niewiadomej przyczyny. Według przyjętego zwyczaju, zapytała się jej tedy zaraz na wstępie: „Agrypino, masz dobrą a nieprzymuszoną wolę zamieszkać stale w tym klasztorze?“ „Mam“ — brzmiała odpowiedź. „A czy przyrzekasz mi posłuszeństwo we wszystkiem i zastosowanie się do przepisów klasztoru?“ „Wypełnię wszystko, co do przyszłego mego powołania odnosić się będzie i będę się starała stać się

jedną z najgodniejszych twych córek, pani!“ — odpowiedziała na to Agrypina. Po tych wstępnych formalnościach Andolozya wypłacił przełożonej sześćset koron i polecił jej opiece Agrypinę. Przełożona zaręczała, że na niczém jej zbywać nie będzie, w duchu bowiem radowała się z tak wielkiej zapłaty.

Wreszcie pożegnał Andolozya przełożoną klasztoru i oddalił się; za pozwoleniem ksieni, towarzyszyła mu Agrypina aż do bramy klasztornego ogrodu. „Niechaj Bóg błogosławi cię i ma w Swój opiece“ — rzekł tutaj Andolozya — „niechaj zachowa cię przy zdrowiu i pozwoli w tym klasztorze osiągnąć zbawienie wieczne!“ „Amen“, odpowiedziała cichym głosem Agrypina, ale w krótkce wybuchła głośnym płaczem i łkając rzewnie, poczęła mówić: „O twardy i nieubłagany rycerzu, wspomnij sobie o mnie nieszczęśliwej w krótkim czasie i stań mi się oswobodzicielem i pomocą w nieszczęściu — bo zaprawdę, dopóki te rogi mieć będę na głowie, nie jestem zdolną dobrze służyć ani Bogu, ani ludziom!“ Słowa te ubodły Andolozyego w serce, nie wyrzekł jednak ani jednego słowa pociechy. „Wszystko jest w ręku Boga, niech się więc dzieje Jego wola“ — rzekł wreszcie, pożegnał się z Agrypiną i udał się w swoją drogę. Zasmucona księżniczka jeszcze raz powiodła łzawym wzrokiem za odchodzącym rycerzem, zamknęła drzwi klasztorne

i powróciła do przełożonej. Zastała tu już uprzątniętą dla siebie osobną celę i służącą na jej wyłączne usługi. W tym tedy pokoiku, odcięta od reszty świata, a nawet od swych współtowarzyszek, przepędzała po największej części samotne chwile nowa pokutnica i służyła Bogu, jak mogła, myśli jej bowiem rzadko były przy modlitwie, którą szeptała usta.

---

Umieściwszy Agrypinę w klasztorze, uczuł się dopiero Andolozya zupełnie swobodnym i szczęśliwym i postanowił używać świata. Za pomocą kapelusza cudownego przenosił się też z kraju do kraju i w krótcie zwiedził wszystkie europejskie państwa, wszędzie żyjąc prawdziwie po królewsku. W mieście Brüggem we Flandryi znalazłszy stósowne dla siebie towarzystwo, pozostał czas dłuższy. Przedewszystkiem zajął się urządzeniem wspaniałego dworu, kupił czterdzieści jednej maści koni, dobrał sobie licznych dworzan, których w jednej barwy suknie poubierał wspaniale i uzbroił po rycersku, a sam znów począł bywać na turniejach i wydawać w swym domu uczy i igrzyska. Jednym słowem, żył wspaniale i opływał we wszystko. Ale gdy mu wreszcie i takie jednostajne, hulaszczcze znudziło się życie, udał się znów do Niemiec i najpiękniejsze zwiedzał miasta. Potem pospieszył do Wenecyi, Florencyi i Genui; w tych trzech miastach kazał



przywołać kupców, którym niegdyś zrabował był klejnoty i wszystkim żądane sumy gotówką wypłacił. Wreszcie, objechawszy niemal świat cały, wsiadł na okręt wraz z całym swym dworem i końmi i pożeglował z radością ku swój rodzinnej wyspie, do miasta Tamagusty, do swego brata.

Ampedo zobaczywszy brata w tak licznym i bogato przystrojonym orszaku zbliżającego się do pałacu, ucieszył się niezmiernie i wybiegł na jego spotkanie. Wyprawił nawet na jego cześć ucztę, po której udał się z Andolozyem do osobnej komnaty i tu prosił go, aby mu zechciał przygody swe opowiedzieć. Andolozya zaczął tedy od samego początku z wszystkimi szczegółami, a gdy przyszedł do miejsca, kiedy i drugi skarb t. j. cudowny kapelusz lekkomyślnie utracił — Ampedo omal że nie zemdlał z przestachu i zmartwienia. Andolozya uspokoił go jednak wnet, opowiadając dalej, jak przez podstęp stał się znów panem obydwóch drogocennych przedmiotów. „Nie smuć się więc kochany bracie“ — rzekł nakoniec i położył przed nim woreczek szczęścia i cudowny kapelusz — „weź ty teraz obydwie skarby i używaj ich podług upodobania, ja już się dosyć nacieszyłem nimi, teraz kolej na ciebie!“ „Co do woreczka, to nie pragnę go wcale“ — odparł na to Ampedo — „przekonałem się bowiem tak z twych opowiadań jak i pamiątek naszego ojca, że posiadacz jego musi żyć w ciągłej obawie

i trosce, musi się mieć ciągle na ostrożności i narażony jest na tysiące niebezpieczeństw!“ Andolozya ucieszył się więc tém więcej, że zgodnie z wolą brata woreczek i nadal jego wyłączną będzie własnością.

I znowu w rodzinném swém mieście począł Andolozya zabawiać się turniejami, gonitwami rycerskimi i polowaniem. Zabawiwszy kilka tygodni u brata w Tamaguście, dla rozerwania się wyjechał wraz z całym swym dworem do stolicy, do króla wyspy Cypry. Przyjęto go tutaj wspólnie i z radością, a sam król zapytał się go, gdzie się tak długo znajdował. Wtedy opowiedział mu Andolozya, ile cudzych krajów zwiedził i na wielu dworach królewskich przebywał. Król zapytał się go wreszcie, czy przypadkiem nie był i w Anglii. „Byłem i tam, miłościwy królu“, odpowiedział na to Andolozya. „Król Angielski“ — ciągnął dalej król Cypru — „ma piękną, jedyną córkę imieniem Agrypina, którą właśnie chciałem dać memu synowi za żonę. Ale doszła mnie, nie wiem czy prawdziwa wiadomość, że dziewczyna ta, jakimś niewytłumaczonym sposobem zginęła. Powiedz mi więc, żali to jest prawdą, lub czy co nie słyszałeś o niej, czy się może do téj chwili odnalazła?“ „Miłościwy królu“ — odparł na to Andolozya — „w tym względzie mogę Cię wielce objaśnić. Jest niezaprzeczoną prawdą, że córka króla angielskiego jest piękną

i nawet bardzo piękną dziewczicą, ale niemniej i to jest prawną, że skutkiem tajemnej władzy pewnego czarnoksiężnika, przeniesioną została w odległy zakątek Hibernii, gdzie dotąd znajduje się w pewnym żeńskim klasztorze pod troskliwą opieką; przed niedawnym czasem rozmawiałem z nią jeszcze!“ „Ach, czyżby nie było możebnem“ — zawołał na to król — „aby dziewczica owa wróciła pod dach rodzicielski? Ja jestem już stary i chętnie chciałbym tron oddać synowi, pragnąłbym go jednak widzieć zabezpieczonym, nim umrę!“ „Najmiłościwszy Panie i królu“ — odparł na to z uniesieniem Andolozya — „Tobie i syna twojego woli, który wart jest tak cudnej dziewczicy, będę się starał wszelkimi siłami uczynić zadość i ręczę, że królowna w krótcie na dworze ojca swego zagości!“ Usłyszawszy takie zapewnienie, król ucieszył się mocno i prosił usilnie Andolozyego, aby zechciał się jak najprędzej zająć tą sprawą, cokolwiekby to miało kosztować, a gdy ją doprowadzi do pomyślnego skutku, może być pewnym podziękowania królewskiego i hojnej nagrody. „A więc wypraw Najmiłościwszy królu wspaniałe poselstwo do Anglii w czternaście dni po mojem odjeździe“ — rzekł Andolozya — „a zastanie ono z pewnością dziewczicę na dworze ojca, a jeżeli przyrzeknięto Wam ją poprzednio, to Wam ją oddadzą niechybnie!“ „Uczynię, co mi polecieś, przyjacielu Andolozyo“ — rzekł

król — „i wyprawię w oznaczonym czasie wspa-  
niałe i liczne poselstwo do Anglii, zrób tylko ty  
wszystko z swęj strony, aby trud nie okazał się  
daremny!“ „Nie miej o to najmniejszej obawy,  
miłościwy królu“ — odparł Andolozya — „ale  
wraz z poselstwem pošlij królowi angielskiemu  
i portret swego syna, aby tak rodzice jak i córka  
o jego urodzie naocznie przekonać się mogli!“

---

Gdy się syn królewski dowiedział o podróży  
Andolozyego, mającej na celu wystaranie się o  
rękę przyszłej małżonki, prosił go również usilnie,  
aby postępował jak najrozważniej i najogłędniej,  
aby przypadkiem odmownej nie otrzymać odpo-  
wiedzi; słyszał bowiem wiele o piękności i przy-  
miotach księżniczki Agrypiny i dla tego całem  
sercem chciał ją posiadać. Andolozya przyobiecał  
mu wszystko do pomyślnego doprowadzić skutku,  
pożegnał króla i cały dwór i pospieszył napowrót  
do Tamagusty. Tu prosił brata swego Ampeda,  
aby mu jeszcze zechciał pozwolić cudownego ka-  
pelusza, albowiem do urzeczywistnienia planu  
królewskiego koniecznie mu będzie potrzebny.  
Ampedo zgodził się na to chętnie, chciał jeszcze  
dodać bratu do usług kilku swych ludzi, ten  
jednak nikogo wziąć ze sobą nie chciał, zapewnia-  
jąc, iż sam wnet powróci. Wdział więc cudowny  
kapelusz na głowę i za jego mocą stanął na  
wyspie, kędy rosły jabłka mające własność zgła-

dzenia rogów na głowie. Znalazł rzeczywiście drzewa pełne owoców, nie wiedział jednak, które są szkodliwe, a które nie. Że się trzeba było koniecznie przekonać o tém, a nie było się kogo zapytać — nie znalazł innéj rady jak pokoszować tych i owych owoców, aby oznaczyć ich skutek. Uczynił tak — i rzeczywiście po spożyciu jednego jabłka wyrósł mu róg na głowie, po spożyciu zaś innego, zniknął. Tych drugich jabłek zerwał więc kilka, a starannie zapakowawszy, udał się za pomocą swego kapelusza do Irlandyi i stanął przed znanym nam klasztorem. Zapukał, otworzono mu. Kazał się tedy zaprowadzić do przełożonej, a stanąwszy przed nią, zapytał się o Agrypinę, albowiem ma z nią coś ważnego a tajemniczego do pomówienia.

Po pierwszych słowach poznała zaraz przełożona Andolozyego, posłała więc natychmiast po Agrypinę. Księżniczka zobaczywszy rycerza, przełękła się bardzo i zasmuciła, nie wiedziała bowiem, co jej przynosi, a w każdym razie nie przeczuwała nic dobrego. „Łaskawa Pani zezwoli“ — rzekł Andolozya do przełożonej — „że się z tą dziewicą na chwilęk oddalę, aby pomówić z nią na osobności!“ Przełożona zezwoliła na to chętnie. Andolozya oddalił się tedy z Agrypiną do osobnego pokoju i tu wzięwszy ją za rękę, zapytał się jęj, czy jeszcze tak samo jak przedtęm są jęj przykrością owe rogi na głowie?

„O i jak jeszcze“ — odrzekła na to z westchnieniem Agrypina — „im dłużej je noszę na głowie, tём obrzydliwszemi mi się wydają i ścierpieć ich nie mogę!“ „A cobyś uczyniła“ — zapytał się Andolozya — „gdybyś tak naraz od tych rogów została uwolnioną?“ „Jedynem mojem życzeniem wówczas“ — rzekła Agrypina — „byłoby znaleźć się co najprędzej pod dachem ojcowskiego pałacu!“ Ucieszył się tą odpowiedzią Andolozya, zgadzała się ona bowiem zupełnie z jego posłannictwem, rzekł przeto łagodnym głosem: „Agrypino! Bóg wysłuchał nareszcie twych modłów! Stanie się według życzenia twego!“ To mówiąc, podał jej jabłko o tajemniczej władzy i kazał jej zjeść takowe; Agrypina uczyniła zadość jego poleceniu, poczem położyła się na chwilę, albowiem uczuła się nieco osłabioną i sen począł kleić jej powieki. W czasie snu siedział Andolozya przy niej, niedługo to jednak trwało, przebudziła się bowiem po krótkiej chwili i ku wielkiej swęj radości zobaczyła, stanąwszy przed zwierciadłem, że rogi do szczytu znikły z jej głowy.

---

Po raz pierwszy dopiero służąca Agrypiny mogła swęj pani rozczesać włosy w całości i w prześliczne loki utrefić głowę. Wyglądała też dziś nieporównanie piękniej, niż przez cały jej pobyt w klasztorze, nadto bowiem niewysłowiony wdzięk i słodycz okraśliły jej promienne szczę-



ściem oblicze. Ubrała się też jak mogła najpiękniej, bo uczucie próżności wrodzone każdej kobiecie, tamowane dotąd niefortunnymi rogami, poczęło się i w niej budzić na nowo, a nawet we większą niż zazwyczaj weszło potęgę. To też ani sama przełożona ani zwołane przez nią wszystkie wychowawice klasztoru nie mogły się dosyć nadziwić Agrypinie, gdy w całej pełni swych wdzięków stanęła przed nimi i w jaśniejącem jej obliczu nie mogły poniekąd odnaleźć rysów smutnej i ponurej zawsze dziewicy, jaką była poprzednio. Tak przemieniła ją nagle jedna chwila, w której utraciła szpecące jej nadziemską urodę — rogi. Widząc takie ogólne zdziwienie, wywołane pięknością i dumną postawą Agrypiny, Andolozya wystąpił nieco naprzód i rzekł donośnym głosem: „Piękność Agrypiny i zdziwienie wasze łatwo można wytłumaczyć! Bóg Wszechmocny, który całym światem rządzi według Swego upodobania, nie chce, aby osoby mające stać na świeczniku narodu, ginęły w zapomnieniu i szlachetnymi rysami twarzy nie mogły imponować wszystkim. Wiedźcie więc, że ta oto dziewczica jest księżniczką i to królewskiego rodu; właśnie przybyłem po nią, aby ją jej ojcu i matce wrócić, a nim miesiąc upłynie, zostanie zaślubioną pewnemu synowi królewskiemu i to tak pięknemu młodzieńcowi, że równego mu nie ma na całej kuli ziemskiej!”

Powiedziawszy to, dał Andolozya przełożonej sto koron na potrzeby klasztoru i podziękował uprzejmie za troskliwą opiekę nad Agrypiną w czasie jej pobytu w tym zakładzie. Agrypina również złożyła serdeczne podziękowanie za wszystko, czego tutaj doznała i wreszcie pożegnawszy czule i z uszanowaniem przełożoną i wszystkie koleżanki, opuściła wraz z Andolozyem klasztor na zawsze. Wyszędłszy na wolne miejsce po za obrębem klasztoru, Andolozya wziął Agrypinę na rękę, a włożywszy cudowny kapelusz na głowę, przeniósł się według życzenia do Londynu, gdzie stanął przed pałacem królewskim. Tu pożegnał Agrypinę, która udała się niezwłocznie do rodziców, sam bowiem nie chciał wstępować w progi tego pałacu, kędy dopuszczono się względem niego tak niecnój zdrady i z którego murami toczyło się wspomnienie jednej z najsmutniejszych chwil jego życia. Za pośrednictwem swego kapelusza przeniósł się w ojczyste strony na wyspę Cypr i stanął znowu w Tamaguście u swego brata Ampeda wpośród wiernych mu dworzan i sług.

---

Król i królowa angielska ucieszyli się niezmiernie, gdy nadspodziewanie uważana już za straconą córka, stanęła zupełnie zdrowa i jeszcze piękniejsza, niż wprzódy, przed nimi. Wyprawili więc na pamiątkę téj radosnej chwili wielką na dworze ucztę i wspaniałą uroczystość, w której

wszystkie stany narodowe brały udział. Rozpoczęły się więc znowu dla królewskiej rodziny wesołe dni domowego pożycia, urozmaicane częstymi zabawami rycerskimi, które na cześć pięknej królowny rozmaici książęta urządzali. W tym więc czasie przybyło właśnie poselstwo od króla Cypru, złożone z jednego księcia, dwóch hrabiów i wielkiej liczby szlachty z giermkami i dworzanami, prosząc o rękę Agrypiny dla młodego królewicza. Król przyjął ich godnie i wspaniale i zaprosił do siebie do pałacu, celem bliższych układów względem projektowanego małżeństwa. Królowa, dowiedziawszy się o tém, zasmuciła się trochę; przykro jej było bowiem rozstawać się z ukochaną córką, którą miano poślubić obcemu, z tak dalekiego kraju człowiekowi, o którym nic nie wiadano, czy piękny jest, czy brzydki i jakiego jest usposobienia. Wtedy poselstwo uprosiło sobie wstęp do królowej i pokazało jej wizerunek młodego królewicza, który według polecenia Andolozyi ze sobą zabrali. Królowa i król zdumieli się tedy pięknoscia i wspaniałą postawą dorodnego młodzieńca i pytali się posłów, czy rzeczywiście jest takim, jak go przedstawiono na portrecie? Posłowie potwierdzili to nawet przysięgą i dodali nadto, że królewicz w rzeczywistości jest daleko piękniejszym, niż na obrazie i w pełni życia, liczy bowiem dopiero dwadzieścia cztery lata. To ucie-

szło bardzo królestwo, udali się przeto oboje do pokoju Agrypiny i pokazali jej obraz narzeczonego, powtarzając wszystko, co powiedzieli o nim cudzoziemscy posłowie. Młoda królewna przystała chętnie na związek z tak dorodnym młodzieńcem, piękność jego bowiem stwierdzały i słowa wyrzeczone przez Andolozyego w klasztorze: „nie masz mu równego na całej kuli ziemskiej.“ Układy z cypryjskiem poselstwem przyszły więc wnet do skutku i całe małżeństwo zostało pomyślnie przez obydwie strony ułożone i zatwierdzone.

Wysłannicy króla cypryjskiego po dokonanych układach pragnęli natychmiast Agrypinę wziąć ze sobą do przyszłego małżonka, a że król angielski zgodził się na to, przygotowano więc wszystko do odjazdu. Kilka okrętów stojących w miejskim porcie napełniono samymi darami dla królestwa cypryjskiego i sukniami i kosztownościami królewny, na kilku zaś osobnych galerach mieścił się cały dwór przydany jej do drogi a złożony z dostojnych dam i znakomitych rycerzy szlacheckiego pochodzenia, nadto orszak licznych dworzan, służ i giermków. Nie zapomniano również zaopatrzyć okręty na tak daleką podróż w obfity zapas doborowych pokarmów i napojów. Gdy już tedy wszystko było przygotowane do odjazdu, Agrypina upadła, żegnając się, do nóg swym rodzicom i na klęczkach prosiła

ich o błogosławieństwo dla siebie. Król polecił ją opiece Bozkiej na całą drogę przyszłego, nowego życia, które się przed nią otwierało, królowa zaś z wielkiego wzruszenia ani słowa przemówić nie mogła, upadła tylko łkając w objęcia swej córki i niezliczonemi pocałunkami okryła tę, którą w krótkce od niej miał przedzielać ocean wód i ocean niepamięci.

Przeszła wreszcie gorzka chwila rozstania i Agrypina wraz z całą swą drużyną udała się ku okrętom. Cała ludność Londynu i liczni reprezentanci kraju z najodleglejszych jego krańców odprowadzili ją aż na brzeg wybrzeża i z oznakami żałości żegnali powszechnie lubianą królownę. Przyjazne powietrze i dogodny wiatr sprzyjały żegludze, okręty natychmiast więc odbiły od brzegu i cała podróż odbyła się szczęśliwie. Po krótkim stósunkowo czasie stanęła nasza królowna u wybrzeży Cypru i wylądowała w Tamaguscie, gdzie ją grono dostojnych dam oczekiwało; między tymi znajdowała się jedna księżniczka z królewskiej rodziny, cztery hrabianki i liczne żony rycerzy i szlachty. Wyprawiono więc na cześć przyjęcia Agrypiny wspaniałą ucztę, na której nie brakło najpyszniejszych potraw i napojów, a w której brali udział wszyscy reprezentanci królewskiego poselstwa i obcy przybysze znajdujący się podczas uroczystości w mieście. Wszyscy, młodzi i starzy, którzy tylko mogli oglądać

oblicze młodej królowej, nie mogli się dosyć nadszywić jej piękności i cieszyli się, że ich przyszy król będzie tak piękną żonę posiadał. Wreszcie orszak cały przygotował się do dalszej drogi; panie wsiadły do przygotowanych a gustownie ubranych karet i powozów, rycerze zaś i szlachta, jako też dworzanie i giermkowie dosiedli dzielnych wierzchowców i wspiąwszy je ostrogami otoczyli dworskie pojazdy. Tak ruszono w dalszą drogę i po krótkim czasie stanęli w Meduzyi, gdzie król właśnie przebywał z swoim dworem. Przyjęcie tutaj było jeszcze dziesięćkroć wspanialsze niż w Tamaguście. Królowi i królowej towarzyszył kwiat młodzieży dostojnych rodzin i najznakomitszego rycerstwa, księżniczki, hrabiny i liczne damy dworu, wszyscy jak najbogaciej ubrani. Wreszcie przybył i sam królewicz w błyszczącym od złota stroju na białym arabskim rumaku, również bogato drogimi kamieniami wysadzone, przystrojonym, na czele świetnego orszaku młodszych rycerzy, i z godnością a wzruszeniem powitał swą narzeczoną. Agrypina zarumieniała się lekko, zobaczywszy tak urodziwego młodzieńca, który miał być jej mężem, podała mu rękę i z szczerością w głosie podziękowała mu za tak wspaniałe przyjęcie i wszystkie oznaki radości z powodu jej przybycia. Po przywitaniach się i przedstawieniu wszystkich członków domu królewskiego udano się do pałacu, bogato udeko-



rowanego, kędy miały się odbyć gody weselne. Przybyli na nie wszyscy książęta hołdujący berłu cypryjskiego króla z najodleglejszych nawet krajów, a kaźden według swego stanu i możności składał bogate dary dla królewskiej pary. Gody trwały sześć tygodni, a przez cały ten czas odbywały się ustawiczne uczty i zabawy tak w pałacu jak i na placach publicznych miasta, aby cały naród, tak bogaci, jak i ubodzy, znakomici panowie i prostaczkowie mogli wziąć w nich udział i cieszyć się ze wszystkimi. Radość więc zapanaowała w kraju całym. Pośród innych darów ofiarował Andolozya młodemu królewiczowi cały okręt, pełen wina muszkatełskiego i innych drogocennych napojów; nie szczędzono ich też wcale, częstowano wszystkich gościnnie i rozlewano podczas uczty, jak wodę.

Turnieje, igrzyska, gonitwy i inne zabawy rycerskie urozmaicały trwające jeszcze weselne gody. Występujący w nich rycerze, którzy największe okazali męztwo i odwagę, w nagrodę swych czynów odbierali wieczorem z rąk pięknej młodej królewny wieniec z wawrzynowych liści. To było też silną zachętą do walki i bodźcem, zniewalającym nawet mniej odważnych do wstępowania w zapaśnicze szeregi. W turniejach tych występował także i Andolozya i najczęściej sam odnosił rozstrzygające zwycięztwo, tak iż wszyscy, panowie i panie przekonani byli, że otrzyma

pierwszą nagrodę. Inaczêj się jednak stało. Gdy przyszło do rozdawania nagród, ręka królownej nadspodziewanie z niewiadomêj przyczyny wawrzynowym wieńcem ozdobiła nie skroń Andolozyi, ale niejakiego hrabiego Teodora z Anglii. Wszystkich zdziwiło to bardzo i oburzyło poniekąd, a choć sam Andolozya zdawał się na to nie zwracać uwagi, przecieŜ powszechnie poczęto szemrać i mówiono: „Andolozya słuszniej zasłuŜył na pierwszą nagrodę!“ Szemranie to obilo się o uszy hrabiego Teodora, niedobrego z gruntu człowieka. Dręczony tedy zazdrością i bezzasadną nienawiścią ku Andolozyemu, postanowił się na nim za ogólną opinię przeciw niemu zwróconą zemścić. W tym celu zawarł tajne przymierze z godnym siebie, a nie słynącym z dobrej reputacyi hrabią Limozyuszem, który niedaleko od Tamagusty w dzikiêj okolicy na małej wysepce posiadał zbójecki zamek. Obaj przemyśliwali więc nad têm, jakby tu zrobić coś na niekorzyść sławy i honoru rycerskiego Andolozyi, aby têm samém uniemoŜliwić mu wstêp na dwór królewski i współzawodnictwo w walkach z nimi. Gotowi nawet byli pozbawić go życia i uprzątnąć z areny swych tryumfów, czekali tylko do końca wesela, aby urzeczywistnić nieczne swe plany.

Minęło wreszcie sześć tygodni dworskich uroczystości i Andolozya powracał do brata do Tamagusty. Wtedy sprzysiężeni na jego zgubę

hrabiowie namówili całą bandę dobrze uzbrojonych rabusiów, którzy na skraju lasu napadli cichaczem z tyłu na nieprzygotowanego na nic podobnego Andolozyę i wymordowawszy jego służbę, samego silnie skrupowali i uprowadzili na zamek hrabiiego Limozyusza, według jego polecenia. Tu nieszczęśliwego jeńca wrzucono do ciemnego więzienia i pilnie strzeżono, aby nie uciekł. Andolozya próbował z początku strażników swych przekupić i ofiarował im ogromne sumy za swe uwolnienie; ci jednak nie dowierzali mu, myśląc że po dokonanej ucieczce zapomni o daném przyrzeczeniu, a przeciwnie nawet wyda ich w ręce ich panów, którzy żądać będą za więźnia odpowiedzialności. Mógł wprawdzie Andolozya na miejscu im obiecane kwoty wypłacić, miał bowiem przy sobie woreczek szczęścia, ale obawiał go się im pokazywać, aby go nie postradał, razem z nadzieją uwolnienia. Tak więc znajdował się w okropnym położeniu, z którego nie widział niestety wyjścia.

Tymczasem doniesiono królowi, że wszyscy słudzy Andolozyi zostali, nie wiadomo przez kogo, pomordowani a on sam zniknął bez śladu i nikt nie wie, czy żyje dotąd, czy też poniósł śmierć z ręki skrytobójcy. Żadnym sposobem nie można było odkryć sprawcy tego czynu i na nikogo nie padało podejrzenie, zwłaszcza że obaj niegodni hrabiowie po dokonaniem morderstwa natychmiast

powrócili do zamku, aby nieobecnością swoją się nie zdradzić i zachowywali się zupełnie cicho i spokojnie, jak gdyby o niczem nie wiedzieli.

Wiadomość o zginieciu Andolozyi doszła nareszcie i do uszu brata jego Ampeda. Przejął się on nią bardzo i natychmiast wysłał posłów do króla z prośbą, aby mu w odszukaniu brata dopomógł. Król, który bardzo lubiał Andolozyego, przyrzekł co tylko możliwe uczynić i żadnych kosztów nie żałować, aby odnaleźć miejsce pobytu nieszczęśliwego i choćby go to połowę królestwa kosztować miało zapewnić mu znowu wolność, jeżeli jeszcze jest przy życiu. Ampedo stracił jednak wszelką nadzieję odnalezienia brata, był bowiem pewny niemal, że go zamordowano, chcąc wydrzeć mu cudowny woreczek. Myśl, że i on posiada nieoceniony skarb t. j. tajemniczój władzy kapelusz niepokoiła go mocno, obawiał się bowiem, aby i sam skutkiem zazdrości ludzkiej nie był narażony również na tysiączne niebezpieczeństwa, aby i nań nie czyhała na każdym kroku mordercza ręka skrytobójcy. W chwili uniesienia i gniewu, chcąc choć koniec swego życia uczynić spokojnym, postanowił pozbyć się cudownego a przecież tak niebezpiecznego kapelusza, porąbał go więc na drobne kawałki, wrzucił do ognia i stał przy jego szczątkach tak długo, dopóki je płomień zupełnie w popiół nie obrócił. Dokonawszy tego dzieła zniszczenia,

cieszył się w duchu, że już nikt z tego skarbu korzystać nie będzie, ale prędko odezwała się boleść zranionego serca po stracie brata, którego żadnym sposobem odnaleźć nie było można. Codziennie wracali posłowie od króla, żaden z nich jednak pomyślniej nie przynosił odpowiedzi. To coraz bardziej bolało i przygnębiało biednego Ampeda, iż w krótkce z wielkiej tęsknoty popadł w śmiertelną chorobę, z której się więcej nie podniósł. Z śmiercią jego władza cudownego woreczka trzymała się tylko na włosku życia Andolozyi.

Sprzysiężeni mordercy-hrabiowie dowiedziawszy się, iż król tak bardzo żałuje straty dzielnego rycerza Andolozyego, któremu tak wiele zawdzięczał, pospieszyli znów na jego dwór, aby i swój żal i boleść kłamaną po stracie współzawodnika wyrazić. Po zatraconym nie było jednak ani śladu. Daremnie król ogłosił nagrodę tysiąca dukatów za wiadomość o żywym lub umarłym Andolozyi, nikt jakoś nie kwapił się z doniesieniem. Tymczasem hrabiemu Limozyuszowi uprzykszył się tak długi pobyt na dworze, pożegnał więc króla i pospieszył coprędzej do swego zamku, gdzie Andolozya był uwięziony. Zastał go tutaj dobrze strzeżonego w silnie obwarowanej wieży. Nieszczęśliwy więzień ucieszył się wielce zobaczywszy przed sobą znanego sobie hrabiego, nie wiedział bowiem dotąd za czyją



sprawą został uwięziony i był pewnym, że hrabia ma mu zwiastować uwolnienie. Zapytał się więc przedewszystkiém Limozyusza, za co dostał się do tego więzienia, że zapewne to stało się przez pomyłkę. „Bo, jeżeli uczyniłem komu jaką krzywdę“ — mówił — „to gotówem ją wynagrodzić złotem i naprawić czynem wedle potrzeby!“ Zły hrabia nie słuchał jednak tego, lecz rzekł: „Moim jesteś więźniem Andolozyo i wiedz, że jeżeli kazałem cię uwięzić to nie na to, abys znów tak łatwo uzyskać mógł wolność. Wpierw musisz mi powiedzieć, zkąd pochodzą twoje prawie niewyczerpane bogactwa, jakim sposobem opływasz w złoto, nie pracując wcale i żadnych ziemskich nie posiadając majątków?“ Usłyszawszy to Andolozya przestraszył się bardzo i utracił wszelką nadzieję swego wybawienia. Nie wiedział więc zrazu co ma powiedzieć i namyślił się, jakby szukając możliwej drogi do ratunku. W końcu rzekł: „W naszym domu w Tamaguście jest tajemna podziemna pieczara a w niej pełno złotych i srebrnych pieniędzy, a o istnieniu jęj powiedział nam nasz niebożczyk ojciec na łożu śmiertelném. Ztamtąd więc czerpaliśmy dotąd wraz z bratem skarby, o których mówiłeś, a o których źródle nie wiedziałeś. Jeżeli więc chcesz się o tęg pełnęj złota jaskini naocznie przekonać, to zaprowadź mnie pod zbrojnę strażą do Tamagusty, a wskażę ci ją!“ Odpowiedź ta nie wystarczała hrabiemu



i zdawała mu się być nieprawdopodobną. Kazał więc wyciągnąć Andolozyego z więzienia i wydał go na tortury, aby tam szczerą zeznał prawdę. Nieszczęśliwy długo pokonywał mocą woli niewysłowione męki i powtarzał ciągle to samo, co powiedział w więzieniu, ale wreszcie dręczony coraz srożej, nie mógł dłużej znieść okropnych boleści i wyznał wszystko o cudownym woreczku szczęścia. Hrabia usłyszawszy to kazał więc natychmiast zaprzestać tortur i Andolozyego zaprowadzić napowrót do więzienia; wprzód jeszcze odebrał mu tajemniczy woreczek i zaraz nie omieszkał się przekonać o cudownej jego własności. Widząc, że wszystko jest prawdą, ucieszony posiadaniem tak drogiego skarbu, polecił Andolozyego silnej i czujnej straży zamkowej, a sam pospieszył znowu na dwór królewski do sprzymierzonego hrabiego Teodora. Po serdeczném przywitaniu się, rozmawiali coś ze sobą długo potajemnie i Limozyusz opowiedział Teodorowi jak się obszedł z Andolozyem i wszelkimi szczegółami i jakim sposobem wymógł na nim takiej wielkiej wagi zeznanie i wreszcie tém samém stał się panem cudownego woreczka. „Andolozya zaś“ — mówił — „jest tak silnie uwięziony i dobrze strzeżony, że żadna ziemską moc nie jest w stanie mu do ucieczki dopomódz!“ „Ciesz się mnie to wszystko mocno“ — odpowiedział hrabia Teodor — „ale jednak daleko lepiej i bezpieczniej

by było, gdyby Andolozya wcale nie żył! Wówczas szkodzić by nam zupełnie nie mógł, a tak musimy w ciągłej żyć obawie, bo gdyby udało mu się ujsć z więzienia, to król, dowiedziawszy się o wszystkiem, srodze by nas ukarał, bo Andolozya był jego przyjacielem; mogłoby to nas nawet nasze życie kosztować! A nadto słyshałem tutaj na dworze, że Andolozya znał się na sztuce czarnoksiężkiej; może więc tajemnym sposobem ucieknąć przez powietrze!“ „E, co do tego, to wcale obawiać się nie potrzebuję“ — odparł Limozyusz — „z takiego więzienia w jakim się obecnie znajduje, żaden jeszcze człowiek nie uciekł!“ Poczęli wreszcie obaj oglądać z upodobaniem rzeczony woreczek i brali sobie zeń pieniądze na próbę, ile im się podobało. Każden chciał mieć ten nieoceniony skarb w swem posiadaniu, kłócili się więc z początku i sprzeczali, ale w końcu ugodzili się, aby każden z nich posiadał go naprzemian przez pół roku, w czasie tym jednak sprzymierzeńcowi dostarczał pieniędzy, według jego zachcenia. Hrabia Limozyusz, jako starszy wiekiem otrzymał woreczek na pierwsze pół roku. Rozpoczęło się tedy dla obydwóch hrabiów wspaniałe życie, wszystko, czego tylko pragnęli, stawało na ich żądanie, unikali jednak wszelkich zanadto widocznych zbytków, aby się nieostrożnością nie zdradzić. Zdawało się, że nic im nie zagradza drógi do szczęścia.

Limozyusz był zupełnie spokojnym, Teodor tylko ustawicznie szeptał towarzyszowi do ucha, że z śmiercią Andolozyi dopiero mogliby swoich skarbów używać bezpiecznie. Miał nadto niecny zamiar, że gdy tylko w drugiej połowie roku woreczek dostanie się w jego ręce, ucieknie z nim daleko w obce kraje, gdzie go ani ręka króla ani zemsta współtowarzysza zbrodni nie dosięgnie. Obawiał się tylko jednego Andolozyi, jak już mówiliśmy i dla tego chcąc się go pozbyć, wyprosił sobie u Limozyusza pisemne zezwolenie odwiedzenia więźnia i dodanie dla bezpieczeństwa i pewności jednego z swych sług i postanowił niezwłocznie wybrać się w drogę do zbójeckiego zamku towarzysza.

W tym celu prosił najpierw króla o pozwolenie oddalenia się z dworu, pod pozorem zwiedzenia obcych krajów i takowe otrzymał. Udał się więc w drogę do znajomiej nam wyspy a stanawszy tu przed zamkiem Limozyusza, kazał sobie drzwi więzienia Andolozyego otworzyć. Okropny widok przedstawił się tutaj jego oczom. Na ceglanej podłodze więzienia posypanej tylko kilku źdźbłami zgniłej słomy leżał jęcząc Andolozya z okropnie zmienioną i wynędzniałą twarzą, z połamanemi od tortur rękami i nogami, na których poszarpane kawałki gnijącego ciała wisiały. Trudno było zaprawdę w tym nędzarzu poznać urodziwego i dzielnego rycerza, który jeszcze przed

niedawnym czasem był panem niezmiernych bogactw i wszystkich zadziwiał swą zręcznością i siłą. Przecież na widok hrabiego Teodora, rozjaśniło się cokolwiek oblicze więźnia słabym odbłyskiem nadziei, myślał bowiem, że wchodzący jest posłem Limozyusza zwiastującym mu wolność. „Wszak odebrali mi wszystko, com miał najdroższego, cóż im więc może więcej na mnie zależeć?“ myślał sobie; co innego jednak miał mu zwiastować hrabia. „Powiedz mi Andolozyo“ — rzekł zaraz na wstępie — „tylko szczerą prawdę, czy nie masz drugiego takiego woreczka, jaki dałeś Limozyuszowi, abys teraz mnie nim obdarzył?“ „Miłościwy panie“ — rzekł na to łzawym okiem Andolozya — „wierzaj mi, że tylko ten jeden miałem woreczek, który mi odebrano; gdybym miał ich więcej, dałbym ci niezawodnie!“ „Mówią“ — ciągnął dalej hrabia — „że jesteś sprzymierzony z djabłem i znasz się na czarnoksiężkiej sztuce. Czemuż więc za jej pomocą nie uciekniesz z tego więzienia?“ „Nie wierz tym pogłoskom hrabio“ — zawołał Andolozyo — „nie umiem i nie umiałem nigdy coś podobnego. Jedynym moim skarbem był tylko ów woreczek, który teraz prawdziwą waszą jest własnością. Nigdy do niego żadnych sobie praw rościć nie będę i nikomu ani słowa o tem, co zaszło, nie powiem, zlitujcie się tylko nademną nieszczęśliwym człowiekiem i uwolnijcie mnie z tego wię-

zienia, abym tu tak marnie nie zginął!“ Szyderskim głosem odparł na to Teodor: „Szkoda, żeś trochę wcześniej o tém nie pomyślał, gdyś sławą swych czynów olśniewał cały dwór królewski, a w zarozumiałości i pysze pogardzałeś nami i starałeś się nas zawsze poniżyć i upokorzać! Niech więc ci teraz dopomogą ci, którzy cię wówczas nagrodami obsypywali, król i piękna królowna i cały tłum twych szczerych przyjaciół, rycerzy, sług i dworzan, którzy cię naówczas otaczali! Widzę, że ci się jakoś bardzo tutaj nudzi i chciałbyś co najprędzej ztąd się wydostać. Być może, że ja ci cokolwiek w tém dopomogę!“ Mówiąc to, zaśmiał się jak szatan i wyszedł z więzienia.

Chcąc się pozbyć koniecznie stojącego mu na przeszkodzie Andolozyego, namawiał jednego z stróżów więziennych, aby za wynagrodzeniem pięćdziesięciu dukatów, udusił dogorywającego więźnia. Ale sam strażnik wzdrygał się na tę myśl i rzekł: „Nie, nie jestem w stanie tego uczynić, bo to jest jakiś nieszczęśliwy ale poczciwy człowiek a zresztą i tak sam wkrótce umrze! Nie chcę duszy méj tak ciężkim grzechem obarczać!“ „To daj mi powróż, a ja sam go uduszę“ — rzekł na to hrabia — „i nie odalę się ztąd, dopóki go nieżywym nie zobaczę!“ Ale i tego poczciwy strażnik nie chciał uczynić. Wtedy rozgniewany do żywego Teodor odpiął



swój własny pas i wbiegł z nim do więzienia. Tu owinął go około szyi Andolozyi, drugi zaś koniec około sztyletu okręcił i obracał nim tak długo, patrząc dzikim wzrokiem na siniejącą swą ofiarę, dopóki ta ostatniego nie wydała tchnienia. Tak udusił więc nieszczęśliwego więźnia, nie wiedząc, jaką tym sposobem sobie samemu krzywdę wyrządził. Następnie zapłacił hojnie jednemu z sług za uprzątnięcie trupa, sam zaś jak najspieszniej opuścił zamek i pospieszył na dwór królewski. Hrabia Limozyusz powitał go tutaj z niekłamaną radością i publicznie pytał się go o szczegóły dalekiej podróży, i jak mu się obce podobały kraje. Teodor zachwalał wszystko i wyczerpująco na pytania swego przyjaciela odpowiadał, aby tém samém zamaskować swą tajemniczą misję. Gdy tylko jednak znaleźli się obaj sami na uboczu, rzekł Teodor radośnie: „Teraz nie mamy się już czego obawiać, Andolozya nam już więcej szkodzić nie będzie; zamordowałem go bowiem własnymi rękoma. Nie mogłem wcześniej być spokojnym, dopóki nie byłem pewny, że nasz więzień nie żyje, jakim jestem teraz!”

Tak mówił ten nędznik i cieszył się w duchu, bo nie wiedział, że wkrótce miał wielce pożałować swego kroku. Woreczek bowiem, jak wiemy, z śmiercią obydwóch synów Fortunata Ampeda i Andolozyego utracił swą cudowną wła-



sność; hrabiowie wkrótce o t $\acute{e}$ m naocznie przekonac si $\acute{e}$  mieli. Min $\acute{e}$ ło nie wi $\acute{e}$ c $\acute{e}$ jak trzy dni, podczas kt $\acute{o$ rych Limozyusz maj $\acute{a}$ c z $\acute{o}$ ta pod dostatkiem nie potrzebowa $\acute{l}$  zag $\acute{l}$ ada $\acute{c}$  do cudownego woreczka. Zbli $\acute{z}$ al si $\acute{e}$  jednak koniec p $\acute{o}$ lrocza, a wi $\acute{e}$ c czas, w kt $\acute{o$ rym ten $\acute{z}$ e mia $\acute{l}$  przej $\acute{s}$ ć w posiadanie drugiego m $\acute{o$ l $\acute{d}$ szego sprzymier $\acute{e}$ ncia. Uda $\acute{l}$  si $\acute{e}$  wi $\acute{e}$ c w stanowcz $\acute{e}$ j chwili Teodor do hrabiiego Limozyusza i za $\acute{z}$ ada $\acute{l}$  ode $\acute{n}$  wed $\acute{l}$ ug umowy woreczka na czas wy $\acute{z}$ e $\acute{j}$  wymieniony. „Pierw $\acute{e}$ j mo $\acute{z}$ esz sobie ze $\acute{n}$  wy $\acute{z}$ ac, ile ci si $\acute{e}$  podoba“ — rzek $\acute{l}$  do niego — „aby $\acute{s}$  mia $\acute{l}$  pieni $\acute{e}$ dzy pod dostatkiem, nim zn $\acute{o}$ w skarb dostaniesz w swe r $\acute{e}$ ce!“ Limozyusz zgodzi $\acute{l}$  si $\acute{e}$  na to ch $\acute{e}$ tnie i poprowadzi $\acute{l}$  towarzysza ze sob $\acute{a}$  do tajemnej komnaty, k $\acute{e}$ dy mia $\acute{l}$  woreczek przechowany. „Nie wiem, co to znaczy“ — m $\acute{o$ wi $\acute{l}$  id $\acute{a}$ c — „ale gdy mam woreczek wzi $\acute{a}$ c w r $\acute{e}$ ce staje mi nieszcz $\acute{e}$ śliwy Andolozya przed oczami i  $\acute{z}$ al mi si $\acute{e}$  go robi. Doprawdy, ty $\acute{s}$  go nie by $\acute{l}$  powinien zabija $\acute{c}$  Teodorze — on wkr $\acute{o$ tce sam by $\acute{l}$ by umar $\acute{l}$ !“ „Daj spok $\acute{o}$ j na teraz pr $\acute{o$ znym  $\acute{z}$ alom“ — mrukn $\acute{a}$ ł na to Teodor — „teraz na to nie pora! Owsz $\acute{e}$ m cieszy $\acute{c}$  si $\acute{e}$  powinienes $\acute{z}$  z tego, co uczyni $\acute{l}$ em, bo umar $\acute{l}$ y wojny nam nie wypowie!“ Limozyusz nic na to nie odpowiedzia $\acute{l}$ , lecz milcz $\acute{a}$ c wy $\acute{z}$ al z tajemnej framu $\acute{g$ i woreczek i po $\acute{l}$ o $\acute{z}$ yl go na stole. Z dzik $\acute{a}$  chciwo $\acute{s}$ ci $\acute{a}$  pochwyci $\acute{l}$  go w r $\acute{e}$ ce swe Teodor, ale jak $\acute{z}$ e si $\acute{e}$  przerazi $\acute{l}$ , gdy po otwarzeniu nic w jego

wnętrzu nie znalazł, jak to poprzednio bywało. Na twarzy Limozyusza również odmalowało się zdziwienie, obaj bowiem nic o przyczynie nieszczęścia nie wiedzieli. Spojrzeli więc równocześnie z przestrachem na siebie, ale w obliczu Teodora przebijał się nadto gniew i wybuchająca nienawiść.

„Falszywy i podstępny człowieku“ — zagrział wreszcie groźny głos Teodora — „chciałeś mnie więc w ten sposób podejść i oszukać, dając zamiast prawdziwego, inny podrobiony woreczek? O nędzniku! poznałem ja się zaraz na tém i nie pozwolę sobie drwić ze mnie bezkarnie! Nie sil się więc na kłamstwo, lecz przynieś natychmiast woreczek, który mi się prawnie należy — inaczej upór twój będzie cię życie kosztował!“ Daremnie Limozyusz starał się Teodora przekonać, że to jest ten sam woreczek, ale dla czego swą władzę utracił, sam nie wie; zapalczywy hrabia wpadał w coraz większy gniew i niczém nie dał się uspokoić. „Nie chcę żadnych usprawiedliwień ani fałszywstw“ — wrzeszczał — „ale woreczek oddaj mi łotrze natychmiast!“ „Nie mam innego, mówię ci na mój honor rycerski“ — próbował się usprawiedliwić Limozyusz. Od słów przyszło wnet do bójki; w mgnieniu oka pochwycili obaj za rękojeści swych mieczów i z niepohamowaną zawziętością uderzyli na siebie. Usłyszawszy groźne krzyki i szczęk broni zbiegli

się słudzy z całego zamku i wywalili drzwi do zamkniętej komnaty poważnionych hrabiów wiodące i zaledwie z wielkim trudem zdołali rozbroić i rozdzielić walczących swych panów.

Pokazało się tedy, że hrabia Limozyusz był prawie śmiertelnie raniony; zobaczywszy to jego sługi, chcąc się pomścić za krzywdę wyrządzoną swemu panu, uderzyli z niemniejszą zapalczywością na przeciwnika, którego znów jego dworzanie zaledwie zdołali obronić.

---

Wielkie wrażenie zrobiło na dworze królewskim wiadomość, że dwaj znani powszechnie jako dobrzy i nierozdzielni przyjaciele hrabiowie, stoczyli między sobą walkę na śmierć i życie. Król kazał więc natychmiast obydwóch pojmać i stawić przed siebie, aby się o przyczynie ich sprzeczki dowiedzieć. Jeden tylko hrabia Teodor został jednak przed tron królewski przyprowadzony, albowiem Limozyusz raniony śmiertelnie leżał dotąd w bezprzytomnym stanie.

„Cóż było powodem“ — rzekł król do stojącego przed nim Teodora — „że wy, wzór stałej przyjaźni między rycerzami mego dworu, rzuciliście się na siebie z bronią w rękę, rozlewając krew bratnią?“ Pojmany hrabia wahał się długo z wyznaniem prawdy, począł więc całą sprawę

wikłać i zaciemniać, ale z własnych jego niepe-  
wnych słów, można było łatwo odgadnąć, że kłama-  
nie. Dopiero tortury, których na rozkaz królew-  
ski względem niego użyto, zmusiły go do szcze-  
rości. Wyznał tedy wszystko i z najdrobniejszymi  
szczegółami opowiedział nieludzkie swe i swego  
sprzymierzeńca postępowanie względem Andolo-  
zyego. Król struchlał cały na opowiadanie tej  
strasznój zbrodni, uronił kilka łez żalu za nie-  
szczęśliwym Andolozyą, a tē̄m samē̄m zawrzał  
okropnym gniewem na jego morderców. Wydał  
tedy, nie namyślając się wiele, wyrok, aby oby-  
dwóch hrabiów-złoczyńców stracono przez łama-  
nie kołem a egzekucyą tę wykonano tak samo  
na Limozyuszu, chociażby nie tylko śmiertelnie  
ranionym ale był nawet już umarłym.

Na trzeci dzień potē̄m wykonano straszliwy  
ale zupełnie słuszny wyrok na obydwóch prze-  
stępcach, którzy niestety nie długo cieszyli się  
cudownym woreczkiem, a śmierć nieszczęśliwego  
Andolozyi przypłacili nie tylko utratą tajemniczego  
skarbu, ale i własnem życiem; w niewysłowionych  
męczarniach wyzionęli wkrótce obaj czarnego du-  
cha. Tak to bywa złoczyńcom! Król nie po-  
przestał jednak na tē̄m, lecz postanowił zniszczyć  
nawet ślady miejsca, gdzie jego ulubienca wię-  
ziono i gdzie tak nędzną zginął śmiercią. Wy-  
słał więc liczny oddział wojska na wyspę Limo-  
zyą i kazał tam zbójceki zamek zburzyć do szczętu

a wszystkie okoliczne wsie i przynależności wraz z ludźmi w królewskie objąć posiadanie. Rozpoczęło się nadto szczegółowe śledztwo, które miało na celu wykryć wszystkich współwinnych zbrodni, albo nawet takich, którzy o niej wiedzieli a zamilczeli. Wszyscy, których uznano winnymi jednego z tych zarzutów, zostali niezwłocznie na zamku Limozyusza powieszani. Również tym sposobem dowiedział się król, że ciało Andolozyi wrzucono do nieopodal położonej studni; na jego rozkaz wydobyto je więc ztamtąd i na żałobnym wozie powieziono do Tamagusty, gdzie przy wielkim napływie ludności z całego kraju, wobec rodziny królewskiej złożono je do familijnego grobowca w pięknym tumie, który jeszcze ojciec zmarłego Fortunat był odbudował. Żałobne uroczystości w dniu tym odprawiano w całym kraju. Taką więc ostatnią usługę oddała rodzina królewska Andolozyemu, niegdyś przyjacielowi swemu i jednemu z najdzielniejszych rycerzy dworu. Ponieważ zaś ani Ampeda ani Andolozya nie pozostawili po sobie żadnych spadkobierców, zamek w Tamaguście i znalezione w nim ogromne skarby i bogactwa, król wziął w swe prawne posiadanie. Zamieszkał tam nawet młody następca tronu, królewicz Pelagiusz z uroczą małżonką Agrypiną i przebywał w nim aż do czasu, gdy ojciec jego przeniósł się do wieczności, zostawiając mu ster' rządu królestwa cypryjskiego.

Tak więc pamięć Andolozyi nie wygasła zupełnie w jego rodzinnym kraju i mieście, bo przechowywali ją wiecznie król i królowa, odświeżając jego wspomnieniem pleśnią okryte mury zamczyska lub w rocznicę jego zgonu przywdziewając żałobne szaty i modląc się na milczącym grobowcu.

K O N I E C.







## Tomiki w okładce

z przepysznym kolorowanym obrazkiem.

- Tom  
200. Śnieżny grób w Sierra, czyli zagłodzenie w srebrnej minie.  
201. Porwane dziecko. Opowiadanie z Turcyi.  
202. Kama Samojedka. Opowiadanie historyczne.  
203. Jeniec Szykitów. Powieść z życia indyańskiego.  
204. Mareipotama, córka Pampasów. Opowiadanie z kraju Indyan.  
205. Wielkie skarby złota w Sierra Newada.  
206. Na granicy kraju Indyan, czyli bezpieczna ręka. Powieść Meksykańska.  
207. Koloniści u źródeł rzeki Susquehannah.  
208. Harold król cyganów, czyli skrzypce Edelenńskie. Opowiadanie z Węgier.  
209. Skalpiersze Południowej Ameryki, czyli na wyspach rzeki Uruguay. Opowiadanie z kraju Indyan.  
210. Bogufał młody pustelnik.  
211. Dobromił, czyli cudowne są drogi Pańskie.  
212. Pomiędzy ludożercami w Sumatrze.  
213. Dziwne podróże na lądzie i na morzu.

---

Tomiki po 6 i 12 ct. czyli 10 i 20 fenigów.

305. Książ Placydy. 12 ct.  
306. Krzyż drewniany. 12 ct.  
307. Pielgrzymka przez Ziemię św. (8 obraz.) 12 ct.  
308. Ahaswerus, żyd wieczny. 12 ct.  
309. Korsarz czyli upiór morski. 6 ct.  
310. Na krach czyli rybak odważny. 6 ct.  
311. Podrzutek albo nagroda wierności. 6 ct.  
312. Anioł pokoju. 6 ct.

---

## „Książeczki Ludowe“

w okładkach z przepysznemi kolorowanemi rycinami.

500. Dokładna rozmowa kwiatami, poświęcona miłości i przyjaźni. Cena 20 ct. czyli 35 fenigów.

Tom

501. **Niezapominajki.** Wybór najlepszych wierszy do Imionnika. Cena 20 ct. czyli 35 fenigów.
502. **Zbiór dobranych powinszowań wierszem i prozą dla dzieci i dorosłych, na wszelkie przygody i sposobności życia ułożone.** Cena 35 ct. czyli 60 fenigów.
503. **Książeczka o dobrych zwyczajach towarzyskich.** Cena 40 ct. czyli 70 fenigów.
504. **Zwyczajna kuchnia domowa, obejmująca przepisy potraw kucharskich.** Cena 40 ct. czyli 70 fenigów.
505. **Najnowszy i najdokładniejszy Sekretarz zakonanych i narzeczonych.** Z dodatkiem: Pieśni miłosne, wiersze do imionnika itd. Cena 60 ct. czyli 1 markę.
506. **Czarnoksiężnik Bosko, czyli najbogatszy zbiór najciekawszych sztuk magicznych i kuglarskich do wykonywania łatwo i tanim kosztem.** Z ilustrac. Cena 20 ct. czyli 35 fen.
507. **Toast polski wierszem i prozą, czyli zbiór mów przy uroczystościach wszelkiego rodzaju, jako to: przy weselach, ważniejszych zebraniach, przy obchodach jubileuszowych itd.** Cena 60 ct. czyli 1 mrk., w eleganckiej oprawie, w płótnie połączanym 1 złr. 10 ct. czyli 1 mk. 80 fen.
- 508 i 509. **Polski śpiewnik, czyli zbiór 486 nowych ary i dumek narodowych, krakowiaków, kujawiaków, pieśni weselnych, miłosnych, patriotycznych, historycznych itd.** 2 tomy. Cena każdego tomu oprawn. 50 ct. czyli 90 fen., w eleg. oprawie w płótnie połączanym 85 ct. czyli 1,50 mk.

„Śmiech.“ Zebrał Nie-głupi.

W trzech częściach :

510. **Część I. Zbiór fraszek, anegdot i humorystycznych opowiadań.** Cena oprawn. 60 ct. czyli 1 mk.
511. **Część II. Anegdoty historyczne i z życia znakomitych ludzi.** Cena oprawn 60 centów czyli 1 mk.
512. **Część III. Anegdoty, fraszki, zdania, myśli moralne i opowiadania celniejszych humorystów polskich i obcych.** Cena oprawn. 60 ct. czyli 1 markę.

**Książki obrazkowe, zajęcia dla dzieci i dorosłych.**

**ABCadlnik i pokoik mały z 4 tabl. obrazk. i 8 stron tekstu m. 8<sup>o</sup>.** 8 ct. : 15 fen.

**ABCadlnik nowy z obrazk. i wiersz. m. 8<sup>o</sup>.** 12 ct. : 20 fen.

**Ach! co za prześliczna książeczka obrazkowa z wierszykami i tekstem m. 8<sup>o</sup>.** 18 ct. . 30 fen.

**Bajek 10, każda ozdobiona 6 wspaniałymi obrazkami i tekst. 4<sup>o</sup> każda po** 60 ct. : 1 mk.

1. Mądry kot. 2. Kópciuszek. 3. Białośnięzka. 4. Głupi Janek. 5. Śpiąca królewna. 6. Czerwona czapeczka. 7. Tomcio pałuch. 8. Chytry lis. 9. O Janku i Małgosi. 10. Przygody zwierząt.

- Baśń o karzełkach i pięknym lutniście, z 6 obrazkami i tekstem w. 4°. 60 ct. : 1 mk.
- Brr! Znów inny obrazek. Piękna obrazk. książka ze zmieniającymi się obrazk. i tekst. m. 4°. 85 ct. : 1,50 mk.
- Dla grzecznych dzieci. Książeczka obrazk. z wierszyk. i tekst. m. 8°. 16 ct. : 28 fen.
- Elementarz z obrazk. i tekst. m. 8°. 24 ct. : 40 fen.
- Fryc, chytry lis. Bajka z 6 obrazkami i tekst. w. 4°. 45 ct. : 75 fen.
- Książeczek 7, różnych, z bajkami, każda z 6 obrazk. i tekstem, m. 8°. 8 ct. : 15 fen.
- Książeczka czarodziejska z wspan. obrazk. ludzającymi i tekst. I. i II. w. 4°. opr. każda 75 ct. : 1 m. 25 f.
- Książeczki powiastkowe, 12, z obrazk., każda z 6 obrazk. w kolor. druku 32° każda po 4 ct. : 8 fen.
1. Matka i syn. 2. Lekkomysłni przyjaciele. 3. Ciekawość ukarana. 4. Robert i Ita. 5. Biedna rodzina. 6. Dzieci wśród lasu. 7. Dwaj sąsiedzi. 8. Nie wódź nas na pokuszenie. 9. Biedny Krzysztofek. 10. Burza na morzu. 11. Boszka opatrność. 12. Iwan Niedolega.
- Książek 6, nowych, z obrazk., każda składająca się z 6 przepysznych obrazków, z wierszykami, w. 4°. oprawna każda 65 ct. : 1 mk. 25 fen.
1. Złote czasy. 2. Wiosna. 3. W górach i dolinach. 4. Dobrzy przyjaciele. 5. Świat dzieci. 6. Nasi domownicy.
- Obrazki dla grzecznych i miłych dzieci, z 6 pięknymi obrazk. z tekst. w. 4°. 85 ct. : 1 m. 50 f.
- Przygody zwierząt, z 6 obrazk. i tekst. w. 4°. 45 ct. : 75 f.
- Radość dziecięca w obrazk. z wierszyk. m. 8°. 14 ct. : 25 f.
- Rozrywki dla grzecznych i miłych dzieci, z 6 piękn. obrazk. i tekst. w. 4°. 85 ct. : 1 mk. 25 fen.
- Świat baśni. Wielka wspaniała książka z 6 bajkami i 36 bardzo piękn. obrazk. 24 str. tekstu, w. 4°. w gustown. trwałej opr. 2 złr. 80 ct. : 4 mk. 50 fen.
- Wydanie z 12 obrazk. i 24 str. tekstu, w. 4°. w gustownej trwałej oprawie 1 złr. 80 ct. : 3,50 mk.
- Świątek dziecięcy w obrazach i z tekst., sztywne karty m. 8°. siln. opr. 15 ct. : 25 fen.
- Towarzysze zabawy, z 12 obrazk. i 44 str. tekst. 8°. opr. 85 ct. : 1 mk. 50 fen.
- Uciecha małych dzieci w obrazkach bez tekst. m. 8°. 15 ct. : 25 fen.
- Uciecha wielka dla małych dzieci 4°. W 3 wyd.:  
 1) z 8 tabl. obrazk. i wierszyk. 36 ct. : 60 fen.;  
 2) z 16 tabl. obrazk. i wierszyk. opr. 60 ct. : 1 mk.;  
 3) z 16 tablic. obrazk. i wierszyk. (książka do niedorozdarcia) opr. 90 ct. : 1 mk. 50 fen.

W eyrku, z 5 tabl. obrazk. bez tekstu w. 4°. 60 ct. : 1 mk.  
Zabawa w obrazach bez tekstu m. 8°. 10 ct. : 20 fen.  
Zwierzęta różne z tekst. m. 8°. 15 ct. : 25 fen.  
Zwierzyniec dla grzecznych dzieci z tablic. obrazkami  
z wierszykami 4°. 50 ct. : 90 fen.  
Z życia dzieci, 6 tablic. obrazk. wiersz. w. 4°. 60 ct. : 1 m.  
Książka z obrazk. niedorozdarcia o 12 str., z obraz. i wiersz-  
szyk., na kartonie naklejone. w. 4°. 2 złr. : 3,50 mk.

---

Artysta mały. 48 wzorów rysunkowych dla dzieci w.  
8°. w gustown. okł. 65 ct. : 1 mk.  
Loteryjka domowa, z 12 tabl., 90 kul numerow. i szkłem  
krajanem w gustown. pudełku 85 ct. : 1 mk. 50 fen.  
— — Wydanie elegancko-salonowe. 1,50 złr. : 2,50 m.  
Siedm rozmaitych gier, dziecinnych i towarzyskich, w eleg-  
ganckiej okładce 75 ct. : 1 mk. 40 fen.  
Młotek i dzwonek. Gra nadzwyczaj zajmująca w eleg.  
pudełku drewn. z kostkami i objaśnieniem; stoso-  
wnie do wykończenia w 3 różnych wydaniach po  
35 ct : 60 f., 45 ct. : 75 fen., 65 ct. : 1 mk.  
Szkoła malarstwa mała. Książk. z kolor. i czarn. obr.  
Kolor. jako wzór, czarne jako tło do malow. 4 num.:  
1) Nm. 123 m. 8°. 6 ct. : 10 fen., 2) Nm. 322 m.  
8°. 8 ct. : 15 fen., 3) Nm. 550 4°. 16 ct. : 28 fen.,  
4) Nm. 552. w. 4°. 42 ct. : 70 fen.  
Tabliczka łupkowa pierwsza. Książeczka z papieru łup-  
kow. z wzorami do rysow., m. 8°. 40 ct. : 70 fen.  
— — Z większą liczbą tablic i gustowniejsze wyda-  
nie. m. 4°. 60 ct. : 1 mk.  
Wzory do rysowania. Nowe, na tabliczce. Zawieraj.  
6 tablic z rysunk. na obu stron. w. 4°. 75 ct. : 1,25 m.  
Zbiór nowych 6 gier dziecinnych i towarzyskich, m. fol.  
w eleg. okładce 75 ct. : 1 mk. 25 fen.  
— — Tylko gry pojedyncze naklejone na tekturze.  
1 złr. 15 ct. : 2 mk.

---

Najnowsza i nader zajmująca gra towarzyska  
dla dzieci dorosłych p. n.:

### „Wojna europejska“

między Austryą, Francją, Niemcami i Rosyą.

Cena sztuki w eleganckiem pudełku 1 złr. 38 ct.  
czyli 2 marki 25 fenigów.



## Siedm zupełnie nowych, pięknych i dobrych książek z obrazkami:

- 1. Książeczka z obrazkami** dla grzecznych dzieci, obrazków kolorowych z wierszykami i powiastkami, oraz nauką polskiego pisania i czytania. Cena 20 ct. : 30 fenigów.
- 2. Zabawa w obrazkach** dla grzecznych dzieci, tej samej objętości co pierwsza, lecz z innymi obrazkami i wierszykami, także z nauką polskiego pisania i czytania. Cena 20 ct. : 30 fenigów.
- 3. Świat dziecięcy** w obrazkach i powiastkach, z powiastkami, wierszykami i zagadkami, wraz z krótką nauką polskiego pisania i czytania w formie wielkim (4-to), obejmuje 8 stronice kolorowych obrazków, 16 stronice tekstu z ślicznie wykonaną okładką kolorową. Cena oprawnego egzemplarza 78 ct. : 1 mk. 25 fen.
- 4. Nauka w obrazkach** format wielki (4<sup>o</sup>) 8 str. obrazków kolorowych, 16 stronice powiastek itd., wraz z nauką polskiego pisania i czytania z ślicznie wykonaną okładką kolorową. Cena oprawnego egzemplarza 78 ct. : 1 mk. 25 fenigów.
- 5. Słuchaj rodziców i starszych,** książeczka z obrazkami o niegrzecznych dzieciach, obejmuje 16 stronice obrazków kolorowych i do nich stosujących się powiastek i przykładów, z dodatkiem elementarza, 16 str. powiastek, z ślicznie wykon. okładką kolorow. — format 4-to. Cena opr. egzempl. 65 ct. : 1 mk.
- 6. Skarbiec zabaw i uciech** powiastki i wierszyki dla grzecznych dzieci, obejmuje na 20 str. 50 obrazk. kolor. z stosownymi wierszami, w dodatku elementarz i 16 str. powiastek i baśni z śliczną okładką kolor. — format (4-to). Cena opr. egz. 1 zlr. = 1 mk. 50 fen.
- 7. Poczciwy Antos,** książka dla dzieci, które chcą być grzeczniemi, obejmuje 48 stronice druku i 24 obrazków — w formie małym oprawa trwałą — grzbiet płócienny. Cena 20 ct. : 30 fenigów.  
Kto prześle 3 zlr. 60 ct. lub 6 mk. otrzyma wszystkie 7 książeczek franko. — Należytość można i w znaczkach pocztowych przelać.

### Odezwa do rodziców i przyjaciół dzieci.

Zamieszczony spis świeżo wyszłych dziełek jest nowym dowodem, że staraniem mojem jest szerzenie oświaty, a z nią moralności. Książeczki te są przeznaczone dla dzieci, zaopatrzone w obrazki i liczne powiastki, zdania moralne, zagadki i śpiewki. Aby dzieci mogły sobie przeczytać treść tych książeczek, dodany jest do każdej książki mały, bardzo praktyczny elementarzyk polskiego pisania i czytania. Mam nadzieję, że tém mojem wydawnictwem przysłużę się rodzicom i przyjaciołom dzieci. Elementarzyk bowiem wystarczy do nauczenia się czytania i pisania w polskim języku.

Szanownej Publiczności polecam więc moje dziełka i dla łatwiejszego nabycia stawiam nader niską cenę. Podjąłem się zaś tego wydawnictwa, ponieważ książeczki takie są nader pożyteczne, a w polskim języku brak ich jest wielki.

Nakładca Edward Feitzinger w Cieszynie (Śląsk austr.)

<http://rcin.org.pl>



**Spis książek**  
nakładowych i komisowych, księgarni  
**Edwarda Feitzingera w Cieszynie**  
(wyższa brama.)

I. Różne dzieła.

- Chociszewski Józef**, Podręcznik do pisania listów, w którym wyłożona jasno i treściwie nauka o pisaniu listów, oraz podane liczne wzory tychże, jako też kwity, rewery, rachunki, przepisy pocztowe, wpisy do imionników itd., z dodatkiem listownika dla dzieci. 1888. (194 str.) 8°. 65 ct. : 1 M.  
w opr. płóc. 1 złr. : 1 mk. 75 fen.
- **Pokłosie**. Zbiór pouczających i ciekawych opowiadań, powieści, wierszy itd. jak np.: Lampa czarodziejska; wspomnienie o Krakusie, Wandzie i Piaście; życiorys Dezyderego Chłapowskiego itd. Z 12 obrazk. 1888. (215 str.) 24°. 35 ct. : 50 fen.
- **Przepowiadacz pogody i niepogody**. 1885. (32 str.) 24°. 12 ct. : 20 fen.
- **Skarbczyk poezji polskiej**. 1883. (256 str.) 24°. 48 ct. : 75 fen.
- **Śpiący biały orzeł**, czyli prorocstwo starego pustelnika z gór karpackich. Dodane inne ważne prorocstwa o naszej kochanej Ojczyźnie Polsce a mianowicie trzy przepowiednie Ojca świętego. 1889. (54 str.) 8°. 20 ct. : 35 fen.
- Cinciała, Dr. Andrzej**. Pieśni ludu śląskiego z okolic Cieszyna. 1885. (133 strony.) duż. 8°. 2 złr. 50 ct. : 4 mk. 50 fen.
- **Podręcznik dla gmin śląskich**. Tom I. 1889. (327 stron.) 8°. 2 złr. 50 ct. : 4 mk. 50 fen.
- **Przysłowia, przypowieści i ciekawsze zwroty języka ludu polskiego na Ślązku w Księstwie Cieszyńskim**. 1885. (48 str.) 8°. 40 ct. : 70 fen.
- Hejromancya egipska**, czyli sztuka przepowiadania z linii na ręce. Zupełnie pewna wskazówka do odgadnięcia przyszłości. 1886. (18 str.) m. 8°. 20 ct. : 35 fen.
- Hermana Fr.** Ogólna dedaktyka i pedagogika, przewodnik do skutecznego sprawowania urzędu nauczycielskiego przy szkołach ludowych wszelkiej ka-

tegoryi, opracowany, uzupełniony i licznymi scho-  
liami ozdobiony przez Izydora Poechego, kiero-  
wnika szkoły w Dąbrowie. — Doskonałość orygina-  
łu uznana jest przez Nauczycielstwo od wielu lat,  
a opracowanie w ojczystym języku umiejętne i su-  
miennie dokonane. 1882. (200 stron.) 8°.

1 złr. 38 ct. : 2 mk. 40 fen.

Historja o cudownej odmianie księżnej i szewcowej. 1886.  
(8 str.) m. 8°. 6 ct. : 10 fen.

Janicki X. Cudowne nawrócenie dwóch wielkich pija-  
ków. 1885. (16 str.) 24°. 10 ct. : 15 fen.

Kabała moralna, czyli mądrość Salomona. Tajemnice  
przyszłości. 1886. (16 str.) m. 8° 10 ct. : 15 fen.

Kancyonał mniejszy, wydany przez ks. Jana Żmijkę.  
Wyd. VIII. stereotypowe. 1888. (560 str.) 8°.  
opr. 1,50 złr. : 2,75 mk. do 4,50 złr. : 8 mk.

Kancyonał wielki śp. ks. Ant. Janusza. Nowe wyd. V.  
pomnoż. i poprawne. 1890. (1256 stron.) 8° opr.  
od 2,50 złr. : 4,50 mk. do 5 złr. : 8,50 mk.

Dodatek do tegoż, obejmujący różne nowe pieśni.  
1877. (16 str.) 8°. 5 ct. : 10 fen.

Kancyonałek, czyli śpiewnik kościelny i książka do mo-  
dlenia dla młodzieży. Wyd. II. 1888. (383 str.) 24°.  
opr. od 65 ct. : 1 mk. do 1 złr. 50 ct. : 2 m. 75 f.

Michejda ks. K. O pijaństwie 10 ct. : 20 fen.

Nabożeństwo do św. Alojzego. 1880. (48 str.) 8°.  
15 ct. : 25. fen.

Proroctwo Michaldy królowej ze Saby. 13 Sybilij. 1888.  
(48 str.) 8°. 20 ct. : 35 fen.

Radońska Teresa. Dwie powiastki. (1. Szpilka  
Miss Nelly. Nowella. 2. Powieść o minionem  
szczęściu.) 1881. (106 str.) 8°. 45 ct. : 75 fen.

Rozmowa trzynastu mężatek i jednej wdowy. 1887.  
(8 str.) 8°. 6 ct. : 10 fen.

Sennik egipski, prawdziwy i stotny. Podług egip-  
skich i arabskich zaświadczeń oraz liczb na lote-  
ryą stawiać się mających z dołączeniem o własno-  
ściach planet i grze loteryjnej. Z obrazkami. 1887.  
(144 str.) m. 8°. 30 ct. : 50 fen.

Sila sympatyj, czyli wpływu duchowego na organizm  
ludzki i zwierzęcy, jako środek w rozmaitych cho-  
robach i przypadkach bardzo skuteczny. Z do-  
datkiem fizyognomicznych reguł i wskazówek  
dług których szybko charaktery, tempe

- zdolności i uczucia ludzi poznać można. 1889.  
(60 str.) w. 8°. 40 ct. : 75 fen.
- Śliwka Jan. Książka do czytania i pouczenia się, dla  
każdego. Wyd. II. znacznie pomnożone. 1880.  
(356 str.) 8°. opr. 90 ct. : 1 mk. 60 fen.
- Starosta weselny, czyli zbiór mów używanych przy  
weselach u ludu polskiego na Ślązku austriackim.  
Z obrazkiem: Wesele wiejskie. 1887. (48 str.) 8°. 25 ct. : 50 fen.
- Stolz, ks. Alban. Lekarstwo przeciw obawie śmierci.  
Kalendarz na czas i wieczność, wydany po niemiec-  
ku p<sup>o</sup> raz pierwszy w roku 1843, przetłumaczył  
z 18 wydania Adolf Stiasny. 1882. (150 str.) 8°. 35 ct. : 60 fen.
- Ojciec nasz. Kalendarz na czas i wieczność. Wyda-  
ny po niemiecku po raz pierwszy: część I. w roku  
1845, część II. w roku 1846, część III. w r. 1847.  
Przetłumaczył z 15 wydania Adolf Stiasny. Dla  
ludu pospolitego, jako też dla innych świeckich  
i duchownych osób. 3 tomy. 1884—1887. (420  
stron.) 8°. 1 zhr. 5 ct. : 1 mk. 80 fen., oprawny  
1 zhr. 35 ct. : 2 mk. 30 fen.
- Sypowski, ks. Kazimierz. Kazania w podobień-  
stwach i przykładach na niedziele i święta uro-  
czyste. 2 tomy. 1879. (420 str.) d. 8°. 4 zhr. : 7 mk.
- Szebesta, ks. Walenty, prob. w Wielk. Górkach.  
Tarcza wiary katolickiej, gasi ogniste strzały »Tarczy  
wiary ewangelickiej«, napisanej przez pastora Jana  
Pindóra w Cieszynie. Cena zniżona. 36 ct. : 70 fen.
- Szybkorachmistrz, czyli przewodnik rachunkowy. Nie-  
zbędnie przy kupnie i sprzedaży potrzebny, obliczo-  
ny od 1 do 100 sztuk, od  $\frac{1}{2}$ , aż do 99 ct., groszy  
lub fenigów. Z dodatkiem zawierającym tabele za-  
miany nowych miar i wag na stare i odwrotnie, ja-  
ko też zamiany monet i licznych innych pożytecz-  
nych tabel. 1880. (160 str.) form. kieszonkowy. 50 ct. : 85 fen.
- Wilkońska, Paulina z L. Cyganki. Komedyjka  
w jednym akcie. 1884. (20 str.) 24°. 12 ct. : 20 f.
- Dwa śluby. Powieść. Z dodatkiem powiastki „Pró-  
żność ukarana.“ 1879. (82 str.) 8°. 65 ct. : 1 mk.
- Prima Aprilis. Komedia w 1 akcie. 1879. (28 str.)  
8°. 38 ct. : 60 fen.
- Wróżbiarz z kart najdokładniejszy, czyli sztuka

- sobie i innym kabałę układać, jako też sobie i każdemu innemu przyszłość przepowiadać. Zestawiony z pozostałych rękopisów najślawniejszych wróżek i wróżbiarek. Z 36 subtelnemi kartami do ciągnięcia z dokładnym opisem. 75 ct. : 1 m. 30 f.
- Wyrok na śmierć.** Powieść dla katolików. 1887. (16 str.) 8°. 6 ct. : 10 fen.
- Żydowska wojna.** Co żydzi narobili strachu całemu światu. 1887. (8 str.) 8°. 6 ct. : 10 fen.
- Żyd wieczny tułacz z Jeruzalem,** imieniem Ahaswerus. 1887. (16 str.) 8°. 7 ct. : 10 fen.
- Podręcznik prawniczy.** Książka dla ludu, zawierająca: przykłady prośb, podań i skarg w sprawach niespornych, spornych i karnych; dalej wzory dokumentów prawnych, świadectw, rewersów, kwitów, poświadczeń, deklaracji, testamentów, pełnomocnictw, kontraktów, zapisów dłużnych, ugód, cesyi itp. z odpowiedniami objaśnieniami; nareszcie dodatek obejmujący: listy, spis wiosek w księstwie Cieszyńskim według powiatów sądowych i starostw, słowniczek wyrazów prawniczych i administracyjnych. 1883. (304 str.) 8°. opr. 2,60 zł.: 4,50 m.
- Kalendarze:** Kalendarz katolicki 20 ct. : 35 fen.
- Kalendarz polski,** powszechny rzymsko- i grecko katolicki, ewangelicki i żydowski, astronomiczny, gospodarski i domowy. 20 ct. : 35 fen.
- Kalendarz Maryański,** z wieloma ilustracyami ozdob., format duży 4°. 40 ct.
- Kalendarz do odtargywania (Block)** 60 ct. : 1 mk.
- Kalendarz podkładowy, patentowy,** składający się z 26 kart silnej, wybornej bibuły. Format 36/50 cm. 1 złr. 50 ct. : 2 mk. 60 fen.
- Podziały godzin dla szkół,** w 3 wydaniach: 10 sztuk 6 ct. : 10 fen., 20 ct. : 35 fen., z rysunkami patryotycznymi, 35 ct. 60 fen.
- Schindler, ks. Ae.,** członek towarzystwa przyjaciół muzyki kościelnej. **Chorał,** zawierający harmonijnie ułożone melodye do śpiewów znajdujących się w kantyonałach ś. p. ks. Ant. Janusza (polski), Lehnerta i Onderka (czeskie), tudzież rezponzorya i przeszło sto przygrywek na organach. 1890. 416 str. w. 4°. Tom I i II 7,50 złr. : 15 mk., tom III 3 złr. : 6 m.
- Świadectwo nauki dla przemysłu,** artystycznie litografowane 42 : 53 cm. 30 ct. : 50 fen.

INSTITUT  
BADAŃ LITERARNYCH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-390 Warszawa, ul. Nowy Świat 74  
Tel. 26-68-63









F

23.338

